

Spokojnych
i pogodnych
Świąt
zespół życzy
„Odgłosów”

Nr indeksu 36762PL ISSN 0472-5042

Łódź

tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 14 (1566)

ROK XXXI

2 KWIETNIA 1988 ROKU

CENA 50 ZŁ

- Co można w niedzielę kupić na stadionie ŁKS? str. 6
- Dlaczego Jan K. chciał popełnić harakiri str. 1 i 4
- Jak A. Wyszyński przesłuchiwał Bucharina str. 11
- „Malowany ptak” - J. Kosińskiego (fragment) str. 7
- „Okazja” kryminalne opowiadanie G. Ralston str. 8

Ordynator oddziału chirurgii w kilka dni po wypadku zezwala na rozmowę z pacjentem. Odstępuje własny pokój, żeby inni chorzy nie podsłuchiwali, żeby nie było plotek i niezdrowej sensacji.

Stan chorego nie jest zły — może mówić, chodzi już i doktor jest zdania, że wróci do zdrowia i będzie mógł znowu podjąć pracę. Ale czy zechce — po takich przeżyciach? No, to już nie jest sprawa lekarza, ale samego zainteresowanego.

Drobny, szczupły mężczyzna, po pięćdziesiątce wyraźnie jeszcze nie odzyskał kondycji nerwowej po tragicznym wypadku. W swoim zakładzie, wśród ludzi — targnąć się na życie, wbić nóż w brzuch — to ogromne przeżycie i silne bodźce musiały działać, aby do takiej tragicznej decyzji doprowadzić. Na szczęście nóż nie był zbyt duży — taki zwykły, używany do przycięcia śniadania — a może i w ostatniej chwili siły w ręce zabrakło. Przeżył.

Świat szybko się zmienia i nie każdy może za tymi zmianami, choćby były pozornie małe — nadążyć.

Człowiek, który chciał popełnić harakiri

TERESA JERZYKOWSKA

Fizyczną raną sprawnie i skutecznie zajęli się lekarze, psychiczną — trzeba będzie „zalać” samemu, z pomocą życzliwych ludzi. Ale czy znajdą się życzliwi?

Jan K. nie bardzo w to wierzy, choć teraz, kiedy przeżył, niebezpieczeństwo minęło, chciałby takich znaleźć. Nie tylko w rodzinie, wśród najbliższych — na tych, wiadomo, zawsze można liczyć — ale w zakładzie. W „swoim” zakładzie, gdzie spędził prawie całe życie, trzydzieści trzy lata, nie więc dziwnego, że teraz chce do tego swojego drugiego domu wrócić, tu, a nie gdzie indziej przeprowadzić te lata, które mu jeszcze do emerytury zostały. Tylko żeby znowu było tak jak kiedyś, przez długi czas, żeby było dobrze. Bo przecież więcej było dobrze niż źle. Zie zaczęło się dopiero wtedy, kiedy na farbiarni zaczął pracować Franc. A i to nie tak od razu, lecz dopiero wtedy, kiedy Franc został mistrzem.

Jan K. drżącą ręką sięga po papierosa. Czy doktor pozwala palić? A który doktor pochwała palenie! Ale on i tak pali, dużo, mimo choroby. Nerwy słabe i jeszcze to przeżycie, nie da się bez papierosów rozmawiać.

— Coś ty zrobił głupi — płakała żona, kiedy już mogła się z nim widzieć po operacji. Synowie, zmartwieni i niespokojni o zdrowie ojca także się dziwili, jakże to, na siebie rękę podnieść.

— Ale ja już nie mogłem. Myślałem — uderzę go, a może krzywdę zrobię, do więzienia trafię. Zresztą ja nie z takich, którzy by drugiemu coś złego chcieli zrobić. A jak nie im — to sobie. Nie będzie mnie — myślałem, to przyjadą ludzie z zewnątrz, przyjrzą się, dojdą do tego, że moja krzywdą była i może wrzeszcze na farbiarni zapanują porządki. Bo jak długo tak można — mistrz szykanuje,

Nieznany epizod z czasów drugiej wojny światowej. Kto pozostał przy życiu z tamtych żołnierzy? Szukamy świadków walk polskich marynarzy pod Tallinem i Leningradem.

Polski Batalion Morski już w 1941 roku walczył u boku Armii Czerwonej

„Szalony” reporter „Kurieru Polskiego”, nieustraszonego tropiciel wszelkich ciekawostek i sensacji, czyli — Konrad Turowski odnalazł człowieka, którego działalność w czasie drugiej wojny światowej zasługuje co najmniej na wzmiankę w historycznych opracowaniach. Przyjęło się bowiem uważać, iż pierwszą polską jednostką utworzoną w Związku Radzieckim była dywizja im. Tadeusza Kościuszki. Wie o tym każde dziecko, nawet zanim zacznie w szkole naukę historii. Zwykle później nieco dowiędzie się, że była jeszcze armia niejako gen. Władysława Andersa i że to jedna z mniej chlubnych kart naszego braterstwa broni. Ale zapewne niewielu historyków, jak i uczestników wojennych zmagani orientuje się, iż już w czerwcu 1941 roku, dowództwo Floty Bałtyckiej wyraziło zgodę na formowanie w Tallinie... polskiego batalionu, który miał walczyć u boku Armii Radzieckiej. Organizacji tej jednostki podjął się między innymi CZESŁAW BERNATT, pułkownik Ludowego Wojska Polskiego w stanie spoczynku, od wielu lat osiadły w Łodzi, chętnie dzieli się swymi wspomnieniami z Czytelnikami „Odgłosów”.

— Panie pułkowniku, będę — mam taką nadzieję — wyrazić opinię Czytelników: odkrywanie nieznanych kart polskiej historii powinniśmy chyba rozpocząć znacznie wcześniej, od września 1939 roku, a może jeszcze wcześniej...

— Och myśle, że powinniśmy zapropinować... Czytelnikom skróćmy nieco formę, moich wojennych losów, by nie nudzić faktami ogólnie znanymi...

Urodziłem się w Wilnie, tam też przez wiele lat mieszkałem z siostrą i bratem. Rodzice umarli, gdy byłem jeszcze małym chłopakiem. Druga siostra mieszkała trochę w Bydgoszczy, w Poznaniu, ja też i tam, i w Warszawie uczeszczałem do „Imnazjum”, by wreszcie w 1937 roku trafić do Szkoły Podchorążych Artylerii w Toruniu. We wrześniu 1939 r. miałem w kieszeni promocję na trzeci rok i przydzielony mobilizacyjny do grupy operacyjnej gen. Mikolaja Botwicia. Jako dowódca plutonu brałem udział w cięż-

kich bojach koło Tczewa (Armia „Pomorze” gen. W. Bortnowskiego). A później już wiać cofaliśmy się...

— Co panu najbardziej utkwiło w pamięci z tych dni, gdy jeszcze broniliście się?

— Bezprecedensowe poświęcenie naszych żołnierzy, dysproporcja sił i rozpacz, żal, zawód malujący się na każdej niemal twarzy. No i jeszcze te wyniszczające naloty niemieckie, które między innymi niszczyły nas w bitwie nad Bzurą...

— Wszyscy parli do Warszawy.

— Ja również, konno, w grupie ponad stuosobowej, przedzierając się do stolicy. Ale Niemcy byli szybsi, już w rejonie Sochaczewa otoczyła nas silna jednostka pancerna. Byliśmy bez szans. I tak 22 września 1939 r. dostałem się do niewoli. Na szczęście początkowo nie sprawdzano nas szczególnie i listy generała Bortnowskiego uratowały się.

— Cóż za listy?

— General, ranny w nogi w bitwie nad Bzurą, pytał się, kto także pochodzi z Wilna, sam — zostawił tam matkę i siostrę. Zgłosiłem się. I po wielu tygodniach listy przekazałem rodzinie, w Wilnie.

— Zaraz, zaraz, na razie jest pan jeszcze w niewoli.

— Ale niedługo. Przez Piatek, Łódź jenieckie kolumny dotarły pieszko do Sieradza, gdzie między innymi ponad 3 tysiące żołnierzy bezsilnie musieli patrzeć na znechanie się bestialskie bicie grupy polskich policjantów i harcerzy przez przedstawicieli „rycerskiego” Wehrmachtu. Po kilku dniach przewieziono nas do Kalisza i tam wykorzystaliśmy sytuację, iż zwołano do domów tych, którzy pochodzili z Pomorza czy Śląska, a w czasie poprzedniej wojny służyli w niemieckiej armii. Jako znający język niemiecki przydzielono mnie do ekipy wypisującej te przepustki. Zarzykowałem i — wypisałem kilkanaście więcej, dla siebie i kolegów.

— Dotarł pan do Warszawy, ale zabawił tam krótko.

— Już był listopad. Zebrała nas się spora grupa wileńców,



Foto: Grzegorz Gałasiński

Rzeka dała nazwę miastu, stworzyła warunki dla rozwoju tkactwa, a teraz niszczy i truje. Ale czy to wina rzeki?

Horror nad Łódką

RYSZARD BINKOWSKI

1.

W poniedziałek 22 lutego 1988 roku pierwszy solidny mróz łamię kark i nadchodzi kolejna wiosna tej zimy. Chłapanina, śnieg z deszczem, wiatrzyko. Łódź robi się jakaś zatechła, czarna i brudna. Jedziesz więc, bracie, szukać tej kolejnej wiosny na Zdrowiu. Ale w Ogrodzie Zoologicznym pusto i cicho, ludzie nie chcą oglądać zwierząt, a zwierzęta ludzi.

W parku coś potrzaskuje, jakby już ruszyły soki w pniach drzew, ale na razie tylko topnieje śnieg, oblepiający zwiedle igliwie. A pomiędzy drzewami płynie, wiję się rzeczka jak błękitna wstążeczka, słynna rzeka Łódka, z którą na wysokość Ośrodka Wypoczynkowego KS „Tramwajarz” łączy się rzeka Bałutka. No i zaraz potem coś się zmienia...

Bo kiedy już za krańcówką „9” staniesz na kładce, zobaczysz elegancko utrzymany kanał ściekowy. W betonowym wąskim korcie pieni się nurt rzeki, która nie jest już taka błękitna. Cruje się już owe „essence alchemiczne, barwione jadowicie” ale nie jest to jeszcze „Barwistan” pana Juliana Tuwima, najbardziej łódzkiego z poetów.

Potem Łódka przekracza ul. Konstytucyjną, toczy się gładko skrajem Ogrodu Botanicznego, ale ponieważ lubi meandry, znowu przecina Konstytucyjną i płynie przez Brus, miejscowość znaną od szesnastego wieku, gdzie w 1875 r. pobudowano pierwszą w Królestwie Polskim fabrykę nawozów sztucznych. Dzisiaj Brus leży w granicach Łodzi, fabryka nawozów nie truje, bo jej nie ma, lecz z łódzką rzeką coraz gorzej...

Jedziesz więc z panem Józefem Stojńskim, który na ul. Krakowskiej uprawia sadzonki krzewów i drzew, abyśm mieli świadomość że przyroda jeszcze żyje, na tzw. wizję lokalną. Zatrzymujecie się na moście, po którym przetacza się tramwaj linii 43. Tutaj na granicy miasta Łodzi i miasta Konstancyna, a właściwie dwóch byłych wsi — Brusa i Srebrnej, które włączono do miast — rzeka Łódka staje się burzliwa, dzika i groźna. I kiedy patrzy się na jej dolinę po lewej stronie drogi, gdzie stał się tylko skrawek rachitycznego lasu, znowu przychodzi na myśl słowa pana Tuwima:

Trawo, trawo do kolan!
Podnieś mi się do czoła,
Żeby myślom nie było
Ant mnie ani pola.

W dolinie Łódki, ścieli się gruby, skołuniony kobierzec zrudziałych traw sposobny do uprawiania psich figliów w stylu gwiazda Tyle że te igraszki miłosne mogłyby zakończyć się zejściem śmiertelnym. Bo PGR Brus nie kosi traw od trzech lat. Nie z lenistwa ani z tego, że mógłby się utopić ciągnik z kosiarką. Po prostu nie warto kosić, bo trawa zatruta rzeczynymi wylewami i krowy nie chcą jej zjeść.

Odgłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny
36-52-44

sekretarz redakcji,
fotoreporter: 36-80-99,

publicyści: 36-77-70,
32-89-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.

Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund
Lewandowski.

Sekretarz redakcji:
Grażyna Olechnowicz

Kierownik działu:
literackiego: Henryk
Pustkowski

Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Dorożyński,

Eugeniusz Iwanicki, Teresa
Jerzykowska, Andrzej

Karolczak,
Jerzy Kwieciński, Bogda

Madej, Andrzej Makowiecki,
Paweł Tomaszewski,

Jolanta Wrońska,
Marian Zdrojewski.

Grafik: Janusz
Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz
Galasiński.

Korekta: Mariola Knaga,
Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:
Tadeusz Białecki,

Marek Brzeziński (Londyn)
Bohdan Gadomski,

Andrzej Gębarowski,
Grzegorz Gazda, Witold

Kasperkiewicz, Andrzej
Kempa, Wasył

Kocznów (Iwanowo),
Marek Koprowski,

Włodzimierz Krzemiński,
Zenon J. Michalski,

Ryszard Nakonieczny,
Adam Ochocki, Jerzy

Panasiewicz, Karol J.
Strykowski, Maciej Świerkocki.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo
Prasowe RSW „Prasa-
Książka-Ruch” 91-103 Łódź,
ul. Sienkiewicza 3/5

DRUK: Prasowe Zakłady
Graficzne RSW „Prasa-
Książka-Ruch” Łódź, ul. Armii
Czerwonej 28

Redakcja nie zwraca nie za-
mówionych rękopisów i zastrzega
sobie prawo do skrótów. Za treść
ogłoszeń redakcja nie od-
powiada

Warunki prenumeraty: 1. Dla
instytucji i zakładów pracy —
zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach
w których znajdują się siedziby
Oddziałów RSW „Prasa-
Książka-Ruch” zamawiają
prenumeratę w tych oddziałach
— instytucje i zakłady pracy
zlokalizowane w miejscowościach
gdzie nie ma Oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch” opła-
cają prenumeratę w urzędach
pocztowych i u doręczycieli. 2.
Dla indywidualnych prenumera-
torów — osoby fizyczne zamieszkałe
na wsi i w miejscowościach
gdzie nie ma oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch” opła-
cają prenumeratę w urzędach
pocztowych i u doręczycieli.
osoby fizyczne zamieszkałe
w miastach — siedzibach Od-
działów RSW „Prasa-Książka-
Ruch” opłacają prenumeratę
w urzędach pocztowych i u dorę-
czycieli. 3. Pieniądze za prenu-
meratę przysyłają do redakcji
pocztą zwykłą lub pocztą prze-
kazywaną. Wpłaty do redakcji
„Prasa-Książka-Ruch” na
rachunek bankowy: 90-113 Łódź
konto 1153-201045-139-11. Prenumerata
ze zleceniem wysyłki, za granicę
pocztą zwykłą jest droższa od
prenumeraty krajowej o 50 proc.
dla zleceniodawców indywidual-
nych i o 100 proc. dla zlecają-
cych instytucji i zakładów pracy.
Terminy przyjmowania prenu-
merat na kraj i za granicę —
do dnia 10 listopada na I
kwartał i półrocze roku nastę-
pnego oraz cały rok następny —
do dnia 10 października —
poprzedzającego okres prenu-
meraty roku bieżącego.

Zam. 977. S-10.

Przegląd prasy

W tygodnikach katolickich „ŁAD” (nr 12) i „KIERUNKI” (nr 12) ukazały się specjalne wkładki zawierające pełny tekst encykliki „Sollicitudo rei socialis”. Papież Jan Paweł II wypowiada się na temat rozwoju społecznego całego świata. Jego zdaniem, obecna sytuacja daje wrazenie raczej negatywne. Wiele milionów ludzi żyje w biedzie i bez nadziei. Świat jest podzielony na rozwinięta Północ i zacofane Południe, kapitalistyczny Zachód i kolektywistyczny Wschód.

Kościół rzymskokatolicki krytycznie odnosi się zarówno wobec kapitalizmu, jak i kolektywizmu marksistowskiego. Oba systemy są niedoskonałe i wymagają gruntownej poprawy. Każdy z tych bloków wykazuje skłonność do imperializmu i jakieś formy neokolonializmu.

Kościół nie głosi jednak trzeciej drogi między liberalnym kapitalizmem a marksistowskim kolektywizmem. Nie proponuje własnych systemów czy programów gospodarczych i politycznych, ani też nie stawia żadnych koncepcji ponad drugimi. Przede wszystkim dąży, o to, żeby szanowano godność człowieka i pozostawiano Kościołowi niezbędną przestrzeń do wypełnienia posłannictwa religijnego. Nauka społeczna Kościoła nie jest ideologia, lecz stanowi niezależną kategorię należącą do dziedziny teologii.

Papież jest zaniepokojony dezintegracją ludzkości. Potocznie mówi się już nawet o Czwartym Świecie. Na dramatycznej sytuacji wskazuje szczególnie dwa zjawiska: kryzys mieszkaniowy i bezrobocie. Można je spotkać w różnych krajach, także w wysoko rozwiniętych. A równocześnie obserwujemy uleganie czystej konsumpcji rażącej materializm i radykalne nienasyceń. Świat jest urządzony niesprawiedliwie. Istnieje nadmierna koncentracja bogactwa.

Jedną z największych niesprawiedliwości współczesnego świata polega właśnie na tym, że stosunkowo nieliczni posiadają wiele, a liczni nie posiadają prawie nic. Jest to niesprawiedliwość wadliwego podziału dóbr i usług pierwotnie przeznaczonych dla wszystkich. Kościół popiera słuszne zadania ubogich, lecz dostrzega też interesy innych grup w ramach dobrego wspólnego. Wzywa wszystkie społeczeństwa do solidarności wewnętrznej i międzynarodowej. Solidarność jest najlepszą drogą do pokoju i rozwoju.

SYTUACJA GOSPODARCZA POLSKI

W dyskusji panelowej zorganizowanej przez Oddział Warszawski Polskiego Towarzystwa Socjologicznego wystąpił profesorowie Jan Muijzer, Jerzy J. Wiatr, Tadeusz Lepowski i Jan Szczepański. Fragmenty ich wypowiedzi opublikowała „KULTURA” (nr 12). Jan Muijzer ocenił sytuację gospodarczą kraju jako niekorzystną, budzącą poważne obawy i znaki zapytania. „Przed wszystkim jest to gwałtowne tempo wzrostu. W roku 1987 dochód narodowy wzrósł załedwie o 2 procent. W porównaniu z rokiem 1986, który w okresie po 1981 r. był jednym z pomyślniejszych (dochód wzrósł o 4,9 proc.), tempo wzrostu wyraźnie obniżyło się. Czy uda się w roku 1988 to tempo odzyskać? Niestety, nie widzę podstaw, by dzisiaj odpowiadać z przekonaniem na to pytanie twierdząco. Natomiast dynamika rozwoju ubiegłorocznej musi być uznana za dotkliwie niską, z jakiego punktu widzenia byłoby na nią nie patrzyli (...). Druga sprawa, to obniżająca się stopa życiowa społeczeństwa. W roku 1987 przeciętne płace w Polsce wzrosły o 21 procent, a ceny dóbr konsumpcyjnych i usług o 26 procent. Płaca realna obniżyła się zatem i to w sposób dość znaczny. Zważywszy, że od roku 1983 jest to zjawisko właściwie nowe, powstaje pytanie: czy jest ono incydentalne, czy zapowiada pewien, trudny do zaakceptowania, trend? (...) Rok 1987 był wprawdzie rokiem dużego wy-
skoku eksportowego, niesie-

skądina wiadomo, że opłacalność tego eksportu w przypadku wielu towarów była niska, albo nawet bardzo niska”.

Wystąpienie to wysoce ocenił prof. Jan Szczepański. Ale zwrócił uwagę, że gospodarka jest wytworem ludzi i podał znamienne przykłady.

„Pod koniec XIX wieku Szwecja była krajem ludzi ubogich i zaplaczonych, Finlandia jeszcze nie tak dawno miała najwyższy w Europie, a może i na świecie, wskaźnik konsumpcji alkoholu, jednak w ciągu stosunkowo krótkiego czasu doszły do tego, że stały się społeczeństwami zamożnymi. Jest to zatem możliwe. Zresztą i u nas kryzys przedwojenny — z lat 1929—1932, kryzys, który sam doskonale pamiętam, był kryzysem o wiele głębszym od współczesnego. Bez porównania głębszym. Przecież w tej chwili nie ma ani biedaszy, ani też górnicy nie chodzą, żeby zebrać wśród gospodarzy o kilka kartofli. O tym już dawno zapominaliśmy. A mimo to, udało się wyjść z tamtego kryzysu — stosunkowo szybko — wewnętrznymi siłami społeczeństwa”.

Obecna sytuacja porównuje Jan Szczepański do okresu między pierwszym a drugim rozbiorem Polski. W ciągu tych 21 lat (1772—1793) bardzo mało zrobiono, żeby uratować kraj. Wtedy również istniał powszechny paraliż, zabrakło odpowiedniego napięcia energii i woli narodu.

CZY POMOCIE OPOZYCJA?

W końcu stycznia br. ciekawe spotkanie dyskusyjne zorganizowała wieloletniaopracownia grupa dialogowa „Consensus”. Zastanawiano się nad tym, czy i jaka opozycja może pomóc Polsce? Wprowadzenia dokonali prof. Jerzy J. Wiatr i mec. Władysław Sita-Nowicki. Wystąpienia ich opublikował tygodnik „ODRODZENIE” (nr 12). Redakcja zaznacza, że nie podziela wszystkich poglądów zawartych w drugim zagajeniu i wyrażonych w dyskusji.

Jerzy J. Wiatr stwierdził, że dokonujący się od kilku lat proces zmian zawiera szansę rozwoju opozycji mieszczańskiej w ramach systemu. Może to przynieść co najmniej cztery korzyści: zmniejszenie napięcia społecznego; zmniejszenie apatii i bierności (zwłaszcza młodzieży); zwiększenie skuteczności kontroli nad działalnością władz; umocnienie pozycji Polaków w świecie.

Zdaniem mec. Władysława Sity-Nowickiego zasadniczy problem w dzisiejszej Polsce (także problem opozycji) — co brzo wyraża modlitwa Marka Aureliusza:

„Panie daj mi cierpliwość, a bym umiał znosić to, czego zmienić nie mogę, naucz mnie konsekwentnie i wytrwale dążyć do tego, co zmienić mogę i daj mi mądrość, abym umiał odróżnić jedno od drugiego”.

Władza nasza łatwo i humanitarnie — bez większych ofiar — wygrała stan wojenny. Lecz od szeregu lat przegrwała pokój. Nie wykorzystuje realnych możliwości. Władza potrafi dezintegrować społeczeństwo, a nie umie go integrować, ponieważ boi się opozycji.

„Nie jest obojętne, czy w Polsce będzie jakaś opozycja czy nie, bo jeżeli mamy uaktywnić społeczeństwo, to jakaś opozycja być musi. Można to łatwo wprowadzić, przyjmując założenie, że np. rządząca partia, nieczym stan szlachecki we Francji końca XVIII w. wybie-
ra 60—70 proc. posłów do Sejmu, stan duchowny 10 proc., a trzeci, bezpartyjny stan — 20—30 proc. Można tego rodzaju form i rozwiązań szukać zakładając, że władza powinna być stabilna, że jej nikto nie będzie zagrażał. Nie potrzeba mówić, że my władzy nie oddamy, bo to jest slogan, tak samo niedobry jak slogan, że za wszelką cenę będziemy iść do władzy. Tak nie powinno się mówić między Polakami. Ale koniecz-
nie trzeba wywołać aktywność społeczną”.

Naszego ustroju nie można zmienić, ale trzeba starać się, żeby był jak najlepszy. Musi być autentyczna opozycja, która zna swoje granice i możliwości. W przeciwnym razie nie będzie udziału społeczeństwa w decydowaniu o sprawach publicznych.

Z poglądami Władysława Sity-Nowickiego polemizuje Leszek Jućwicz (komentator tygodnika PRON). Koncepcje partii opozycyjnej w systemie socjalistycznym uważa za nie-
realistyczną. Wątpliwe jest, że-

by opozycja chciała firmować konieczne, lecz niepopularne decyzje. Nierównością jest mniemanie, że społeczeństwo uzna partię opozycyjną za rekompensatę dolegliwości bytowych. Jest natomiast pewne, że mielibyśmy niekorzystną fluktuację nastrojów i oczekiwań. W socjalizmie należy szukać innych rozwiązań. Załącznikiem są Rada Konsultacyjna przy Przewodniczącym Rady Państwa i obywatelskie konweny przy wojewódzkich radach narodowych. Poza tym mamy Sejm i rady narodowe, gdzie reprezentacja ludzi myślących inaczej powinna być większa.

KRYZYS MORALNOŚCI ZAWODOWEJ

Przed kilkoma laty prof. Andrzej Tymowski badał przemiany norm moralnych, które dokonywały się w Polsce Ludowej. W sumie uzyskał około 140 wywiadów. Wyniki omawia na łamach „PRZEGŁADU KATOLICKIEGO” (nr 12).

„Każdy rozmówca stwierdził, że w latach siedemdziesiątych — w porównaniu z latami przedwojennymi, a także okresem lat 1945—1980 — rozumienie pojęcia uczciwości uległo całkowitej zmianie. Niektóre postępy, które przed wojną uchodziły za nieuczciwe, obecnie są tolerowane bądź stanowia już nawet normę postępowania. Ostrość i zgodność sądów na ten temat jest wręcz zdumiewająca: wszyscy rozmówcy utrzymywali, że poziom uczciwości i przestrzegania etyki zawodowej znacznie się obniżył, a naruszenie obowiązujących doład norm moralności zawodowej stało się nagminne. Powszechność tego zjawiska pozwala sformułować przypuszczenie, że powstały nowe wzorce postępowania, sprzeczne z istniejącymi przed laty. Na uwagę zasługuje fakt, że powszechność zjawiska towarzyszy dość powszechny wobec niego krytycyzm: jest ono często przez tych samych ludzi tolerowane w praktyce, a zarazem krytykowane, co można nazwać moralną schizofrenią”.

Kryzys społeczno-gospodarczy pogłębił jeszcze kryzys wartości moralnych. Ale nie ma prostego związku między warunkami bytu pracowników a moralnością zawodową. Świadczy o tym następujący przykład: „Wielokrotnie zauważano, że zanikające od okresu powojennego place służby zdrowia czy nauczycieli mogą być jedną z przyczyn obniżenia się etyki pracowniczej i uczciwości w tych zawodach. Podkreślano jednak także, że stosunkowo najniższy jest poziom uczciwości pracowników budowlanych, podczas gdy ich place znacznie przekraczały średnie zarobki”.

TRZEBA ZAŁATWIC PRZESZŁOŚĆ

Sławomir Mrozek ma rację, że najpierw trzeba załatwić przeszłość, żeby zająć się przyszłością. Nasza przeszłość wyjaśnia teraźniejszość i przyszłość. Tak twierdzi w tygodniku pismańskim „WPROST” (nr 13) Kazimierz Dejmek, z którym rozmawia Błażej Baraniak-Leszczynski.

Znany reżyser i dyrektor Teatru Polskiego w Warszawie interesująco opowiada o własnej przeszłości. Mówi między innymi: „Wyszedłem z ruchu ludowego. Byłem w Drużynach Specjalnych SL, czyli w bojówkach, ale miałem różnorakie kontakty. W naszym domu — na przykład — grupa moich kolegów peperowców miała stałą przystań. Przez parę ładnych miesięcy byłem w bezpośredniej ochronie akowskiej radiostacji, no i tak dalej. Mój ojciec nie wielbił Piłsudskiego, Mościckiego, sanacji i w takiej atmosferze wychowałem się. Moje poglądy polityczne były dość radykalne. Reforma rolna, upaństwowienie przemysłu i w ogóle socjalizm — to mi odpowiadało. Kiedy jednak Leon Schiller zaproponował mi jesienią 1946 roku wstąpienie do PPR — odmówiłem, ale o powodach to może przy innej okazji”.

W roku 1951 Kazimierz Dejmek wstąpił do PZPR. Po marcu 1968 r. usunięto go z partii. Ale legitymacji PZPR nigdy nikomu nie oddał.

E. L.

NA WŁASNY RACHUNEK

Życzliwość od święta

Mniej więcej od Wielkanocy wstępuje w nas nadzieja, bliskiego już nadejścia cieplejszej pory, jakby miała nam przynieść samą radość. A tymczasem rozpoczyna się wycieczki szkolne, potem zbiorowe wyjazdy kolonijne, a na podstawie wieloletnich doświadczeń niemiłosiernie przewidzieć powtarzające się co roku nieszczęścia, którym dalały się w znacznej mierze zapobiec.

Utwierdzam się zresztą w przekonaniu, że pewne plagi i przypadłości są udziałem niektórych społeczeństw nieprzypadkowo. Wiem np. z góry, że co jakiś czas będę się dowiadywał w wiadomościach z krajów arabskich czy z Indii o zatonięciu kolejnego promu z pielgrzymami. Po pierwsze są to bowiem kraje, gdzie w pewnych okresach masowo się pielgrzymuje, i to szlakami wodnymi, jakimś tam Morzem Czerwonym czy Gangesem, a po drugie niedza pielgrzymów podaje sobie ręce z pasernością przewoźników, wskutek czego promy bywają przeładowane ponad wyobrażalną miarę.

Było tak i u nas w pierwszych miesiącach po wyzwoleniu zgruchotanej Warszawy, gdzie prywatni przewoźnicy, przeprowadzający pasażerów przez Wisłę (bo mosty były zerwane), tak ich upychali ciasno w swoich kryptach, że woda niemal sięgała burty. O wypadkach nie mi nie wiadomo, choć może je zatajano, by nie szczyć w społeczeństwie defetyzm i niewiary w nowy ustrój. No, ale mosty odbudowano.

Nie mamy wprawdzie Mekki, nie mamy Gangesu, a w pierwszych pielgrzymkach do naszych miejsc kultu trudno ponieść poważniejszy szwank, ale mamy za to kilka sposobów narażania ludzkiego zdrowia i życia na niebezpieczeństwo.

Co roku więc w okresie wiosenno-letnim dowiadujemy się o tragicznych zbiorowych wypadkach samochodów wycieczkowych czy kolonijnych z niódreżką szkolną. Jak się później zwykle wyjaśnia, zaprzysiężony ze szkołą zakład opiekuńczy, jakaś fabryka czy spółdzielnia, dostarcza szkole ciężarówkę lub autokar dla przewożenia młodzieży tam i z powrotem. A tak się nierzadko składa, że jest to akurat samochód niezbyt sprawny, któremu należałby się remont, na kierowcę zaś wyznaczono człowieka, który jest w danym momencie dla zakładu nieprzydatny, ma bowiem odpysiać podróż służbową, z której wrócił.

Czytałem o takich to właśnie okolicznościach wiele razy przez szereg lat, podobnie jak ostatnimi czasy czyta się coraz regularniej o zatruciach pokarmowych na coraz większą skalę — najczęściej młde brzmiają dla ucha salmonella, która zakasowała indziej drubnostroje, jak choćby wywołujące czerwone, przy czym asortyment potraw, którymi można się zatruć niestannie nam się wzbogaca i już nie wiadomo co niebezpieczniejsze lody, jaja czy tatar...

Zdawałoby się, iż wszyscy już powinni wiedzieć, że zatruciom sprzyja brud, a niestety wiele wskazuje na to, że producenci żywności chcą zaoszczędzić nawet na higienie, podobnie jak organizatorzy młodzieżowych wycieczek chcą oszczędzić dobrego wozu i wypoczętego kierowcy. Ale myślę, że w tych i podobnych sytuacjach wychodzi na jaw przede wszystkim brak wyobraźni, skojarzony z lekkością, że „jakoś to będzie”, że nie wyspany kierowca nie musi przecież zasnąć za kierownicą, albo że nie muszą akurat tym razem ulepić się w nie doszereowanych naczyńach jakieś paskudne mikroby. Bo skoro tyle razy się ryzykowało i nie się nie stało, dlaczego miałyby być raptem inaczej.

O tym zresztą, że np. za pokarmowe zatrucia ponoszą często winę całkiem subiektywne przyczyny, świadczyć mogłyby fakt, iż w okresach tradycyjnych wielkich świąt, kiedy powinni się ludzie zatruwać najczęściej, że względu na nagminne obżarstwo, służby medyczne notują zazwyczaj tylko typowe niestrawności z przejedzenia. Nie chciałbym się ustosunkować do teorii, że zawsze ryzykuje się jedząc „na sucho”...

Otóż puszczając wodze fantazji wyrażilibym przypuszczenie, że całej tej rozlicznej rzeszy niezastąpionych pracowników, zatrudnionych przy szykowaniu jadła na świąteczne stoły, zaczyna się udzielać, pod wpływem wizji ogólnonarodowego wielkiego żarcia, radosne podniecenie. Są to, jak mniemam, te wyjątkowe sytuacje, kiedy u Polaków bierze górę odruch bezinteresownej życzliwości. Nie uchodzi więc paprać jedzenia na taką okoliczność jak święta.

Bo jeśli niektórzy raz około Wielkiej Nocy, jak się słyszy, nawet myją sobie to i owo, mogą też przecież odczuć nagłą potrzebę czystości moralnej. Jest więc szansa, że i tym razem dane nam będzie poprzestać na okolicznościowej niestrawności...

JERZY KWIECIŃSKI

W najbliższych numerach „Odgłosów”

— Nadzieja Allilujewa, druga żona Józefa Stalina, była piękną kobietą o cygańskich urodach. Często nosiła hinduskie sari. Z biegiem lat pojęła, że jej podziwiany i uwielbiany mąż zżerał się chorobliwą żądzą nieograniczonej władzy. Zarłkliwość, ponury, nigdy nie odosłonił przed nią swej duszy. Pewnego razu zdenerwowana opuszcza towarzystwo i popełnia samobójstwo — artykuł JANA BABIŃSKIEGO.

— Gawrila stanowczym tonem wyjaśnił mi, że wojna zbliżała się ku końcowi, że moja ojczyzna została już całkowicie wyzwolona i wypędzono z niej Niemców. Dostałem torbę pełną podarunków od żołnierzy i książkę od Mitki i Gawrily. Ubrałem się w mundur żołnierza Armii Radzieckiej, który uszył specjalnie dla mnie krawiec pułkowy — fragment powieści JERZEGO KOSIŃSKIEGO „Malowany ptak”.

— Czy sami wiemy, co posiadamy? Za granicą wyrażają się z zachwytem o łódzkim Teatrze Wielkim. Stąd gwiazdy idą w świat — korespondencja MALGORZATY KARBOWIAK.

— Oglądałem rośliny i nagle włosy stanęły mi na głowie. Wśród liści poruszyło się coś czarnego. Zdrętwiałem na chwilę, lecz zaraz wszystko się wyjaśniło — wrażenia BOGUMILA A. MAKOWSKIEGO z Palmiarni w Parku Źródłiska, gdzie brak miejsca dla zakochanych.

— Największą przygodą mojego życia to współpraca z Kazimierzem Dejmkiem. Odeszłam, bo już przyszła na to pora — mówi KRYSZYNA BOBROWSKA.

Największa prawda o szczęściu jest ta, że każdy człowiek może być szczęśliwy, jeśli tylko chce i potrafi żyć. Wbrew powszechnemu mniemaniu szczęście zależy przede wszystkim od stanu ducha i umysłu, a nie od warunków zewnętrznych i pozycji społecznej. Z wiekiem dopiero pojmujemy głęboki sens pytania: co pomoże człowiekowi, choćby cały świat zyskał, a szkoda poniosł na duszy swej? Nie tyle ważne jest, co posiadamy i kim jesteśmy w społeczeństwie, ile kondycja psychiczno-moralna. Bogactwo, władza, uroda, sława na nic się zdadzą, jeżeli nie towarzyszy im równowaga duchowa i czyste sumienie.

Jesteśmy w takiej sytuacji, że nie możemy zmienić świata rzeczy i ludzi według naszych pragnień. Nigdy nie będziemy demurgami historii. Zawsze jakieś spłoty wydarzeń i nieznane losy rozstrząsają drogę prowadzącą będą do skutków nie zamierzonych i nie przewidzianych.

Możemy natomiast zmieniać samych siebie. Nasz umysł i charakter są w naszej mocy. Według własnej woli możemy rozpalać lub gasić pragnienia, kształtować potrzeby, wybierać filozofie życia, systemy wartości i cele działania. W tym zakresie mamy najwięcej podmiotowości i wolności. Granice samowychowania są bardzo szerokie. Podejrzewam nawet, że każdy z nas jest w większym stopniu dziełem samego siebie niż bezwonnym wytworem socjalizacji i wychowania.

W dziejach kultury znajdujemy rozmaite (często przeciwstawne) wzory życia szczęśliwego. Prezentowałem już na łamach „Odgłosów” koncepcje hedonistyczne, ascetyczne, stoickie i oparte na miłości. Przypomnę tu, że wszystkie zawierały wspólne przekonanie, iż szczęście wymaga moralnego życia. Wynika z tego wniosek paradoksalny, że szczęśliwi mogą być tylko ludzie dobri. Prawdopodobnie dlatego, że złych jak rdza żłera i dreczy ich zioło.

Szczęście ludzi dobrych (autentycznie dobrych) jest najlepszym uzasadnieniem moralności. Na pytanie — dlaczego mam przestrzegać nakazów i zakazów? — istnieje prosta odpowiedź, ponieważ pozwala to osiągnąć szczęście. Umożliwia dobry byt nawet bez dobrobytu materialnego.

Stanowisko to nie może jednak zadowolić ludzi wierzących. Nauczono ich bowiem, że przede wszystkim muszą brać udział w praktykach kultowych i uczestniczyć w życiu wspólnoty wyznaniowej. Bez tego nie zostaną zbawieni. Ale żaden człowiek wierzący nie jest w stanie udowodnić, że właśnie jego religia jest prawdziwa. Na świecie jest wiele różnych wyznań. Każde z nich ma inny system dogmatów i czynności kultowych. Trzeba więc liczyć się z niebezpieczeństwem wyznawania fałszywej religii.

Znam tylko jeden sposób wyzbycia się tego rodzaju wątpliwości i „zabezpieczenia” spraw eschatologicznych. Należy przyjąć, że nie ma innej możliwości zasługi na wieczną nagrodę oprócz moralnego życia, że cała reszta we wszystkich religiach jest niepotrzebnym lub nieważnym dodatkiem.

Kantowska krytyka religii tradycyjnych

Pierwszym myślicielem, który uznał moralność i tylko moralność za prawdziwą religię był Immanuel Kant (1724—1804). Urodził on się, tworzył, wykładał i umarł w małym mieście pruskim, Królewcu (dziś Kaliningrad), leżącym przy ujściu Pregoly do Zalewu Wiślanego. Na jego grobie w katedrze królewieckiej umieszczono piękną sentencję z książki, którą poświęcił etyce: „Niebo gwiazdziste nade mną, prawo moralne we mnie”.

W słowach tych chciał wyrazić myśl, że moralność ludzka zasługuje w nie mniejszym stopniu na podziw i szacunek niż ład kosmiczny. W porządku natury człowiek niewiele wprawdzie znaczy, jest tylko punktem, epizodem w ogromnym wszechświecie, lecz rozum i moralność podnoszą go do godności boskiej.

Człowiek nie jest zwykłym „fenomenem” (zjawiskiem) podlegającym prawom konieczności przyrodniczej. Jego istota należy do zupełnie innego, świata rzeczy samych w sobie. Człowiek jest „noumenem” (czymś myślanym, rozumowym) z królestwa wolności. O istnieniu wolności świadczą nasze sumienie. A bez wolności moralność nie miałaby sensu.

Moralność uważał Immanuel Kant za religię rozumu, którą odróżniał od religii kościelnej. Ta ostatnia w rzeczywistości odwraca ludzi od moralnego życia, ponieważ skupia uwagę na zewnętrznych przedmiotach i ceremoniach. Religia kościelna oznacza pozorna, fałszywą służbę bożą. Prawdziwa służba Bogu polega tylko na właściwym sposobie życia. Wszystko ponad to, różne „nadprzyrodzone” dodatki stanowią zbędny balast i zabobon.

„Złudzenia wynikające z religijnych czynności kultowych — pisał Kant — z tego, co się czyni, by przypodobać się Bogu, to tylko przesady religijne, analogicznie jak dążenie do jakiegobądź obcowania z Bogiem jest religijnym mistycyzmem, przesadą, złudzeniem, bo można tego dokonać nawet nie będąc człowiekiem do brym”.

Przesadnym, zabobonnym złudzeniem była też dla Kanta modlitwa. Przypisywanie jej jakichkolwiek nadnaturalnych skutków uważał za niedorzeczność. Jego zdaniem, Bóg nie potrzebuje naszych wyrznię i prośb. Modlitwa potrzebna jest natomiast ludowi.

„Przy publicznym przemawianiu do ludu — czytamy — modlitwa może i musi być zachowana, ponieważ daje ona rzeczywistości duży retoryczny efekt i może uczynić wielkie wrażenie, i zresztą w ogóle wówczas, kiedy się przemawia do prostych ludzi, musi się mówić w sposób przemawiający do zmysłów, znitzając się jak najbardziej do ich poziomu”.

Kant nie uznawał Boga jako zewnętrznej istoty. Twierdził, że nie sposób udowodnić jego istnienia ani niestnienia. Bóg jest po prostu myślą człowieka, najwyższą zasadą moralną, postulatem praktycznego rozumu. Bóg tkwi w człowieku. Dlatego człowiek powinien poznać siebie samego.

Immanuel Kant doszedł do przekonania, że istnieje tylko jedna bezwzględnie dobra rzecz. Jest nią dobra wola. Pisał w tej sprawie wyraźnie i jednoznacznie, aby nie było wątpliwości:

„Nigdzie w świecie, ani nawet w ogóle poza jego obrębem, niepodobna sobie pomyśleć żad-

nej rzeczy, którą bez ograniczenia można by uważać za dobrą, oprócz jedynie dobrej woli”.

Kiedy zatem wola jest dobra? Otóż tylko wówczas, gdy w sposób bezinteresowny usiłuje spełnić obowiązki. Nie ma natomiast dobrej woli tam, gdzie ludzie czynią coś dobrego, ponieważ sprawia im to przyjemność, oczekują nagrody bądź obawiają się kary. Prawdziwa moralność nie ma nic wspólnego ze skłonnościami i upodobaniami. Czynny moralnie muszą być absolutnie bezinteresowni. Obowiązek ma być przede wszystkim.

Bezwzględny nakaz moralny

Istotą obowiązku jest podporządkowanie się prawu. Przy czym jedno prawo ma charakter najogólniejszy i konieczny. Jest to bezwzględny nakaz (imperatyw kategoryczny) obowiązujący zawsze i wszędzie wszystkich ludzi. Brzmi on następująco:

„Postępuj tylko według takiej maksymy, dzięki której możesz zarazem chcieć, żeby stała się powszechnym prawem”.

Innymi słowy: zachowuj się i działaj tak, jak chciałbyś, żeby postępowali wszyscy ludzie na całym świecie. Wyobraź sobie, że zasada twojego postępowania miałaby stać ogólnym prawem społeczeństwa i przyrody. Na przykład, jeśli pożyczasz pieniądze wiedz, że ich nie od-

„Dwie rzeczy napelniają umysł coraz to nowym i wzmagającym się podziwem i czcią, im częściej i trwalej nad nimi się zastanawiamy: niebo gwiazdziste nade mną i prawo moralne we mnie” (Immanuel Kant).

Najprostszy klucz do szczęścia

EDMUND LEWANDOWSKI



Sandro Botticelli „Wiosna”

dasz, a obiecałeś zwrot — to nie możesz pragnąć, żeby wszyscy nie dotrzymywali przyrzeczeń, bo wtedy nikt nie wierzyłby w cudze obietnice i sam zostalbyś wysmiany. Albo — jeśli ktoś prosi cię o realną pomoc, to nie możesz mu odmówić. Gdyby odmowa stała się powszechnym prawem, nikt nie mógłby oczekiwać pomocy. W przypadku jakiegobądź nieszczęścia także ty nie mógłbyś liczyć na pomoc.

A oto inny przykład funkcjonowania imperatywu kategorycznego. Ktoś chce odebrać sobie życie. Czy ma do tego prawo? Nie ma, gdyż samobójstwo nie może stać się ogólnym prawem przyrody. Ludzkość przestałaby przecież istnieć, gdyby wszyscy odebrali sobie życie.

Immanuel Kant rozróżniał imperatywy kategoryczne oraz hipotetyczne. Sens pierwszego już znamy. Nakazuje spełnić coś bezwarunkowo i bez żadnych motywów. Czyn jest tu dobry sam w sobie. Natomiast drugi imperatyw zakłada, że czyn jest praktycznie konieczny nie jako cel sam w sobie, lecz jako środek do osiągnięcia czegoś innego (np. szczęścia).

Prawdziwe obowiązki i prawdziwa moralność mogą znaleźć wyraz tylko w imperatywach kategorycznych. Należy przy tym pamiętać, że ostatecznym celem moralności jest człowiek. Trzeba tak postępować, żeby człowieczeństwa własnego i cudzego zawsze używać zarazem jako celu, nigdy zaś tylko jako środka. Wyklucza to samobójstwo i zabójstwo, gwałt, kradzież, oszustwo i wiele innych złych czynów.

Życie moralne miało być całkowicie oddzielone od szczęścia doczesnego i pozagrobowego. Wypełniający obowiązki nie może oczekiwać żadnej nagrody. Powinien postępować wbrew naturalnym skłonnościom. Myśl o szczęściu popycha bowiem ludzi do czynów niemoralnych. Immanuel Kant nie podzielał opinii, że moralność przynosi szczęście, że dobrym jest dobrze. A równocześnie uznawał prawo do szczęścia. Rozumiał, że ludzie niezadowoleni nie będą chcieli żyć moralnie. Szczęście musi więc jakoś kolarzyć się z cnotą, satysfakcją z obowiązkiem.

Nie widział jednak rozwiązania tej kwestii w świecie zmysłowym. I dlatego — jako postulat praktycznego rozumu — uznał Boga i nieśmiertelność. Należy tak postępować, jak gdyby Bóg istniał, choć nie da się tego udowodnić.

Bóg jest potrzebny moralności jako gwarancja sprawiedliwości.

Wadą koncepcji Kanta jest ostre przeciwstawienie szczęścia i moralności. Stworzył etykę zbyt formalistyczną i rygorystyczną, a w końcu niekonsekwentną. Niepotrzebnie upierał się, że czyny moralne nie mogą wynikać z naturalnych skłonności. Wykpił to już zwolennik jego filozofii Friedrich Schiller (1759—1805).

Pewien kantysta powiada: „Chętnie służę przyjaźni, lecz niestety czynię to z powołania i dlatego dręczę się często myślą, że nie jestem cnotliwy”.

W odpowiedzi usłyszał: „Nie ma rady, musisz starać się pogardzać powołaniem i z odrazą spełniać to, co ci nakazuje obowiązek”.

Polemizując z Schilerem Immanuel Kant przyznał, że sama realizacja obowiązku może być źródłem satysfakcji i szczęścia. Ale nie zmienił zdania, że moralność powinna być absolutnie niezależna od ludzkich upodobań i okoliczności zewnętrznych. Silne poczucie obowiązku miało stanowić o wartości i godności człowieka.

Szczęście jest obok nas

To, na co nie mógł zdecydować się Kant, uczynił dwadzieścia trzy wieki wcześniej filozof chiński Konfucjusz (551—479). W jego doktry-

nych ludzi. Szczęście wyniknie samo z powszechnie stosowanej zasady wzajemności.

Klucz do świata i życia

Czy spełniony obowiązek przynosi zadowolenie? Czy ludzie pracy i obowiązku należą do osób szczęśliwych? Odpowiadam bez wahania, że tak. Przekonuję mnie o tym własne doświadczenia i obserwacje innych ludzi. Na pograniczu Pałuk i Poznańskiego, gdzie spędziłem dzieciństwo i młodość, ogromna część mieszkańców wyżywała się w pracy i obowiązkach. Pracę zawodową pierzadko traktowano jako zaszczytną służbę.

Dlatego odpowiada mi bardzo propozycja prof. Jana Szczepańskiego, żeby nie szukać skomplikowanych kluczy do życia i świata, lecz po prostu potraktować życie jako obowiązek. Pisze on:

„Nie starając się rozstrzygnąć zagadnienia, czy świat i moje życie w nim są dziełem Stwórcy, mającego w tym swój zamysł, czy też tylko wynikiem procesów ewolucji, zachodzącej mocą swej własnej natury, całe moje życie polegało na wykonywaniu zadań, zleconych przez rodziców, rodzeństwo, nauczycieli, przełożonych, kolegów czy też przez siebie samego. Zawsze ktoś czegoś ode mnie oczekiwał, coś musiałem dla innych wykonywać, podejmowałem zobowiązania z pełną refleksją lub też podejmowałem je odruchowo jako rzeczywiste zobowiązanie, wynikające z faktu współżycia. Gdy wykonywałem swój obowiązek, moje sumienie nagradzało mnie zadowoleniem (podkr. E.L.), inni udzielali mi pochwał, czulem się dobrze (podkr. E.L.). Czasami zdarzało się, że wykonany obowiązek ściągał na mnie nienawiść i wymysły innych ludzi, którzy w tej sprawie myśleli i działali według innych zasad niż moje. Tak więc wykonywanie obowiązku nie zwalnia od konfliktów, ale pozwala z tych konfliktów wychodzić obronną ręką. Bo przecież obowiązek stoi wysoko na listach cnot — moralnych, społecznych, religijnych, a arbitrem jestem sobie ja sam, bo to ostatecznie sam rozstrzygam, co jest moim obowiązkiem. (...) Oto jest świat, jaki zastałem z całą jego złożonością, oto jest w nim moje miejsce; z tym miejscem są związane takie a takie zadania, wymagające ode mnie wiedzy, umiejętności, sprawności. Po to Stwórca czy ewolucja dały mi głowę i ręce, abym umiał rozeczać, co się koło mnie dzieje, i abym mógł zrobić to, co do mnie należy. Kluczem do świata i życia jest zatem moja inteligencja, moja wiedza, sprawność działania i rozsądek w działaniu. Pozwalają mi spełnić obowiązek”.

Taki sposób życia wyniósł Jan Szczepański z Brzeziny na Śląsku Cieszyńskim, gdzie uczono dobrej roboty i wymagało bezwzględne wykonywanie obowiązków. Człowiek niepracowity i nieobowiązkowy nie zasługiwał na poważne traktowanie. Uchodził za niemoralnego i niereligijnego. W środowisku luteranów wiarę wyznawano się codziennym postępowaniem, a nie żarliwą modlitwą niedzielną jak u katolików.

Podobny stosunek do życia i świata opisał Tomasz Mann w powieści „Buddenbrookowie”. W liście do swej córki, Toni, konsul Jan Buddenbrook pisze:

„Nie dlatego przychodzimy na świat, moja córko, by dbać jedynie o to, co podług własnego, krótkowzrocznego sądu nazywamy szczęściem osobistym; nie jesteśmy oddzielnymi, niezależnymi, wyłącznie dla siebie istniejącymi istotami, lecz stanowimy niby ogniwą jednego łańcucha; nie byłibyśmy do pomyślenia, nie istnielibyśmy, gdyby nie długi szereg tych, którzy nas poprzedzili i utworowali nam drogę postępując zgodnie z wypróbowaną i czcigodną tradycją, bez oglądania się na prawo i lewo”.

Wychowana w tym duchu Antonina Buddenbrook była posłuszną córką. Nie tylko znała dobrze swe obowiązki względem rodziny i firmy, ale odczuwała z nich dumę. Nie rozumiała nawet pojęcia wolnej woli. Jej brat, Tom, następująco pouczał siostrę:

„Szczęście i powodzenie tkwią w nas samych. Musimy je trzymać; mocno, głęboko. Skoro tylko wejdą w nas coś zaczyna się rozluźniać, opuszczać, męczyć, natychmiast wszystko dokonaj nas popuszczaj wodze, opiera się nam, buntuje, uchyla się od naszych wpływów... Jedno wypływa z drugiego, porażka następuje po porażce i wszystko jest skończone”.

Tomasz Buddenbrook miał niewiele lekką skłonność do religii katolickiej, ale faktycznie przeniknięty był — jak czytamy — „poważnym, głębokim, aż do samoudręczenia surowym i nieublaganym poczuciem odpowiedzialności prawdziwego i namietnego protestanta”.

Wspólną cechą protestantyzmu i kantyzmu i konfucjanizmu jest uświelenie obowiązkowego życia i przekonanie, że ludzkość sama może być twórcą własnego szczęścia. Natomiast katolicy za bardzo wierzą w modlitwę i nawińe liczą na cud. Nie pojmują, że Bóg pomaga tylko tym ludziom, którzy sami sobie radzą.

Pisałem kiedyś w „Odgłosach” i „Polityce”, że my, Polacy, jesteśmy narodem ludzi o słabej woli. Innymi słowy, mamy słaby charakter. A to właśnie powoduje, że lekceważymy obowiązki. Słabość woli sprawia też, że jesteśmy zdolni raczej do podłości niż do zła.

„Postawa — pisał Georg Hegel — by szkodzić innym wiedząc o tym i chcąc tego, jest zła. Postawa, która pozwala człowiekowi pogwałcić obowiązki wobec innych, jak również wobec siebie, przez słabość dla własnej skłonności, jest podła. Wyjaśnienie. Dobru przeciwstawia się zło, ale także podłość. Zło liczy się z decyzją woli, Góruje ono więc nad podłością aspektem formalnym, siłą woli, która również jest warunkiem dobra. Podłość natomiast jest czymś, co wynika z braku woli. Postępując podle człowiek ulega swej skłonności i tym samym zaniedbuje swe obowiązki”.

Jeśli zatem widzimy, że ktoś nie wypełnia swych obowiązków i szkodzi innym, nie znaczy to jeszcze, że jest człowiekiem złym. Najprawdopodobniej ma słabą wolę i jest po prostu podły...

Polski Batalion Morski już w 1941 roku walczył u boku Armii Czerwonej

ze str. 1

postanowiliśmy wracać do domu. Tym bardziej, że chodziliśmy słuchali o możliwości zorganizowania sztabu przetrwania do naszych zachodnich sojuszników. Do granicznicy już wówczas Buga dotarliśmy bez przeszkód, rybacy przepłynęli nas na drugą stronę. Jeszcze parę godzin pocłagiem i — byliśmy u celu.

— Wilno, jak i cały kraj wileński, włączyli już wtedy Rosjanie do Litwy.

— Tak, w Wilnie zostawili swoje bazy, posterunki, stworzone zostały także dwa oboje jenieckie dla oficerów i żołnierzy polskich.

— Pan tam również trafił?

— Nie, wzywano mnie tylko i uprzedzono, że powinienem być przygotowany na „skierowanie” do obozu. Czuliśmy, że gruntu pili mi się pod nogami. Mieszkałem trochę u rodziny, trochę u znajomych. Wiedziałem, że funkcjonuje zorganizowana dyskretnie przez ambasadę francuską i angielską siatka przetrwania na Zachód, do armii gen. Władysława Sikorskiego. I chyba pięć transportów, drogą przez Estonię, Szwecję — dotarło do Francji. To już była wczesna wiosna 1940 roku.

— W końcu i pan zjawia się w Tallinie.

— Tak, to było doskonale zorganizowane. Otrzymałem mieszkanie w mieście, utrzymywaliśmy stałą łączność między sobą, a Estonczycy odnosili się do Polaków raczej życzliwie. Przyczynił się do tego niewątpliwie fakt, iż małżonka ówczesnego „naczelnego wódza” Estonii była Polką i bardzo rodakom pomagała. Nawiasem mówiąc, miała też swój udział w szczęśliwej ucieczce naszego „Orla”.

— A i pan w marynarce dołączył się wkrótce stopnia bosmana?

— Latem 1940 roku wkroczyli Rosjanie i choć początkowo nie mieszała się do naszych spraw, rychło wielu Polaków, przede wszystkim oficerów, zaczęły estońskie nowe władze wyłapywać. Szybko zaciągnęli się do marynarki handlowej. Wyłącznie rejsy po Bałtyku, najdalej chyba byłem w Danii. Pływałem między innymi na „Józefie Stalinie”, to był „pasażer”, przewidziany na ponad 900 osób i kursował głównie między Tallinem a Leningradem.

— Wybuch Wielkiej Wojny Ojczyźnianej gdzie pana zastał?

— W Tallinie. Ale Niemcy zajęli miasto dopiero we wrześniu, choć wielokrotnie musieliśmy przeżywać wcześniej ich naloży bombowe.

— Wcześniej miały miejsce fakty, które stały się głównym powodem naszej, dzisiejszej rozmowy.

— Nosiliśmy się z tym zamiarem od wielu miesięcy; w Estonii schroniło się przed hitlerowskim najeźdźcą kilkadziesiąt tysięcy Polaków, w samym Tallinie było nas kilka tysięcy. Młodych, rzutkich, rwałych się do walki z wrogiem. Któregoś dnia, po wielogodzinnych dyskusjach w „swoim” gronie, udaliśmy się we czterech, między innymi z porucznikiem Józkiem Modzelewskim, do dowództwa Floty Bałtyckiej. Zwróciliśmy się z oficjalną prośbą o umożliwienie zorganizowania polskiej jednostki wojskowej, początkowo w skali batalionu, która najchętniej współdziałałaby z marynarką wojenną.

— Dowództwo Floty przystało na tę propozycję?

— Tak, chętnie, udzielił nam dużej pomocy, wstępne zostały również zawiadomienia do „wojenkomatów”, że zaczyna się taka jednostka tworzyć. Natychmiast zebrało nas się około 200 ochotników, załóżek polskiego morską batalionu! Ustaliśmy wspólnie, że będziemy dysponować własnym dowództwem, mieliśmy też zgodę na polskie mundury! Czekał na nie i na broń — intensywnie szkoliliśmy się. Skoszarowani na przedmieściach Tallina z ogromnym zapalem przeprowadzaliśmy wszelkie niezbędne organizacyj-

ne i wojskowe przygotowania. Z musztrą, strzelaniem i rzutami granatów włącznie. Pamiętam, że przeprowadzaliśmy wszystkie ćwiczenia w takim tempie, z taką pasją zaangażowaniem, że radzieccy wojskowi obserwatorzy pełni byli uznaniami.

— W tym czasie „Józef Stalin” musiał się obyć bez swego bosmana?

— No, tak. Byłem urlopowany ze statku, choć zmobilizowany do radzieckiej marynarki wojennej. W naszym obozie przebywałem do 15 sierpnia 1941 roku. Dopiero wówczas Wehrmacht wkroczył do Estonii, wszędzie toczyły się ciężkie walki. Niespodziewanie dostaje rozkaz powrotu na statek. Rosjanie ewakuują swoje sztaby i ludność do Leningradu, do Kronsztadu. Nie mam wyjścia. Przekazuje dowództwo Józefowi Modzelewskiemu; do końca sierpnia miał zakończyć szkolenia i wszystkie sprawy organizacyjne, czyli wejść do działań bojowych.

— Czy tak się stało i gdzie walczył polski batalion morski?

— Pewien jestem tylko jednego: w obronie Tallina, u boku 8 Armii Czerwonej. Tam walczyli z całym poświęceniem. Gdzie ich później przetruciono? Czy dostali się do niewoli? Przeżyli czy zginęli bohaterką śmiercią? Są to pytania, na które nie umiem udzielić odpowiedzi. Dziś już nie pamiętam nazwisk, imion, jeszcze tylko niektóre twarze utkwiły w pamięci, choć i te obrazy sprzed prawie 47 lat rozmywają się coraz bardziej. Nigdy, niestety, nie trafiłem na skromny choćby ślad, jakas wiadomość czy sygnał od porucznika Józefa Modzelewskiego, który pochodził jak i ja z Wilna, nigdy już nie dane mi było słyszeć o losach polskich żołnierzy z naszego batalionu.

— A jakież były pańskie dalsze losy? Wiem, że wystarcząłyby na scenariusz filmowego wojennego dramatu.

— Takie to „dramatyczne” lata. Zdażyłem odbyć dwa rejsy z Tallina do Kronsztadu. Drugi, opisywany w fachowej literaturze wielokrotnie, omal nie zakończył się tragicznie. To było 28 sierpnia 1941 roku; konwój, czy jak mówiliśmy — karawana około 90 przeładownych — ponad miarę statków i okrętów została zdziśiatkowana niemieckim ogniem z wody i powietrza. Dość powiedzieć, że zatopionych zostało ponad 50 jednostek. Trafiony wielokrotnie został także „Józef Stalin”, ale jakimś cudem udało nam się opanować pożary. To był praktycznie ostatni rejs po Bałtyku. Znalazłem się w szeregach piechoty morskiej Armii Radzieckiej i przez 15 miesięcy walczyłem w okopach Leningradu.

— Jakże sceny utkwiły panu najmocniej w pamięci z tego okresu?

— Pamiętam przede wszystkim głód. Nie te powtarzające się, zaciekle ataki, często kończące się walką wręcz, nie mroz nawet, ale — głód. Przez Ładogę w pierwszym rzędzie szła amunicja, broń, dopiero potem myślnio o jedzeniu. Mieszkańcy Leningradu otrzymywali dziennie 150 gram chleba (żołnierz — 300 gram), trochę tłuszczu, bodaj 60 gram mięsa... Byłem szefem kompanii, miałem pod sobą 120 ludzi, i noc i dzień, i dzień i noc, prawie nie luzowani w okopach, na przedpolu Miasta. Jesienią 1942 roku zważył mnie z nóg tyfus. Wraz z grupą rannych i krwawo wyczerpanych ewakuowano mnie przez Ładogę. Trafiłem po wielu dniach podróży aż do Swierdłowska, na ponad 2 miesiące do szpitala. A potem, to już była prawie wiosna, kolejny przydział do „wojenkomatu” kieruje mnie do specjalistycznych batalionów inżynieryjno-budowlanych.

— Następne wezwanie z „wojenkomatu” było prawdziwą niespodzianką.

— Ale jakże radosna! Dostałem plik dokumentów, 125 rekrutów pod opieką i wskazano mi docelowy punkt naszej „wyprawy”: Siedce nad Oką. Tam tworzy się polska dywizja!

— Pierwsze wrażenia? Pamięta pan?

— Wzruszenie, gdy dojrzelismy biało-czerwoną flagę. Prawie każdy tarł oczy. No i niektórzy śmiali się, że ten orzeł taki cudaczny, bardziej kurę przypominający. A on przecież piastowski, z katedry z Płocka „pożyczony”. Ja trafiłem do sztabu artylerii dywizyjnej. I niedługo, bo 1 września 1943 r. przez Moskwę ruszyliśmy na front...

— ...gdzie czekali już na was bagna Międzyrzecz i wioskę Leńno.

— Tak i utkwiło mi w pamięci, jak luzowaliśmy radziecką jednostkę, i ostatnia przed bitwą narada u gen. Zygmunta Berlinga. — mgła. Mgła tak gęsta, że nie było sensu rozpoczynać tak jak planowano 90-minutowego waleu ogniowego. Musieliśmy czekać do 8 bodaj, aż trochę się mgła podniosła... Samej bitwy nie ma co opisywać, zrobiło to już lepiej wielu historyków, uczestników tej pamiętnej batalii. Wycofano nas później w rejon Smoleńska, a dokładnie zajęliśmy wsie Bobory i Szerszuny. Zapadliśmy tam aż do marca następnego roku. Później doszły 2 i 3 dywizja. Wielkie śniegi pamiętam, z tej zimy, w takich tunelach chodziliśmy wysokich na ponad 2 metry. A jeszcze taki szczegół mam przed oczami: jak gen. Zygmunt Berling wydał rozkaz uporządkowania grobów w pobliskim Katyniu. Postawiono krzyże, groby okopano, wytyczono alejki między nimi. Chłop, w którego chałupie „stałem na kwaterze” opowiadał jak w lesie, odległym kilkanaście kilometrów od Smoleńska stworzono w 1939 roku oboz jeniecki. Dla oficerów. Miejsce — nadal jeździł tam na spacer, w niedzielę, ot, jak do Łódzkiej Łagiewniki. A nawet częściej, bo i kontroli tam ani nadzoru takiego znów dokładnego nie było. I pohandlować nie przeszkadzało. Bywało, że jęńcy-oficerowie pracowali przy budowie dróg, co przecież sprzeczne jest z konwencją haską, ale — Rosjanie tej konwencji nie podpisali. — Potem się okazało — opowiadał dalej wieśniak — że oni, zginęli, ale jak? gdzie? kto to zrobił?... Tego już tak dokładnie nie wiedział.

— Co było dalej?

— Już jako i Armia poszliśmy w rejon Zytomierza, potem był Wołyn. Przekroczyliśmy wreszcie Bug. Jako artylerzysta byłem w wyzwoleniu Polacie kilka dni wcześniej przed piechotą, bo stworzono polską grupę wsparcia dla radzieckiej artylerii. No a później przyszły historyczne już miejsca w wyzwoleniu ziem polskich: Chełm, Lublin, Warszawa, Włocławek, Wał Pomorski, Kolobrzeg. Na koniec — Berlin.

— A już po wojnie?

— Akademia Sztabu Generalnego, różne stanowiska w wojsku. I wreszcie zasłużony, myślę, finał: pożegnaliśmy się z wojskiem, już w stopniu pułkownika — w 1974 roku.

— Panie pułkowniku, pozwólcie sobie jeszcze na chwilę wrócić do morską batalionu z Tallina. Ukazało się na ten temat kilka ciekawych publikacji w tygodniku „Kraj Rad”, pisał o tym także sensacyjny epizod wojny światowej „Kurier Polski”, teraz poznali bliżej historię pańskiego życia Czytelnicy „Odgłosów”. Być może wspólnymi siłami trafimy na ślad świadków czy uczestników tamtych historycznych wydarzeń sprzed 47 lat?

— Chciałbym w to wierzyć. Choć była to stosunkowo niewielka grupa ludzi, choć minęło już tyle czasu — być może ktoś się uratował, przeżył. Niech się odezwie, czekam na każdy sygnał w sprawie „mojego” batalionu...

Rozmawiał:
DARIUSZ
DOROŻYŃSKI



Foto: Grzegorz Galasinski

ze str. 1

2.

Za czasów ojca Józefa Stojńskiego na rzecze była betonowa tama, przepusty i drewniane zastawki, przez które doprowadzono wodę do licznych kanałików. Chłopi nawadniali swe łąki i zbierali po kilka pokosów zdrowej, wspaniałej trawy.

Rzeka nie stanowiła zagrożenia z kilku powodów. Woda nie była już skażona przez przemysł i ścieki komunalne, brzegi były wzmocnione kostką i betonem, a w pobliżu brzegów stały równo usypane wale. Sek w tym, że tak naprawdę to od kilkadziesiąt lat koryta Łódki nie konserwowano, począwszy od Brusa aż do jej ujścia do Neru. Wzmocnione kostką koryto przykryła metrowa warstwa muli, wodorostów, korzeni i gałęzi, potworzyły się wiry, zakola i rzeka co rusz wylewała. Wały ochronne całkowicie osiadły, a od jak dawna nie prowadzono tu prac konserwacyjnych, świadczą wyrosłe na brzegach kilometry krzewy i drzewa. Jedynym zabiegiem konserwacyjnym było zburzenie przez koparkę betonowej tamy i pozrywanie drewnianych przepustów i zastawek.

Horror nad Łódką

No i jak raz Łódka wystąpiła z brzegów, to woda przelewała się przez jezdnio, podmywając torę tramwajową. I dlatego zaraz po prawej stronie drogi widać te zwalę ziemi, a dalej równo usypany wał ochronny. Wykonał go własnoręcznie Mieczysław Zwierzynski, który nierzadko walczył nad Łódką z depresją. Ziemi ma skrawek, a na niej parę foliowych tuneli i musi z tego żyć.

Łódź jest zalana asfaltem i betonem i woda nie ma gdzie wsiąkać. Kiedy nad Łódką przejdzie ulewa, wszelkie brudy spływają do Łódki i występują z brzegów, zalewając Brus i Konstantynów z jego dzielnicą Srebrną. Sytuacja pogorszyła się, gdy betonem i asfaltem zalano ogrodniczą Retkinię i zbudowano dziesiątki bloków. Zbudowano także kanał odprowadzający wodę, tzw. burzowiec, ale nie sprawdzono, czy Łódka wszystko pomieści. Zwiększyła się ilość ścieków komunalnych i ścieków przemysłowych, toteż gdy Wojciech Miller, przewodniczący komitetu osiedlowego nr 1 w Konstantynowie, powie, co widzą i czują mieszkańcy po każdym wylewie Łódki, przed oczyma staje obraz z krainy „Barwistanu” pana Juliana Tuwima:

Niebiańskich łnień roztwory,
Bursztyny i fosfory,
Niedojrzałe ciepłe
W przeczczym szkleńcu wkłęk
I alkohole sine,
Przez które widać śmierć,
I płomień w ciemnym płynie
I promień w czarnym winie,
I ciężka blaska rtec.

W „Kwiatkach polskich” papierowe łódki płynęły kolorowym rynsztokiem, natomiast w „Barwistanie” to całkiem inna wizja, z całą pewnością nie dotycząca rzeki Łódki. Poecie chyba nawet się nie śniło, że Łódka może tak kiedykolwiek wyglądać. Niestety, słowo ciałem stało. Ciałem ciekłym i gazowym, szczególnie w ostatnim okresie, gdy stara oczyszczalnia na Lublinku poszła do remontu i stężenie ścieków znacznie wzrosło. Wojciech Miller powiada, że w wolne soboty i niedziele woda taka barwna jak zarobura, lecz w inne dni staje się tak kolorowa, jak barwna są tkaniny produkowane w zakładach im. Juliana Marchlewskiego i w „Wiosnie Ludów”. Wtedy Łódką toczy się fala za falą cuchnąca feerią barw...

Brat J. Stojńskiego, Andrzej, ma gospodarstwo na ul. Brus, położone dość wysoko i najdalej od rzeki, toteż u niego z wodą jeszcze nie najgorzej. Ale tak on, jak i pozostali rolnicy z tej ulicy zwrócili się do Terenowej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej Łódzkiej-Polesie, aby ta zbadała ich wodę ze studni przydomowych. Stacja przesłała próbki wody pobranej 1 lutego 1988 r. do swej imienniczki, TSSE-Łódź-Sródmieście. Badania fizykochemiczne wykazały, że w studni u Jana Karnacza przy ul. Brus 18, woda zawiera m. in. chlorki 39 mg/l Cl, amoniak 0.16 mg l/N, azotany 20 mg l/N, itp. Mętność określono na 1 mg/l, barwę zaś na 30 mg/l PT, natomiast według badań bakteriologicznych wskaźnik Coli wynosi 29. Brzmi to dość enigmatycznie, ale w końcowym orzeczeniu podaje się, że woda nie nadaje się do picia i na potrzeby gospodarcze ze względu na odchylenie od wymaganego składu chemicznego i bakteriologicznego.

Pozornie nieco lepszą wodę ze studni ma Bogusław Szczęch. U Karnacza ogólna liczba kolonii bakterii w 1 ml wody na agarze wynosi 17, a u Szczęcha 15.

3.

Wiatr młóla dużymi płatami wilgotnego śniegu, który zaciera sylwetki idących przez łąkę mężczyzn. To ci z samego dołu, znad rzeki. Wyższy, Marek Kocięba, który po zianianiu ręki nie może jeszcze podjąć roboty, i niższy, Zdzisław Mikus, brodaty, któremu się zatrul byk. Kłną na czym świat stoi, bo co rusz muszą brodzić po pas w wodzie na własnym polu. Placą składki na Spółkę Wodną, ale od lat nikt szpadlem nie ruszył, żeby coś zrobić z tą wodą.

Kiedy wtracisz mimochodem, że jednak coś się robi, wskazując na głęboki rów melioracyjny kilkadziesiąt metrów od rzeki, biegający równoległe do tej koryta, machają lekceważąco rękami. Zaczeli kopać, bo UML zależy na tym, żeby PGR Brus dawał jak najwięcej mleka. PGR prowadził dobra, wysokomleczna obora, ale to się ucięło, bo od lat brakuje siana dla krów. A jak Łódka wystąpi i smrody przeleją się do nowego rowu melioracyjnego, to siana nadal nie będzie.

W wodzie ze studni Zdzisława Mikusia stwierdzono m. in. 70 mg Cl/l, barwę określono na 30 mg l/PT, ogólną liczbę kolonii bakterii w 1 ml wody na agarze w ilości 300, a wskaźnik bakterii Coli 48. Mikus nie wie, co to

znaczy, wiele mu jednak wyjaśniło zatrucie byka, którego wzięli na skupie, bo był zakontraktowany, i ktoś to mięso przetrawił.

Wiadomo, że woda nie nadaje się do picia ani do potrzeb gospodarczych. U Bogusława Szczęcha np. nie nadaje się do przygotowania posiłków dla niemowląt. Pozostałym rolnikom zaleca się intensywną dezynfekcję i powtórne badanie wody. Ba, tylko jak i czym to zrobić? Może wlewać do studni mleko od wścieklej krowy?

Wojciech Miller stwierdza, że zamiast destylować bimber, trzeba się wziąć za destylację wody z Łódki, a wówczas uzyska się czystą wodę i trochę spirytusu fenolowego. No tak, byłoby wesoło, gdyby nie fakt, że rolnicy dowożą wodę z innych okolic. I jeśli nie zrobi się coś z tą kapryśną, smrodliwą rzeczką, jedynym ratunkiem byłby dla nich wodociąg z ujęciem wodnym z dala od Łódki. Mieszkańcy gotowi są podjąć się budowy w czynnie społecznym.

4.

Pojawia się ogrodnik Stanisław Stachura, radny MRN w Konstantynowie, i jedziemy na kraniec ul. Brus, Pole Zdzisława Mikusia i Marka Kocięby już podtopione. Mostek też lewduje się trzema. Konstantynów się rozrósł, jest wiele ulic i wiele mostów. Wszystkie zagrożone. A kiedy się tak patrzy na Łódkę aż do jej ujścia, widać, że mniej więcej 300-metrowe pasy ziemi po obu brzegach wypadły już w zasadzie z produkcji. Nikt tego nie liczył, ale będzie z 200 ha zdegradowanych gruntów ornych i łąk. W Srebrnej ma swoje gospodarstwo spółdzielnia produkcyjna z Dąbrowki. Trawy nie koszą, bo po wylewach skażona, a PZU i tak wypłaci odszkodowanie. Ciągnikiem nie wjedzie na grząską łąkę, jakby to rozwał chłopom, może by zdążyli wykosić trawę kosami. Ale potem woda zaleje siano i całą robotę zaleje trafi. A jak zaleje przed kosba, to PZU powie, żeś celowo zwlekał i odszkodowania nie wypłaci. Albo uzna, że trawa nie należy do struktury upraw podlegających odszkodowaniu.

Wkraczasz na teren Konstantynowa, do dzielnicy Srebrna. Przy ul. Cegielnianej 6 Stanisław Stachura ma piętrowy dom i szklarnię, usytuowaną jakieś trzydzieści metrów od rzeki. Stachura gardłował na sesjach MRN, ale kiedyś to byli nawet tacy urzędnicy, co nie wiedzieli, jak się ta rzeka nazywa. Raz woda poszła pod górke, sforsowała fundamenty i zalala szklarnię. A potem nie spłynęła, bo fundamenty trzymały. Trzeba było tę skażoną wodę wypompować i wymienić ziemię w szklarniach, co kosztuje masę roboty i jeszcze więcej, pieniądze. A ponieważ Stachura ziemię ma stale zalewaną, zatrutą, więc wywalczył działkę zastępczą, z której wozł ziemię do szklarni, żeby uprawiać zdrowe warzywa.

Można nawet świeżej ziemi, ale rośliny trzeba podlewać wodą z rejonu Łódki. I dlatego Stanisław Stachura jeszcze nie poddał tej wody badaniom. Mogą mu, cholera, zamknąć szklarnię. I nie tylko jemu...

W samym Konstantynowie Łódka też sieje spustoszenie. W jednym miejscu, położonym niżej koryta, trzeba było wysiedlić ludzi i wyburzyć domy. Nasypano trochę ziemi, postawiono jakieś budy i szlus.

Na Kościelnej był solidny most, ale podgryzła go Łódka. Fundamenty popękały, most osiadł i postawiono zakaz przejazdu. Do kościoła trzeba jechać okólną drogą. Stanisław Stachura przejechał przez most, a ty ujawniając to na łamach zapłacisz zań

grzywnę na koszt naczelnego. Radnym nie jest wcale do śmiechu. Mówią, że nad Łódźką czar- noziem, w sam raz pod uprawę warzyw. No i dlatego tak wielu tu ogrodników, których ta rzeczka doprowadza do rozpaczy. Stachura nie może korzystać z własnej marchwi, a za zniszczone pomidory w szklarni dostał tylko nie- wielką zniżkę w podatku. No, a ja? Zaleję pół hektara salaty, hektar ogórków lub porów czy selerów? Leżysz jak golec w jeżynach! Bo PZU nie ubezpiecza warzyw. Płaci tylko za zboże i ziemniaki.

5.

Ponieważ Srebrna nie zatraciła całkiem wie- skiego charakteru, zasiadacie wkrótce za sto- lem w kantorku miejscowej OSP. I najstarszy z radnych, Antoni Owczarek, małomówny, zrównoważony, zaczyna wreszcie snuć własne rozważania. Otóż twierdzi on, że mieszkający, a za ich pośrednictwem radni, optowali za sam- modzielnością, gdy pojawiły się zakusy przyła- czenia Konstancynowa do Łodzi. Miejskowa władza blisko, łatwiej więc załatwić problemy lokalne. Sek w tym, że centrum Łodzi, pery- ferie są słabo widoczne, a urząd miejski w Konstancynowie i Spółka Wodna za biedne, że- by się brać do kosztownych inwestycji. Regula- cja Łódki jest konieczna, ale już przed laty ko- sztytóry opiewał na miliony, a teraz to już bę- dzie jakaś liczba z ośmioma zerami. Jednakże w interesie Urzędu Miasta Łodzi leży, aby u- regulować Łódkę i nie stracić selek hektarów żywności, rodzącej potrzebę miastu wa- rzywa. Gdyby więc zasiały przy wspólnym stole władze Polesia i Konstancynowa, przedsta- wiciele spółdzielni mieszkaniowej Retkini, a może i PGR w Brusie, to pewnie by się dog- dali i ujarzmił tę cholerną Łódkę.

Podsuwasz myśl, że warto by pomyśleć o eksperymencie, jaki zastosowano przy zmianie nurtu Widawki podczas budowy kopalni Běl- chatów. Nowe koryto, folia, ziemia, beton. Tru- jące ścieki nie przeszkadzały do gleby. Inwestycja kosztowna, ale pewna i opłacalna.

Wojciech Miller mówi, że to dobre, byle ty- lko nie poszło tak, jak przy budowie zalewu „Jeziorsko” na Warcie, gdzie cały zbiornik miał być wyłożony folią. Zbiornik przecieka, ale za to pomidory rosły, jak nigdy. Bo tę folię wy- wożono autami i powstało setki warzywnych tuneli.

Radny Wojciech Sobczak oznajmia, że śmiech śmiechem, ale on to już ma z tą Łódką trzy światy. Poziom wody podniósł się tak, że me- lioracja na jego polu nie działa, bo wyłot rurek drenowych znalazł się pod wodą. I teraz jest odwrotnie, tzn. ta smrodliwa woda wlewa się do rurek i Sobczak musi ją wypompowywać, żeby mu nie zalała obejścia. Woda z rzeki ni- szczy drzewa, zamuła, a szkodliwe substancje degradują glebę.

Ktoś zauważa, że teraz dużo się mówi o szkodliwości cukru dla organizmu ludzkiego. Wojciech Sobczak dodaje, że wobec tego w Srebrnej i Brusie dwie rzeczy są szkodliwe: cu- kier i woda z Łódki.

Żeby tylko, wtrąca Stanisław Stachura, żeby tylko ta woda... Bo u Stachury zaczęły ginać jajka. Sprząta kiedys łajno kurze w kurniku, patrzy, a tu gniazdo i skorupki. A spod tego gniazda szurł spasyony szcurek! Za nim drugi! Wpakowały się do rury i siedzą, bo z drugiej strony brak wyjścia. Stachura pusił wodę z węży, chyba utopił zbrojów. W ręce się łęga, z rzeki idą do zagrody...

Wojciech Sobczak śmieje się, bo on miał większe szczęście. Patrzy kiedys, a w rurce o- sadowej na podwórzu coś się rusza. Podchodzi bliżej i widzi, że to ogon. Kiedy się pochylał, ogon znikł i pokazały się wazy. Zastawili wy- ście i capnęli stwora z pletwami. Piękny okaz, futerkowy piżmak. Prawie kilometr przeszedł rurami. U sąsiadów także pojawiły się piżma- ki.

No cóż, zaczęła szukać wiosny na Zdrowiu, a okazało się, że jej szcurek zwiastuny można łatwo znaleźć w Brusie i w Srebrnej.

6.

A co starsi mieszkańcy pamiętają, że kiedys plawiono w Łódce konie.

Antoni Owczarek wspomina, że jak osiadł tutaj w 1947 r., to była jeszcze ulica Józefa Piłsudskiego, a on chodził z żoną na spacer nad Łódka. Spacerowali po betonowo-kostko- wym obramowaniu. Chłopcy jeździli tam na ro- werach, kapali się, a nawet łowili zgałki, zwa- ne przyrodniczo ciemnikami.

Jedziesz z Wojciechem Sobczakiem na Dwor- zec Kaliski, wspominacie wspólnych znajo- mych, wracacie do uciążliwej Łódki i stwierd- zacie zgodnie, iż poeta Julian Tuwim miał szczęście, że nie doznał spełnienia swych poetyckich wizji nad Łódka. Bo dziś owe „ekstrakty z wiotkich ziół, balsamy serafickie” nabrały takiej mocy, że nawet krowy odwrac- ają się do nich ogonami.

W Konstancynowie znajdują się takie przed- sięwzięcia, jak „Hydrobudowa 5” zajmująca się budową grupowej oczyszczalni ścieków, Przedsiębiorstwo Budownictwa Wodnego, Przedsiębiorstwo Sprężu i Transportu Wodno- -Melioracyjnego, a przede wszystkim — Przed- sięwzięcie Konserwacji Urządzeń Wodnych i Melioracyjnych z wyspecjalizowanym zakładem usług wodociągowo-kanalizacyjnych i rekulty- wacji. Gdyby więc, jak powiada Antoni Ow- czarek, wszystkie zainteresowane władze szyb- ko się dogadały, mialby kto zrobić porządek z tą kłopotliwą Łódką, i to w sposób fachowy, tak, żeby wróciło nad nią normalne życie. Bo jeśli będzie się z tym zwlekać, to wkrótce za- braknie nam ziem, salaty, ogórków, pomido- rów, gdyż tamtejsi rolnicy i ogrodnicy zamie- niają się w traperów i garbarzy. Będą polować na piżmaki i wyprawiać skórki na cenne futer- ka. To też dobry interes, tylko że bez futerka można się obyć, ale bez świeżych, zdrowych warzyw z pewnością nie...

RYSZARD BINKOWSKI

ze str. 1

do dyspozycji odwołać się nie można, bo jego stronę trzyma, mówi: panie K., niech pan mistrza nie denerwuje, tylko robi swoje. I jeszcze kolegów na mnie nastawiali, że w końcu tylko awantury były, ubliżali mi, straszili. W czasie pracy nawet nie było z kim zwy- czejnie dwa słowa zamienić. A przecież oni młodsi ode mnie, nieraz im pomagałem, jak za- czynali pracę, nie ze wszystkim mogli sobie poradzić. A teraz ja stary, głupi i jeszcze at- mosferę w brygadzie psuję, i kłóczę się i innym przeska- dzam. Czy to może być, żeby tak nagłe wszystko się odmie- niło?

Przez tyle lat żadnych spó- żnień, żadnych wódek w zakła- dzie. Co miałem zrobić — zro- biłem bez sprzeciwu, że tego ja nie chcę, albo inne zrobić później. I dobrze robiłem, po- prawek nie było. I z kolegami dobrze żyłem i żadnych nagani. Spółecznictwo to ja nie działałem. Dom, synowie, zresztą myśla- łem, najważniejsze, to pracę szanować, dobrze robić swoje. Tylko krew oddawałem hono- rowo. Mówili: — Ten K. to solidny pracownik, można na niego liczyć. Syn do pracy przyszedł, potem drugi syn do- rósł, poprosiłem — przyjeźdź do zakładu, też na farbiarnię. Pracuję dalej, nie powiem, za- dowolony, dobrze mu idzie, konfliktów żadnych nie ma. Ale on u innego mistrza. Jak- by był u tego — nie wiem, d. czego by doszło, bo syn bardziej nerwowy niż ja.

Franc przyszedł do zakładu jakieś 7 lat temu. Niewiele młodszy ode mnie — byliśmy najstarsi w brygadzie. Naj- pierw to się zgadzaliśmy, po- magali mi nieraz i ja jemu. Dobrze się układało. Do czasu, jak został mistrzem. Wtedy od- razu — jedyna poprawka, dru- ga. I tylko u mnie. U swoich błędów nie widział, nawet jak- że zrobił. A wszystko przez to, że ja się na wodę nie składałem, po pracy prosto do domu. No nie, tego, żeby wyszy- cy z mistrzem pił powiedział nie mogę, ale są i tacy, to od razu wiadomo, lepsi.

Ja zwracałem nieraz uwagę, że receptura jest zła i dlate- go powstał błąd, nie z mojej winy — to śmiały się ze mnie. Bywało, że swoim ludzom da- wał wolne — a jak zwróci- łem na to uwagę, to powiedział, że ten, co go nie było, wziął sobie dzień z urlopu. Wiedzia- łem, że to nieprawda.

Chodziłem się skarżyć. Dys- pozytorka jego stronę trzymała. W związkach zawodowych też, bo on te związki organizował. Do partii napisałem. Zrobił zebranie, ludzi zwolnili — i znowu wyszło na to, że ja rozrabiam, że nie mam racji. Pewnie, kto się przyzna do swoich błędów albo i złosci. Sekretarz nawet zapytał mnie: panie K., dlaczego pan tak lu- dzi nie mówi? Ale dlaczego nikt nie pomyślał, że jak mówię, to przecież musiałem to wszystko widzieć, że choć trochę prawdy w tym być musi, bo przecież nie wymyślałbym takich rze- czy, żeby potem za oczernianie nieprawdziwe wszyscy się ode mnie odwrócili.

Zaproponowali mi, żebym przeszedł na inną zmianę, ale nie było miejsca. To niech się pan z synem zamieni — mó- wią. Ale jakie to — mam po- prawić sobie a synowi po- porządek? Nie chciałem. To za- proponowali inną pracę — nie na aparatach, jak dotąd, tylko pomocniczą. Dlatego po tylu latach mam odejść od apar-atów, a jeszcze do tego praco- wać w wodzie, kiedy już rece- boją, reumatyzm dokucza? Nie zgodziłem się.

Napisałem o tym wszystkim znowu do partii, do Warszawy. Dostałem odpowiedź, że odes- tali wszystko do Komitetu Łódzkiego, że zbadają sprawę. Ucieszyłem się.

A na drugi dzień — przygo- towałem sobie dwa aparaty. Akurat przyszedł na wydział ze związków zawodowych i była dyspozytorka i inni — w mo- jej sprawie, niby dlaczego nie chcę się zgodzić na zmianę pracy i co się w ogóle u nas dzieje. Włączam aparaty, a tu do mnie pracownik leci, z da- leką krzyczy, ubliża: przecież wiesz, że na jednym miałeś robić, mistrz tak kazał i kie- rowniczka, mnie aparat zaję- łaś.

Wtedy już nie wytrzymał. Nie pierwszy to raz tak było. Wziął ten nóż i poszedł do nich.

— Dlaczego nie chciałeś mnie dać na dwa aparaty — mówię — A może nawet już wtedy

krzyczałem, bo było mi wszyst- ko jedno. Nie wiem, czy ktoś mi odpowiedział. Nie wytrzy- mam już, uderzę — myślałem. I wbiłem nóż. Siebie uderzy- łem, bo ja nikomu krzywdy zrobić nie potrafię. Tylko so- bie...

Jan K. już jest w domu.

Z żoną, chodzi na jakieś za- biegi, opatrunki. Ze związków zawodowych była delegacja, przynieśli cytryny. Wszyscy czekają na decyzję lekarza. Na razie jeszcze zwolnienie a po- tem — Jan K. wróci do pracy, czy nie wróci, może na rentę pojdzie. Bo jak nie pójdzie — będzie kłopot.

Dyrektor fabryki i zastępca do spraw produkcji z przekonani- em zapewniają, że praca cze- ka. Nie ma mowy, żeby Jan K. z racji swego desperackiego kroku miał być narażony na jakieś nieprzyjemności. Jak tylko lekarz pozwoli — może wracać i pracować. Zaproponu- je mu się coś takiego, żeby był zadowolony. Pieniężny nie straci. Ale czy będzie znowu praco- wał na farbiarni, na tych a- paratach, od których tak bardzo nie chciał do innych zajęć o- dejść? Czy zespół nie zaprote- stuje, nie powiedzą ludzi, że z Janem K. pracować nie chcą, bo raz uderzył siebie, a kiedy znowu się zdenerwuje, może innym krzywdę zrobić?

A jeśli nawet nie będą się bali — to przecież, rzeczywi- cie, stosunki w brygadzie nie układały się dobrze. Ostatnio już było tak, że albo awantura — albo faktycznie nikt z Ja- nem K. nie rozmawiał, albo raczej on z nikim. Dyrektorzy wiedzą o tych sprawach mniej, szczegóły lepiej zna dyspozytór Stanisława S., która na co dzień pracuje z Janem K., z mistrzem Francem i całą brygadą.

Jest zdenerwowana, raz je- szcze przypomina sobie dzień wypadku.

— Byliśmy w kantorku — mówi. — Ja, mistrz, koleżanka ze związków zawodowych. Mie- liśmy wspólnie zastanowić się, jak rozwiązać ten problem. Usłyszałem jakiś hałas, od- wróciłem się i zobaczyłem, że stoi Jan K., zakrwawiony, w bruchu ma nóż. Dlaczego nie zaszekał, nie porozmawiał? Dlaczego to zrobił?

Nie wiedziliśmy, że zwracał się o pomoc do Komitetu Cen- tralnego PZPR, ale rzeczywiście wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę, że wytworzyła się sytuacja, która dłużej trwać nie może.

I tu słucham opowiadania o tej samej sprawie.

Zgadza się fakty, a jednak jest to zupełnie inne opowiadanie.

Jan K. od początku był do- brym pracownikiem. Sumienny, zdyscyplinowany, pracowity na każdym stanowisku. Najpierw jako stopkarz, potem jako ro- botnik transportowy, wreszcie, od 1975 r. — barwiarz, przyczony do zawodu na stanowisku pra- cy.

Była to wówczas jeszcze zu- pełnie inna praca i inna far- biarnia. W trudnych warun- kach, w wilgoci i nieprzyjem- nie pachnących oparach. Potem przyszły trudne lata, ludzie z zakładu zaczęli odchodzić, pro- dukcja spadała. Jan K. rzetel- nie trwał na swym stanowisku, pracował, dobrze żył z kolega- mi.

Po najtrudniejszym okresie, na początku lat 80. sytuacja w zakładzie ustabilizowała się i nawet zaczęła zmieniać się na lepsze. Do pracy trafili nowi ludzie — młodzi, po szkołach zawodowych, dobrze przygo- towani do pracy. Przyjeżdżali też nowi barwiarze. Produkcja wzrastała i farbiarnia stała się oczkiem w głowie kierowni- ctwa zakładu. Od pracy tego wydziału i jego wydajności w dużej mierze zależał rytm pra- cy na innych wydziałach. Trzeba było uruchomić trze- cią zmianę. W brygadzie Jana K. znaleźli się ludzie młodzi, wtedy też trafił do zakładu Franc. Kwalifikację miał odpow- iednie — ukończone (choć bez uzyskania dyplomu) studia. Dlatego też przy rozpatrywaniu kandydatów na mistrza — jego osoba była poważnie brana pod uwagę.

Wyglądało na to, że zaprzy- jaźnią się z Janem K. — choć- by dlatego, że byli sobie naj- bliżsi wiekiem w brygadzie. I rzeczywiście, na początku ich koleżeńską współpracą układa- ła się dobrze. Sytuacja zmieni- ła się, gdy Franc został mis- trzem.

Jest to zakład zdecydowanie kobiecy — ponad 80 proc. za- trudnionych. Ale farbiarnia — to wydział męski. Nowy mistrz wiedział, że kierownictwo o- czekało od niego postawy dość zdecydowanej — inaczej w męskich zespołach nie da się uniknąć problemów z dyscypli- ną pracy, pojawiającą się skłonnością do kłószki. Jed- nocześnie — wzrosły także wy- magania jakościowe wobec ro- botników. Rozpoczęto farbowa- nie bawelny — co jest, zda- niem fachowców, o wiele trud- niejsze, doszły inne kolory, tech- nologia zmieniła się i uzyska- wanie dobrych wyników wy- magało od robotników coraz wyższych umiejętności. Egzek- wowanie dobrej jakości — to także było zadanie mistrza. Zdanien przełożonych — nowy mistrz dobrze wywiązywał się ze swoich obowiązków. I na początku i później, gdy stare aparaty zastąpiono nowymi. Warunki pracy na farbiarni poprawiły się znacznie — ale wymagania wobec robotników znowu wzrosły.

I właśnie w tym czasie za- częły się kłopoty Jana K. Co- raz częściej zdarzało się, że farbowane przez niego partie trzeba było poprawiać. Oczy- wiście musiał decydować o tym mistrz — po prostu nale- żyło do jego obowiązków. Zaczęły się konflikty.

Czy na farbiarni brygada z mistrzem pła? Ani kierownik wydziału, ani często wpadający na kontrolę dyrektor do spraw produkcji nie stwierdzili takich faktów. A po pracy — być może, składali się wszyscy z premii na jakiś „wyskok” do baru, ale to już sprawa pry- watna. Jedno jest pewne — nie uczestniczył w tych eska- padach Jan K. Coraz bardziej zaczął „odstawać” od brygady.

Dochodziło do przykrych spiech z kolegami, gdy np. mistrz polecił mu barwić ko- lory jasne — jako łatwiejsze — a on chciał właśnie ciemne, na innym aparacie. Nie tyle o ko- lor chodziło, co właśnie o ów aparat — choć taki sam, ale stojący z drugiej strony, wy- magający nieco innych czyn- ności przy obsłudze, co spraw- iała już trudność robotnikowi.

Robotnicy farbiarni mają spo- sób wszystkich zatrudnionych w fabryce najwyższe stawki godzinowej. Braki i poprawki powodują obniżenie premii i in- ne straty finansowe.

— Nie potracaliśmy mu z pensji — mówi Stanisława S. — z uwagi na nienaganną postawę przez tyle lat. Myśleliśmy, że powoli przyzwyczaił się do nowych warunków, jako star- szemu już człowiekowi jest mu przecież trudniej niż młodemu. I tu słucham opowiadania o tej samej sprawie.

— Nie potracaliśmy mu z pensji — mówi Stanisława S. — z uwagi na nienaganną postawę przez tyle lat. Myśleliśmy, że powoli przyzwyczaił się do nowych warunków, jako star- szemu już człowiekowi jest mu przecież trudniej niż młodemu. I tu słucham opowiadania o tej samej sprawie.

— Nie potracaliśmy mu z pensji — mówi Stanisława S. — z uwagi na nienaganną postawę przez tyle lat. Myśleliśmy, że powoli przyzwyczaił się do nowych warunków, jako star- szemu już człowiekowi jest mu przecież trudniej niż młodemu. I tu słucham opowiadania o tej samej sprawie.

— Nie potracaliśmy mu z pensji — mówi Stanisława S. — z uwagi na nienaganną postawę przez tyle lat. Myśleliśmy, że powoli przyzwyczaił się do nowych warunków, jako star- szemu już człowiekowi jest mu przecież trudniej niż młodemu. I tu słucham opowiadania o tej samej sprawie.

Do związków zawodowych przyszedł syn, prosić o pomoc, bo ojciec czuje się źle, narzeka na to, co dzieje się w brygadzie i jest bardzo zdenerwowany.

— Po raz kolejny zapropono- waliśmy już na piśmie — mówi Stanisława S. — zmianę pracy: jeden aparat i pracę po- mocniczą, płaca taka sama. Nie zgodził się. Nie chciał również podpisać odmowy. Chciał wła- ściwie tylko jednego — pozosta- ła w tej samej brygadzie, przy

tej samej pracy, ale — z in- nym mistrzem. Gdyby mistrz miał konflikty także z innymi robotnikami — gdyby były na niego skargi albo uwagi co do jego pracy na pewno zastano- wilibyśmy się w kolektywie, czy jest to odpowiedni człowiek na tym stanowisku. Ale nie ta- kiego nie miało miejsca.

Daliśmy Janowi K. tydzień czasu na zastanowienie się nad naszymi propozycjami. Po ty- godniu zebraliśmy się na wy- dziale — i właśnie wtedy zda- rzło się to nieszczęście.

Dwa opowiadania o tym samym — choć tak podobne — różnią się jednak w ocenie przyczyn. Obie strony mają swoje racje.

Musi mieć je człowiek, któ- ry odważył się na tak desper- acki krok — ale mają je rów- nież ci, którzy patrząc z boku czy z góry muszą każdą spra- wę widzieć nieco inaczej, po- przez interes zakładu jako ca- łości. Zresztą, gdyby nie dość spektakularny i — na szczę- cie — nietypowy finał jest to historia, jakich wiele.

Jan K. należy do pokolenia, od którego historia bez przerw czegoś chciała. Pozbawiony dzieciństwa, jak tysiące wojen- nych dzieci, młody w czasach, które nie sprzyjały zabawie i pełne były szumnych hasel bez pokrycia, cały czas oczekujący na lepsze jutro, do nadejścia którego przyczytniał się naj- lepiej, jak umiał — solidną pra- cą.

Prawda, że inni ludzie w tym wieku zajęli wysokie stanowis- ka, zdobyli order — ale nie wszyscy. Większość po prostu osiągnęła wiek mocno dojrzały, pracując na miarę swych moż- liwości. Dobrze pracując. Czego jeszcze mogą nauczyć się teraz? Trafiający do zakładów młodzi ludzie, w wieku ich synów czy wnuków, wiedzą więcej i le- piej potrafią dostosować się do zmian. Niczyja to wina i ni- czyja zasługa. Zwykła cenna młodość. Czy jednak przez to Ja- nowie K. są gorsi? Czy nie liczą się lata, gdy wszystko, co do- brego działo się w zakładzie, w kraju zawdzięczano takim jak on?

Wielu ludzi przeżywa obec- nie rozterki i problemy, któ- rych przyczyną jest po prostu czas: nowe maszyny, nowe technologie, nowe wymagania. To samo czeka tych, którzy dziś, pełni wiedzy o automa- tach i komputerach, rozpoczyna- ją pracę z przekonaniem, że są najlepsi.

Czy jednak Janowi K. pomo- że świadomość, że jest jednym z wielu? Czy, na jak się zdobył, świadczy, że jest on człowiekiem ponadprzeciętnie wrażliwym, i wobec tego po- trzebna jest mu, bardziej niż innym, życzliwość i zrozumie- nie. Niewątpliwie jego desper- acki krok wszystkich, którzy mieli z nim i jego sprawą kon- takt skłonił do przemyśleń. Miejmy więc nadzieję, że — zgodnie z zapewnieniem kie- rownictwa zakładu — właśnie życzliwości i zrozumienia nie zabraknie, gdy skończy się już zwolnienie.

TERESA JERZYKOWSKA

OD REDAKCJI. Fakt ten zda- rzyl się naprawdę. Zdarzył się w kontraprawie podłożu im miasteczku, w konkretnej fa- bryce, wśród ludzi, którzy ma- ją swoje imiona, nazwiska i ad- resy. Człowiek popełnił czyn desperacki i musi ze świadom- nością tego uporać się, aby móc żyć dalej. I właśnie dlate- go w reportażu Teresy Jerzy- kowskiej pominęliśmy wszystkie nazwy, zmieniliśmy nazwiska, zastępując je inicjałami lub zmieniając dla swego ego zdarzenia wszystko jest wpraw- dzie rozpoznawalne, ale nie chcemy dawać powodu nowym plotkom i pomówieniom. In- tencją naszą jest spowodowa- nie zastanowienia się nad takim i podobnymi faktami. Żyjemy przecież wśród ludzi. No wła- śnie...

ODGŁOSY 5



Foto: Grzegorz Gałasiński

Mój kum jest inżynierem, ale pociąg nie z niego nie będzie. Przyszedłem do kumy w niedzielę przed południem i co widzę — w jednym pokoju żona baruje się z dziećmi, a on siedzi w drugim nad butelką i ogląda program dla najmłodszych. W domu piekło, no bo co to za tata: nie ogolony, w szlafroku, kiwający się na krześle jak w poczekalni dworcowej i blokujący dzieciom dostęp do telewizora. Uradował się na mój widok, wyjął drugi kieliszek i powiedział:

- Pił!
- Nie.
- Czemu?
- Bo nie mogę na to patrzeć.

Przypomniał mi się nagle niejaki Słupka. Wiedziałem, że jest: nierzaz przypomniał się ktoś na zasadzie odległych skojarzeń. Słupka w młodości też chciał zostać inżynierem i wszyscy wrócili mu ogromna kariera, pod warunkiem wszelako, że odstawi alkohol, do którego od dziecka miał bydlęcy sentyment.

Pocieszyłem jak umiałem kumową i opuściłem dom przy ulicy Wróblewskiego. Doceniałem dwunastą. Ssało mnie uczucie pustki i najchętniej szarpanym sobie owej niedzieli w łeb, ale nagle zobaczyłem pod murami Łódzkiego Klubu Sportowego ogromny tłum i poróżniano mi trochę na sercu, jako że jestem zapalonym kibicem sportowym i lubię czasem popatrzeć na dobry mecz.

Parkingi były szczególnie zatłoczone, kierowcy kłócili się o każdy skrawek chodnika, dwóch wyrostków trątało w krzakach trzeciego, a ludzkość parła do wszystkich wejść: od krzemienieckiej, Karłowickiej i alei Unii. Plot reprezentacyjnego Łódzkiego stadionu budzi zagrożenie. Kiedyś, wiele lat temu dmuchnął wiatr i jedna ze ścian zawaliła się z kretesem, wraz z tabliczką, że Totalizator Sportowy nie tylko wyciąga hazardzistom z kieszeni ciężko zarobiony grosz, lecz również buduje różne obiekty rekreacyjne. Cud, że nie było ofiar śmiertelnych, ale niewykluczone że jeszcze wszystko przed nami, bo teraz zamiast murowanego ogrodzenia cały jeden bok stadionu przykryty jest tekturowymi planszami i wystarczy lekka szarża chuliganów, aby połała się krew.

Pomiędzy długimi żelaznymi barierkami stała bramkarze pilnujący, aby nikt nie wcisnął się na stadion bez biletu. Byli wśród nich ludzie młodzi, tylko patrzący, aby rąbać kogoś w ucho, ale byli i starcy o łagodnych obliczach, więc zwróciłem się do tych ostatnich:

- Jak tu wejść, panowie?
- A kupić wejściówkę.
- Gdzie?
- W kasie.

Pokazał mi psia budę, w której niewiasta sprzedawała po stoście bilety.

Pomyślałem, że niedrogo. Zapłaciłem. Minąłem bramkarzy i dopiero wtedy zrozumiałem, że nie ma żadnego meczu i że cały ten przekłety tłok tworzą handlarze. Błocko sięgało do kostek, dulo w pysk wredne wiatrysko, ludzkość miażdżyła sobie żebra łokciami, a liczne szpany farmazonów czekały na tłum.

Nie lubię żadnych targów i giełd, więc chciałem zawrócić, ale wówczas mignęła mi w tłumie znajoma twarz niejakego Słupka. Wiedziałem, że to jest. Najpierw, a kuma, miałem odległe skojarzenie, a potem, zgodnie z nie wyjaśnionym naukowo prawem telepatii, zobaczyłem na stadionie obiekt moich młodzieńczych wspomnień.

— Słupka — wrzasnąłem.

A on zniknął.

Zatem powiem wam tymczasem, kim był Słupka, jak miał kilkanaście lat. Ow maly i brzydki jak nieszcześnie paskudnik, nadający się wprost do jednej z powieści niejakego Calopala, zawołany onanista, papierosiarz i alkoholik w jednej osobie, stawiany był mimo wszystko chłopcom za wzór, jego zdolności graniczyły bowiem z geniuszem. Przed maturą skonstruował sobie własnym przemysłem zegarek na rękę i cud to było tylko trochę mniejsze od budzika. Po maturze, już jako student Politechniki, zrobił sobie własnoręcznie rower, który następnie przeistoczył w motocykl i jak wyjeżdżał na Piotrkowską waląc z zardzewiałej rury wydechowej spalinalami, łodziłanie lka-li i przeklinali chwilę, kiedy ten utalentowany nicpoń przyszedł na świat.

Słupka rzeźbił, grał na mandolinie, układał spróśne wierszyki na przywódców, biegle posługiwał się językiem chińskim i japońskim, a po studiach, które skończył z wyróżnieniem, wyjechał na Zachód i wedle ploty odniósł tam niebywały sukces. Udoskonalił jakiś siewnik rolniczy, czy coś; wynalazł trutkę na komary;

Każdej niedzieli przychodzą tu tysiące ludzi, każdy płaci po 100 złotych. Na co pójdą te pieniądze?

Tłok na stadionie

ANDRZEJ MAKOWIECKI

wszedł do pewnej arystokratycznej rodziny i dostałby chyba Nagrodę Nobla, gdyby nie fakt, iż któreś nocy pomylił mu się pokój i zamiast spocząć w małżeńskim łóżu, zrobił dziecko pasierbicy.

Do kraju przyjeżdżał nasz wrócił w stanie wojennym. Wzbudził niepokój, czy nie przyłączy się do jakiejś ruchawy, ale zaraz wszystkich uspokoił, iż jedynym jego marzeniem jest praca habilitacyjna, którą zamierzał napisać we Wrocławiu.

Oto, proszę szanownego państwa, kim był Słupka, który objawił mi się raptownie na stadionie ŁKS-u, a potem zniknął jak sen jakiś złoty.

2.

Rozdarł się nagle głośnik giełdowy:
— Lekarsko na „hamoroidy” sprzedam! Wiadomość w informacji!

A potem znów się rozdarł:
— Akcje odszczurzenia biur i urzędów przeprowadza fachowo firma — tu padło nazwisko i telefon.

— Przyczepę campingową (adres)!
— Mitynek i ekspres do kawy (telefon)!
— Encyklopedię powszechną (adres)!
— Krem do potnia (telefon)!
— Kasowe dalmatynczyki (informacja)!

Tymczasem gość ze szpary złodziejskiej wrzasnął odczytując:
— Sprzedam tania szczeniaki po bokserze i koszykarce!

Na to podszedł do niego przedstawiciel sfer sportowych, przyciągnął go za kłapy i mrucnął zwiędzając:
— Jak dam w ryja, to wewnętrzności wyjdą przelotem!

— Jezu kochany, okradli! — zapiszczało stukłowe babsko.
— Z pieniędzy?
— Z bonów.

— Pani zaczęła, zawołam milicję.
— A idziesz pan do cholery z milicją! — zaprotestowała kobieta i odszedłszy na stronę dała upust swojej rozpaczyci macając się konwulsyjnie po kieszeniach.

— Za pięćseta wskazą pani złodzieja — zaproponował uprzejmie obwieś, którego szlachetna twarz dowodziła, iż krąść zaczął już w wieku przedszkolnym.

— Kasety wideo o śmiałej treści (informacja)!
— Komputer Commodore (adres)!
— Samochód sportowy (telefon)!
— Nowoczesna szkoła tańca towarzyskiego (nazwisko)!

Sięgnąłem po papierosa, ale nie było ich. Brakowało także czterystu złotych, które wydała mi niedawno kasjerka. W tej sytuacji przestałem się spieszyć i postanowiłem napisać reportaż dla „Odgłosów”, aby zredukować stratę, co niniejszym daję pod rozwagę redaktora naczelnego prosząc o szybki druk i godziwe honorarium.

Siedzieliśmy sobie od straganu do straganu, od stoiska do stoiska, i niebawem ustaliłem, że to, co się dzieje pod wałami Łódzkiego Klubu Sportowego przypomina do złudzenia szaleństwo Polaków w Debreczynie, gdzie po jednej stronie rynku możesz kupić węgierskiego konia, a po drugiej bluzkę z „Anilany”. Jesteśmy obecnie narodem o zdecydowanym i nieprzewidywalnym instynkcie handlowym i w ciągu najbliższych stu lat nie się nie zmieni. Ja wam to mówię, szczerze choć wykształcone chłopisko, które tyra na co dzień w redakcji, a od święta para się ponurym reportażem, żeby dać świadectwo obyczajom.

Notowałem ceny. Spodnie sztruksowe — dwadzieścia, koszula sztruksowa — dwadzieścia jeden, kożuch damski brązowy — sto czterdzieści, kożuch damski beżowy — sto sześćdziesiąt, japońskie radio na sieć i baterie — dwieście osiemdziesiąt.

Muszę przerwać na chwilę wyliczankę, bo ra-

dio nastawione było na Wolną Europę, i beczła akurat w ramach wspomnień nasza nieodżałowana koleżanka Grabuła, ta sama, co zaprosiła do siebie szwagra z Polski i poszczuła go niemiecką policją.

Wokół radia o słusznych rozmiarach ustawił się tłum wielbicieli.

— Dobrze wali! — zauważył z humorem miłośnik kapitalizmu.

— Bzdury! — warknął miłośnik socjalizmu.

Na to wtrącił się znawca wrażeń rozgłośni:

— Coś mi tu nie gra. O tej porze „Wolna Europa” nie nadaje.

— Bo to z tamtych historycznych dzide, panowie!

— Skandal, krótko mówiąc!

— Popelina!

— Trzeba wezwać siłę porządkową!

— Krakowiaczek ci ja! — zaśpiewało w odpowiedzi radio i jądro sporu przestało istnieć.

Pasta do zębów — tysiąc złotych, sok pomarańczowy duży — dwa, kawa — cztery, opaska na przepuklinę — pięć, kombinacja kąpielowa drugiej świeżości — dziesięć, stereofoniczna wieża głośnikowa — pół melona. Szanowne obywateli, Brać i nie gadać mi, że drogo!

Kolejnym moim wstrząsającym ustaleniem było odkrycie, że połowa handlujących wywoziła się ze średnich i wyższych sfer społeczeństwa, od magistrów w górę. Część absolwentów wyższych uczelni uprawiała swój niedzielny proceder dyskretnie i z luną wstydu na licach, reszta natomiast nie kłopotowała się zupełnie.

— Witam panią magister, po ile majtki — pozdrowiła baba babę.

A gość o posturze szalonego matematyka zawył ponuro:

— Odkąd wyrzuciłem do śmietnika całki i różniczki i zacząłem handlować, w moim domu zaswieciło słońce i żona nie wrzeszczy już wieczorami, żebym umył nogi.

— Aspiryna — tysiąc, anticol — sześćdziesiąt.

— Kupię opony do poloneza — zahuczał głośnik.

A na boku faceta do faceta.

— Przerzuciłbym ci szukam.

— Polskich czy zagranicznych?

— Szczelnych. Takich, żeby nie podłapać adidasa.

— Zaczekaj pan, pogadamy ze starą.

A tam, gdzie kiedyś był basen, zabulgotała woda i ten, co trochę przedawkował, rzygał rozpaczliwie w błoto wołając na pomoc wszystkich świętych.

3.

Giełda na ŁKS bez wątpienia jest imprezą pozytywną, gdyż krzewi kulturę ze szczególnym uwzględnieniem czytelnictwa. Od strony wejść na trybunę ustawili się rzędem bukińczyci, a jeden z nich, wyspecjalizowany w literaturze kryminalnej, zarykiwał się wniebogłosy nad fragmentem opowiadania Hammetta, które sylabizował na głos przed kumpami, ci zaś, przywdziałszy na twarze surowe maski profesorów, kiwali z aprobatą głowami.

— Uważajta, teraz jest dobre! — zaapelował do kolegów bukińczyków i cytował:

„Zbyt późno dowiedziałem się, że kim mam do czynienia i skrzywdziłem wczoraj jednego z pańskich stużących. Wiem, że niczym nie mogę okupić strasznego uczynku, ale mam nadzieję, że każę mi pan podciąć gardło i pozwolę, abym w akcie skruchy wykrwawił się na śmierć”.

— Nadzwyczajnie! Doskonale! — zachwycali się bukińczyci.

Mnie też się podobało, więc pytam:

— Ile pan chce za ten zeszyt?

— Dwieście.

— A za „Sokoła maltańskiego”?

— Osiemset.

— Przecież w księgarni „Sokol” kosztuje tylko trzysta.

— To idź pan do księgarni.

Minąłem bukińczyków i ku swojemu komplet-nemu zaskoczeniu dojrzałem Słupka, który nie powiedział bynajmniej giedy, aby nabyć trudno ucnwijną i nieodzowną do pracy naukowej pozycję z dziedziny literatury technicznej, lecz przybył tu z majdanem w celach handlowych. Ugościł on tam nie miał na gazecie pod nogami Słink do pralki automatycznej, dwie paki tenisowe i parę tenisowych skarpetek o średniej skali zużycia, puszkę belgijskiego „va”, paczkę amerykańskich papierosów, spłoszek dziecięcy, lep na muchy i wiązania narciarskie, a obok tego, na osobnej gazecie, kilka świerszczyków i pismo Adwentystów Dnia Siódmego.

— Czołem, Słup — pozdrowiłem go kordialnie.

— Poznajesz przyjaciela ze szkoły?

— Ooowóżkowi! Nie pamiętam, jak się nazywa, ale czyba jesteś tym kretynem, co nigdy nie umiał rozwiązać równania z dwiema niewiadomymi i miał cię wysłać do Tworek w celu transplantacji dwóch albo trzech zwojów kory mózgowej.

— Słusznie gadasz — przytaknąłem. — A co u ciebie?

— W porządku.

— Słyszałem, że będziesz się habilitował?

— Nie.

— Dlaczego?

— Bo to nie ma przyszłości. Otwieram butik i zakładam spółkę akcyjną, która będzie kooperować przy budowie nowego lotniska. Opracowałem także plan budowy metra.

— W Łodzi?

— Tak.

— Dziękuję w imieniu gospodyń domowych.

— Nie ma za co. Kopa chcesz?

— Nie chce.

— Ale nie w tylek, w życie!

— Nie używam narkotyków i nie piję. Jestem skromnym i uczciwym człowiekiem, który szuka pracy.

— A co byś chciał robić?

— Zająć prywatną księgarnię. Znam jednego pięćdziesięcioletniego poetę, który wydał dwa tomiki wierszy. Obydwa nakłady są jeszcze niewyczerpane, więc mogłbym posadzić go za ladą i on by podpisywał swoje dzieła własną krwią.

— Bez perspektywy! — zawyrokował Słup. — Namów swojego poetę, żeby zrobił powieść pornograficzną, to wtedy możemy pogadać.

— Przekażę mu twoją skrzydlatą myśl.

— Przekaż. A teraz spijaj! Masz smutną gębę i ploszysz mi klientowi.

Opuściłem giełdę zdruzgotany. Skoro nawet genialny Słupka przekabacił się już na prywatną inicjatywę, to mnie pozostaje już tylko sznur wisielca. Świat jest okropny. Świat jest wstrętny i cyniczny. Niedługo na szpitalnym łóżu śmierci dostanę w pysk od siostry oddziałowej, jeśli nie pokrzepię jej w porę butelką perfum.

Roztaplane, sięgające kostek błoto napawało mnie obrzydzeniem. Stadion Łódzkiego Klubu Sportowego jest w gruncie rzeczy ruiną — na każdym kroku kładki i wykopy, polamane bariery, poszarpane ogrodzenia, oblażące z farby budynki, gnijące baseny i gnijące korty. Ale komu to szkodzi? W niedzielę, kiedy jest po temu pora, ŁKS nie bawi się w żadną charytatywną działalność sportową dla dzieci i młodzieży, tylko zamienia się w kłóskę i handluje. Robi to oczywiście w harmonii z powszechnym trendem do nabijania kasy. Każdej niedzieli odwiedza giełdę kilka tysięcy ludzi, a po sto złotych płacą bez wyjątku wszyscy sprzedający i kupujący, co daje w końcu niezły grosz. Na postojach pod stadionem pisze:

„Parking niestrzeżony, płatny”.

Z tego też można wyciągnąć wór pieniędzy. Pozostaje nadzieja, że będą one przeznaczone na remont obiektu, ale trudno również wykłuzczyć, że kupi się za to jedynie kawalerkę dla zawodnika.

Wylazłem z trudem ze stodoły, ale nagle ból w piersi omal nie powalił mnie na ziemi. Odkaszlnąłem, wypływając trochę krwi. Zebrałem wszystkie siły i po chwili dowlokłem się na wzgórze. Most zniknął. Zniszczyła go zapewne ta wielka eksplozja. Z lasu powoli wypelzaly czołgi, za nimi posuwali się żołnierze w hełmach, idący tak niezdalnie, jak na spacerze w niedzielne popołudnie. W pobliżu wioski za stogami siana ukrywali się Kalmucki, ale kiedy ujrzeli czołgi podnieśli ręce do góry i wyszli, chwytając się wciąż na nogach. Odrzucili swoje karabiny i pasy z przytroczonymi rewolwerami. Niektórzy padli na kolana i prosili o litość. Żołnierze radzieccy popędzali jeńców bagniami i metodycznie formowali ich w grupki. Szybko schwytali większość Kalmuków. Konie wziętych do niewoli żołnierzy pasły się spokojnie nie opodal. Czołgi zatrzymały się, ale do wsi ciągle przybywały nowe oddziały. Na rzecę pojawił się ponton. Saperzy oglądali uważnie zburzony most. Nad naszymi czołgami przeleciało kilka samolotów, kiwając na powitanie skrzydłami. Byłem jakby zawiedziony; wojna wydawała się skończona.

Na polach wokół wsi zaroilo się teraz od rozmaitych pojazdów. Żołnierze rozbijali namioty, ustawiali kuchnie, polowe, przeciągali kable telefoniczne. Spiewali i rozmawiali w języku przypominającym miejscowy dialekt, ale nie wszyscy byli dla mnie zrozumiałe. Domyślałem się, że żołnierze mówili po rosyjsku. Wsielnicy z niepokojem przypatrywali się nowym gościom. Kiedy niektórzy żołnierze ukazywali swoje podobieństwo do kalmuckich twarz Ubełkow czy Tatarsów, kobiety krzyżały i cofały się w przestrachu, mimo iż przybyły usmiechali się szeroko.

Na polu wkroczyła grupa chłopów niosących czerwone flagi z nieznadnie namalowanymi napisami i motłami. Żołnierze pozdrowili ich radośnie okrzykami, a dowódca pułku oświadczył, że z namiotu na powitanie delegacji, uściśniali chłopom dłonie i zaprosił ich do swojej kwatery. Chłopi stąpali się wielce, pojeżdżali czapki, nie wiedzieli, co mają zrobić z flagami, i w końcu pozostawili je na ziemi przed wejściem do namiotu.

Koło białej ciętarówki z czerwonym krzyżem na dachu lekarz w białym kitlu i kitku sanitariuszy opatrywały rany kobiet i dzieci. Ludzie chcieli widzieć wszystko, co robi lekarz, ambulans otoczony był tłumem ciekawskich. Za żołnierzami biegali dzieci, dopraszając się cukierków. Żołnierze bawili się z dziećmi, przynajmniej te do siebie. W południe cała wieś obiegła wiadomość, że Czerwoni żołnierze wszystkich schwytanych Kalmuków powiesili za nogi na dębach nad rzeką. Nie zwążając na ból w piersi i zranioną rękę powlokłem się tam w ślad za tłumem zaintrygowanych mężczyzn, kobiet i dzieci.

Już z daleka widać było Kalmuków; zwisali z drzew jak przerosnięte, zeschłe szyszki sosnowe. Wisieli pojedynczo, na sznurach określonych wokół kołek, ręce mieli związane na plecach. Żołnierze radzieccy o usmiechniętych, przyjaznych twarzach przechadzali się między drzewami i spokojnie skrecali papierosy ze strzępków gazet. Mimo że żołnierze nie pozwalali chłopom zbliżać się za daleko do Kalmuków, parę kobiet rozpoznano swoich prześladowców i zaczęło obrzucać zwiastając beznadziejnie ciała grudami ziemi i kawałkami suchych gałęzi.

Powieszonych Kalmuków obsiadły muchy i mrówki, wchodziły im w otwarte usta, wchodziły do nosów i oczu, w uszach zakładały sobie gniazda; potargane wlosy Kalmuków roily się od robactwa. Owady nadlatywały tysiącami, walczyły między sobą o zajęcie jak najlepszych miejsc na ludzkim ciele.

Wisieli kołysali się na wietrze, jedni kołysali się z wolna, jak wędzone nad ogniem kiełbasy. Inni dygotali, wstrząsani drszczeniami szeptali coś do siebie albo krzyżowali przejmujące cęczyły głosami. Byli i tacy, którzy wyglądali jak martwi. Wisieli z szeroko otwartymi, nieruchomymi oczami, żyły na szyjach nabrzmiewały im monstrualnie. Wisieli rozwalili w pobliżu ognisko i całym rodzinnym przylgali się wsiwczym Kalmukom przypominając sobie ich okrucieństwo i radując się, że spotkali ich taki koniec.

Drzewami wstrząsał silniejszy podmuch wiatru. Drżące ciała zaczęły coraz większe koła, chłopcy poczęli zęgnąć się znaktem krzyża. Rozglądałem się wokół szukając śmierci, ponieważ czułem w powietrzu tej technię. Miała twarz martwej Marty. baczowała sobie posród gałęzi dębów, delikatnie ocierając się o wsiwczych ludzi, spowijając ich palczymi niemi, wysnutymi ze swego przezroczystego ciała. Szepotała im do uszu zdradliwe słowa: pieszczotliwie sacyła chłód w ich serca; ścisłała im gardła.

Teraz zbliżyła się do mnie bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Mogłem niemal dotknąć tej zwiędniętej zastony, zairzeć w jej zamglone oczy. Stanela przede mną, wdzierać się kokieteryjnie i dając mi do zrozumienia, że jeszcze się spotkamy. Nie bałem się jej: miałem nadzieję, że zabierze mnie na drugą stronę lasu, na bezdenne trzęsawiska, gdzie konary drzew nurzają się w kotłach dymiących oparami siarki, gdzie noca słychać wysoki, suchy klekot spółkujących

W ostatnim numerze „Odgłosów” z 1987 roku opublikowaliśmy fragment powieści Jerzego Kosińskiego „Malowany ptak”. Wywołalo to sprzeczne opinie Czytelników. Jednym się podobało, choć wybrany fragment nie należał do najdramatyczniejszych, ale i nie był całkowicie łagodny. Innym się to zdecydowanie nie podobało. Przed wieloma laty Jerzy Kosiński był ostrze krytykowany w polskiej prasie za „Malowanego

JERZY KOSIŃSKI

Malowany ptak

demonów i przenikliwy swist wiatru, grającego w wierzecholach drzew, brzmiały nieczym głos skrzypiec, dobiegający gdzieś z odległego pokoju.

Wyciągnąłem dłoń, ale widziałem znikło między drzewami, dźwigającymi szeleszczące liście i ciężkie owoce powieszonych ciał.

Wydawało mi się, że coś płonie w moim ciele. Krećilo mi się w głowie, cały byłem zły po tem. Poszedłem w kierunku rzeki. Orzeźwił mnie wilgotny wiatr, przysiadłem na jakimś zwałowym pniu. Rzeką w tym miejscu była szeroka. Jej rwący nurt niośł kawałki drewna, polamane gałęzie, strzępy jutowych worków, kępki siana klejące się wściekle w licznych wirach. Co jakiś czas na rzecę pojawiały się wzdęte ciała martwych koni. Raz myślałem nawet, że dostrzegam niebieskawe, przęgnite zwłoki ludzkie, pływające tuż pod lustrem wody. Później wody rzeki przez chwilę pozostawały czyste. Dalej zwarta masa płynęła niekrywe ryby, ogłoszone wybuchami. Płynęły wszystkie razem, brucha mi do góry, jak gdyby nie było już dla nich miejsca w tej rzecce, do której niegdys zawiodła je tezza.

Wstrząsały mna dreszcze. Po stanowiąc zwrócić się do Czerwonych żołnierzy, choć nie byłem pewien, jak potraktują kogoś o czarnych, rzucających uroki oczach. Kiedy mijalem szereg rozpoznając żołnierza, który uderzył mnie kolbą karabinu. Obsiadły go chmury much, miał rozwarłe usta, jego ciało zaczęło szerokie kregi w powietrzu. Podniosłem nieco głowę, aby lepiej przypatrzeć się jego twarzy. Mój pierś ponownie przeszył ból.

Rozdział 16

Zostałem zwolniony z pułkowego szpitala. Minelo wiele tygodni. Ból w mojej piersi ustał, i to, co pekló od uderzenia kalmuckiego karabinu, już się zagoiło.

Wbrew moim obawom pozwolono mi pozostać z żołnierzami, ale wiedziałem, że bede mógł przebywać z nimi tylko przez jakiś czas. Spodziewałem się, że

gdy pułk wyruszy na pierwszą linię frontu, żołnierze zostawiają mnie w pierwszej lepszej wiosce. Tymczasem jednak nasz oddział obozował nad rzeką, i nie nie wskazywało na to, żeby niebawem miał nastąpić wymarsz. Był to pułk łącznościowy, służyli w nim przeważnie bardzo młodzi żołnierze i świeżo upieczeni oficerowie, którzy byli jeszcze dziećmi, kiedy zaczęła się wojna. Armaty, karabiny maszynowe, ciężarówki, urządzenia telekomunikacyjne — wszystko było nowe i starannie naoliwione i nasmarowane, nie wypróbowane jeszcze w wojnie. Płótno namiotów i mundury żołnierzy nie zdążyły jeszcze wypłowić.

Wojna i pierwsza linia frontu znajdowały się już daleko na terytorium wroga. Radio codziennie donosiło o kolejnych porażkach armii niemieckiej i armii wyczerpanych sojuszników. Rzeszy. Żołnierze pilnie słuchali wszystkich wiadomości, kiwali z dumą głowami i powracali na ćwiczenia. Pisali także długie listy do swoich rodzin i przyjaciół, i mieli poważne wątpliwości, czy nadarzy im się okazja do wzięcia udziału w walce, ponieważ ich starsi bracia zadawali Niemcom kleskę za kleską.

Życie w pułku płynęło monotonnie i spokojnie. Co kilka dni na prowizorycznym lotnisku lądowały mały dwupłatowiec, dostarczający pocztę i gazety. Listy przynosiły wieści z domu, ludzie zaczęli już odbudowywać zniszczone sadyby. Zdjęcia w gazetach przedstawiały zbombardowane niemieckie i radzieckie miasta, zburzone umocnienia, i brodate twarze jeńców niemieckich, maszerujących w nieskończone długich szeregach. Wśród żołnierzy i oficerów coraz częściej krążyły pogłoski o zbliżającym się końcu wojny.

Znaidowałem się przeważnie pod opieką dwóch mężczyzn — Gawryły, ofitera politycznego, o którym opowiadano, że w pierwszych dniach hitlerowskiej inwazji na ZSRR stracił całą rodzinę i Mitki, znanego jako „Mitka Kukulka”, który prowadził zajęcia ze strzelania i uchodził za wyśmienitego snajpera.

Zajmowało się mna również wielu przyjaciół tych ludzi. Ga-

wryla codziennie przesiadywał ze mną w polowej bibliotece. Nauczył mnie czytać. Jak sam powiedział, miałem już w końcu ponad jedenaście lat. Rosyjscy chłopcy w moim wieku umieli nie tylko czytać i pisać, ale potrafili nawet walczyć z wrogiem, jeśli było to konieczne. Nie chciałem, aby uważano mnie za dziecko: uczyłem się pilnie, obserwując zyczaję żołnierzy i naśladowac ich zachowanie.

Książki wywarły na mnie ogromne wrażenie. Ze zwykłych drukowanych kartek można było stworzyć świat tak prawdziwy jak ten uchwytany zmysłowo. Co więcej, świat książek, nieczym mieso w puszkach, był jakiś bogatszy i bardziej negący aniżeli zycząjna codzienność. Na przykład w prawdziwym życiu spotyka się wielu ludzi w ogóle ich nie znając, z książek natomiast można było się dowiedzieć nawet co ludzie myślą i co planują.

Z pomocą Gawryły przeczytałem swoją pierwszą książkę. Nosiła ona tytuł „Dzieciństwo”, a jej bohater, taki sam mały chłopiec jak ja, stracił swego ojca już na pierwszej stronie. Przeczytałem tę książkę kilka razy i napelniła mnie nadzieją. Bohater książki także nie miał łatwego życia. Po śmierci matki został zupełnie sam, lecz mimo wielu przeciwności wyrósł jak mówił Gawryła, na wielkiego człowieka. Był to Maksym Gorki, jeden z największych pisarzy rosyjskich wszystkich czasów. Jego książki zapelniały wiele półek w polowej bibliotece, znali je ludzie na całym świecie.

Podobała mi się także poezja. Forma przypominała modlitwy, ale była piękniejsza i bardziej zrozumiała, chociaż z drugiej strony poezja nie mogła zapewnić nawet kilku dni odpustu. Jednak nie trzeba było recytować poezji jako pokuty za grzechy; poezja służyć miała przyjemności. Gładkie, wypolerowane słowa laczyły się z sobą jak wysmarowane kamienie myśliwskie. Ale lektura nie była moim głównym zajęciem. Ważniejsze były lekcje z Gawryły.

Dowiedziałem się od niego, że porządek świata nie miał nic

wspólnego z Bogiem, a Bóg nie miał nic wspólnego ze światem. Powiedział mi, że Bóg nie istnieje. Wymyślił Go przebiegły księga, aby oszukiwać głupich i zabobonnych ludzi. Nie było Boga ani Świątej Trójcy, ani diabłów, duchów czy upiórów powstających z grobów; w powietrzu nie unosiła się śmierć w poszukiwaniu nowych grzeszników. To wszystko były bajki dla ludzi niewykształconych, którzy nie rozumie naturalnego porządku świata, nie wierzyli w swoje własne siły i dlatego musieli ratować się wiarą w jakiegos tam Boga.

Jak twierdził Gawryła, ludzie sami kierują swoim życiem i są wylaczni panami swego przeznaczenia. Właśnie dlatego każdy człowiek jest tak ważny, i dlatego każdy powinien koniecznie wiedzieć, co robić i ku czemu zmierzać. Pojedynczy człowiek może myśleć, że jego działania nie posiadają żadnego znaczenia, lecz jest to tylko złudzenie. Działania jednostki, jak działania niezliczonych rzesz innych osobników, układają się we wzór, który odczytać mogą jedynie ludzie znajdujący się na szczycie drabiny społecznej. Podobnie jakies pozorne chaotyczne poprowadzone kobieca ręka ścięgi układają się w końcu na obrusie lub narzucie w przepiękne kwiatowe motywy.

Zgodnie z jednym z praw historii, mówił Gawryła, od czasu do czasu ponad olbrzymią, niezmierną masę ludzi wyrasta jeden człowiek: człowiek, który pragnął dobra dla innych, a który dzięki swej niepospolitej wiedzy i mądrości zdawał sobie sprawę z tego, że oczekiwania na boską pomoc niewiele może pomóc w sprawach ziemskich. Taki człowiek stawał się przywódcą, jednym z tych wielkich ludzi, którzy kierują myślami i czynami narodu jak tkacz, prowadzący swe kolorowe nit w gmatwaniu skomplikowanych wzorów.

Portrety i fotografie wielkich ludzi eksponowane były w bibliotece pułkowej, w szpitalu polowym, w świetlicy, w kasynie i w kwaterych żołnierzy. Często przylgaliśmy się do tych mądrych i wspaniałych ludzi. Wielu z nich już nie żyło. Niektórzy nosili krótkie, dzwiczne nazwiska i długie, krzaczaste brody. Ale jeden z tych ludzi był jeszcze. Jego portrety były większe, jaśniejsze i piękniejsze od innych. Gawryła mówił, że to pod jego przywództwem Armia Czerwona gromila Niemców i niszczyła wroga. Wszyscy ludzie, którzy byli bogatymi i biednymi, wyzyskującymi i wyzyskiwanymi, ludzie jasnowidzi nie będą już prześladowali ludzi o ciemnych włosach, nie będzie się już wysyłał ludzi do komor gazowych, Gawryła i wszyscy oficerowie i żołnierze naszego pułku wszystko zadowolili temu człowiekowi: swą rangę, wykształcenie, swe domy. Biblioteka zaopatrzona była dzieckiemu w piękne wydrukowane i oprowiane książki. Wojsko i lekarze opiekowali się mną dzięki niemu, i dzięki niemu wyzdrowiałem. Każdy obywatel radziecki miał wobec niego dług wdzięczności za wszystko, co posiadał, za całe swoje szczęście.

Ten człowiek nazywał się Stalin.

Na fotografiach i portretach miał miłą twarz i litościwie patrzył na ludzi. Wyglądał jak jakiś dawno nie widziany dziadek albo wujek, pragnący uściskać cię gorąco. Gawryła czytał i opowiadał mi mnóstwo różnych historii z życia Stalina. Już kiedy był w moim wieku, Stalin walczył o prawa dla uciśnionych, przeciwstawiając się trwającemu eale wieki wyzyskowi bezradnych biedaków przez bezlitosnych bogaczy.

Oglądałem zdjęcia, przedstawiające Stalina w latach jego młodości. Miał bardzo czarne, gęste włosy, ciemne oczy, krzaczaste brwi, a później nosił nawet czarne wasy. Wyglądał na Cygana bardziej niż ja, wyglądał bardziej na Żyda aniżeli Żyd zamordowany przez niemieckiego oficera w czarnym mundurze, bardziej niż chłopak, którego chłopcy znaleźli na torach kolejowych. Stalin miał szczęście, że nie spędził swego dzieciństwa w wioskach, w których mieszkalem. Gdyby jako dziecko bito go przez cały czas za jego ciemną karnację, być może nie miałby tak wiele czasu, aby pomagać innym: byłby pewnie zbyt zaabsorbowany odpędzaniem psów i napastliwych wiejskich chłopaków.

Ale Stalin był Gruzinem. Gawryła nie powiedział mi, czy Niemcy mieli zamiar palić Gruzinoz w krematoriach. Jednak kiedy tak przylgaliśmy się do zdjęć na fotografiach otaczających portret Stalina, nie miałem najmniejszych wątpliwości, że gdyby Niemcom udało się schwycić tych ludzi, wszyscy poszliby do pieców. Wszyscy byli bowiem śniadzi, ciemnowłosi, o ciemnych oczach.

Ponieważ Stalin mieszkał w Moskwie, Moskwa była sercem całego kraju i miastem marzeń mas pracujących całego świata. Żołnierze spiewali pieśni o Moskwie, pisarze pisali o niej książki, poeci wysławiali ją w swoich wierszach. O Moskwie powstawały filmy, krążyły o tym mieście fascynujące opowieści. Ponoć głęboko pod ulicami Moskwy, zagrzebane w ziemi niczyim olbrzymie krety, pedzili cicho długie, lśniące pociągi, zatrzymujące się bezszelestnie na stacjach przyozdobionych marmurami i mozaikami piękniejszymi

od tych, jakie można spotkać w nawet najwspanialszych kościołach.

Domem Stalina był Kreml — kompleks starych pałaców i kościołów, otoczonych wysokim murem. Widać było ponad nim kopuły przypominające obrzydliwie rzodkiewki z wycelowanymi w niebo korzonkami. Inne fotografie ukazywały apartamenty kremlowskie, w których mieszkał Lenin, nieżyjący już nauczyciel Stalina. Niektórzy żołnierze byli zauroczeni Leninem, niektórych bardziej fascynował Stalin, podobnie jak chłopci, z których jedni częściej mówili o Bogu Ojcu, inni zaś o Synu Bożym.

Żołnierze twierdzili, że w oknach gabinetu Stalina na Kremlu długo w nocy paliło się światło, i że ludność Moskwy wraz z masami pracującymi całego świata spoglądała w te okna w poszukiwaniu natchnienia i nadziei na lepszą przyszłość. Stamtąd czuwał nad nimi wielki Stalin, tam pracował dla nich, tam obmyślał najlepsze plany zwycięskiej wojny, w której mieli zostać pokonani wrogowie całego proletariatu. Duszę Stalina wypełniała troska o losy wszystkich cierpiących ludzi, nawet tych w odległych krajach, wciąż straszliwie uciśnionych i uciemiężonych. Lecz dzień ich wyzwolenia był już bliski, i Stalin musiał pracować do późna w nocy, aby przybliżyć go jeszcze bardziej.

Gdy dowiedziałem się o tym wszystkim od Gawryły, spacerowałem często po okolicznych polach, pograżony w głębokich rozmyśleniach. Zauważyłem teraz wszystkich moich modlitw. Zastanawiałem się, czy to nie były tysiące dni odpustu, lecz na próżno. Jeśli to prawda, że nie ma Boga, nie ma Syna, nie ma Najświętszej Matki, nie ma żadnego z pomniejszych świętych, to co stało się z moimi modlitwami? Czy krząrzy może po pustym niebie jak stado ptaków, którym chłopcy zniszczyli gniazda? Czy też znajdowały się w jakimś tajemnym miejscu i usłowoły wyrwać się na wolność, tak jak mój utracony głos?

Przypominałem sobie niektóre zwroty z tych modlitw i czulem się oszukany. Gawryła mówił, że pacierze zbudowane były jedynie z nic nie znaczących słów. Czemu nie zdam sobie z tego sprawy wcześniej? Z drugiej strony nie było mi łatwo przyjąć do wiadomości, że sami księża nie wierzyli w Boga i używali Go jedynie w celu ogryzania innych. A Kościoły, Rymski i Prawosławny? Czy zbudowane są także aby, jak mówił Gawryła, zastraszyć ludzi domniemaną potęgą Boga i zmusić ich do podporządkowania się duchowiństwu? A jeśli księża działali w dobrej wierze, co stanie się z nimi, kiedy odkryją, że nie ma Boga, że ponad najwyższą kopułą kościelną jest tylko niezmierzone niebo, po którym latają samoloty z czerwona gwiazdą na skrzydłach? Co zrobią, kiedy odkryją, że wszystkie ich modlitwy były beznadziejne, i wszystko co robili przy ołtarzu, wszystko co mówili ludziom z kazalnicy, było oszustwem?

Odkrycie tej strasznej prawdy byłoby dla nich ciemnym cięższym niż śmierć ojca, cięższym niż widok jego martwego ciała. Ludzi zawsze krzepiała wiara w Boga, a rodzice umierali, zwykłe wcześniej od swych dzieci. To prawo natury. Jedyną pociechą dla ludzi była świadomość, że po ich śmierci Bóg poprowadzi ich dzieci przez życie na ziemi, a dziećmi ulgę niosła myśl, że za grobem Bóg powita ich rodziców. Ludzie zawsze wierzyli o Bogu, nawet wówczas, kiedy On sam był zbyt zajęty, by wysłuchiwać ich modlitw i uważnie odnotowywać liczbe dni zasłużonego odpustu.

Ostatecznie jednak nauki Gawryły napelniły mnie znów otuchą. Były na świecie realistyczne sposoby krzewienia dobra, i byli ludzie, którzy poświęcili temu zadaniu całe swoje życie. Takimi ludźmi byli członkowie Partii Komunistycznej. Wybierano ich spośród mieszkańców całego kraju, i po specjalnym przeszkoleniu wyznaczano im rozmaite zadania. Gotowi byli cierpieć, a nawet zginąć, jeśli tylko wymagała tego sprawa klasy robotniczej. Członkowie partii stali na szczycie drabiny społecznej, skąd mogli widzieć działania ludzi nie jako bezsensowny galimatias, lecz jako czynny układający się w pewien określony wzór. Partia widziała dalej niż najlepszy snajper. Dlatego też każdy członek partii nie tylko w pełni pojmował sens wszelkich wydarzeń, lecz mógł je także kształtować i ukierunkowywać z myślą o pożądanych celach. Żaden członek partii nigdy nieczemu się nie dziwił. Dla ludzi pracującego partia była tym, czym lokomotywa dla pociągu. Prowadziła innych ku najszczytniejszym celom, wskazywała najkrótszą drogę do poprawy warunków ich życia. A Stalin był maszynistą, trzymającym w ręce dźwignie przepustnicy w tej lokomotywie.

Przełożył:
MACIEJ
ŚWIERKOCKI



Rys. Janusz Szymański-Glanc

Alfred Hitchcock przedstawia

Nazywam się Jonathan Keeler Wainright. Jestem wdowcem, mam czterdzieści sześć lat i znajduję się obecnie w pełni sił fizycznych i psychicznych. To, co następuje, jest prawda.

Zaczęło się wszystko w południe 23 czerwca przy kontuarze sali barowej, należącej do kregielni w miasteczku zwanym Three Forks, typowym podmiejskim osiedlu kalifornijskim, pozbawionym zarówno godności, jak i przyzwoitej restauracji. Siedziałem przy końcu lady, zatopiony w rozmyśleniach o lepszych czasach, dubując z rzadka widelcem w wyniętym kawałku kielistej szarlotki. Zawsze byłem duży z mojej powierzchowności, i przypuszczam, że moja osoba musiała w tym zdecydowanie nieeleganckim barze wyglądać jakobym obco i dziwnie.

— Jeszcze kawy, proszę pana? — Moja zadumę przerwał gardłowy rechot, i kiedy spojrzałem na kelnera, wzdłuż kregielni przebiegły mi maleńkie płoynyki wstrząsu, jak gdyby poraził mnie prąd. Potrząsnąłem przecząco głową.

— Należy się dolar trzydziści. — Zapiściłem rachunek, wiskając pod miseczką dwie dziesięciocentówki reszły. Kelner błyskawicznie ukrył je w dłoni, niewyraźnie mamrocąc słowa podziękowania. Przyglądałem mi się z zaciekawieniem, kiedy niezdarne chowanie portfelu do kieszeni, nieporadne dionie szwierzbiły mi, by ukryć temu facetowi jego indyca szyje.

— Nie nazywa się pan Ray Goetz? — Znowu potrząsnąłem głową.

— Ciekawe, podobny pan jakoś do niego. — Zmusiałem się do kordialnego uśmiechu, choć pytanie zaskoczyło mnie. Zbieg okoliczności, pomyślałem. Wykorzystał go. Wykorzystał.

— Handluje pan czymś? — zapytał, podejmując dziwnie chaotyczne wysiłki w celu wytrącenia blatu budzącym obrzydzenie kawałkiem szmatki.

— Baseny Argus — odpowiedziałem.

— Co to takiego? — Baseny pływackie.

— Goetz buduje sobie basen? — Tak.

Kelner skierował na mnie uważne spojrzenie, w swej ciekawości przypominał ptaka.

— Naprawdę nie jest pan jego krewnym, czy kimś w tym rodzaju? — Naprawdę.

— To szkoda. — Dlaczego? — zapytał.

— Dlatego, że Goetz jest nadzorny. Na-dzia-ny!

— Powrócił do swoich beznadziejnych specjalizacji, zachwycony, że mógł popisać się przede mną znajomością wielkiego tego świata.

Stałem przed strzelistą fasadą gmachu przedsiębiorstwa o nazwie Goetz Realty Company, na ziemi u moich stóp odpoczywał mały, czarny żuczek. Zmieszaliśmy go starannie nogą, potem ruszyłem naprzód betonową aleją, minąłem drzwi wejściowe, moja postawa zdradzała szorstkość i pewność siebie.

— Stałem na progu, wpatrując się w mężczyznę siedzącego na maszynowym biurkiem.

— Jestem Jonathan Wainright — powiedziałem.

— Baseny Argus. — Tak właśnie myślałem — powiedział Goetz.

Zirytowało go chyba moje wahanie, sposób, w jaki na niego patrzyłem. — Co cię przyciąga?

— Ktoś mi powiedział, że jesteście podobni. Okazuje się, że to prawda. Jestem trochę zaskoczony. Proszę mi wytłumaczyć.

Goetz obrzucił mnie gniewnym spojrzeniem, obejrzał mnie dokładnie od stóp do głów, w końcu wstał.

— Siedzą, Wainright — powiedział, nawet dość grzecznie. — Tam, tam jest widno. Odwróć głowę.

Obejrzałem mu dookoła niczym wytrawny znawca na wystawie bydła donowego, cmokając przy tym z cicha, potem zasiadł znowu za swoim biurkiem.

— Siydzalem o takich rzeczach — powiedział.

— Nigdy nie przypuszczałem, że i mnie się coś takiego przytrafi.

Niemal tego samego wzrostu i karnacji, jedynie moje włosy nieco bardziej posiwiały. Był moim odbiciem, rysy naszych twarzy prawie dokładnie sobie odpowiadały, choć jego były może trochę ostrzejsze, usta i oczy niemal identyczne. Jego głos nie był niepodobny do mojego, tyle tylko, że pobrzmiewał w nim brak wykształcenia, uwydatniony dodatkowo przez gwarowy, prymitywny język, jakim posługiwał się Ray Goetz.

— Już dawno temu przestałem się dziwić, Wainright — powiedział — ale to robi wrażenie. Poważnie.

Rozglądałem się po pokoju.

— Wdechowa melina, co? Pomnik na cześć wielkiego amerykańskiego cymbała.

— Cymbała? — Wielka masa korzystających ze sprzedaży rafalnej, znana pod nazwą Prostej Czwolki. Moi drodzy świętej pamięci klienci. Wielki ogromny piękny niemyty ludek. Cymbała.

— Ładne biuro — powiedziałem, spoglądając na czarną, skózaną otomane, grafiki na ścianach, ciężką lampę z brązu stojącą w rogu pokoju.

— Nieśle jak na ulicznego szcure z wielkiego miasta — odparł, najwyraźniej zadowolony z mojego pochlebnego uznania. — Zobaczyłem coś takiego w katalogu. Wymagałem sobie jednego gościa, żeby urządził mi tu tak samo. — Lewą ręką sięgnął za siebie, ze srebrnej szkatułki wyjął cygaro, zapalił je niezgrabnie ozdobną biurkową zapalniczką, odgryziony koniuszek wypluwając na bezowy dywan.

Nie cierpieć cygar: owionęły mnie chmury tytoniowego dymu. Ray Goetz zaś ciągnął dalej.

— Facet próbował zwinąć parę banknotów. Dalem mu zdrowo w kość. Jeszcze teraz wrzeszczy. Powinien był najpierw przeczytać motto na moim biurku. — Wskazał niewielką, mosiężną plakietkę, która głosiła: „Czyż drugiemu, nim on uczyni tobie”. Przeczytałem, pojmując wtedy, że to był wróg, wróg odwieczny i na zawsze.

— Jesteś właścicielem firmy? — zapytał, a jego słowa były wyważone, profesjonalne otwarcie wstępnej utarczki.

— Reprezentuję przedsiębiorstwo w sprawach sprzedaży i obsługi.

Spojrzał na mnie, zadumany.

— Komitoojażer — powiedział. — W przedsiębiorstwie sprzedajemy baseny. — Złut to swoje drogie cygaro. — A my tak tu sobie siedzimy. Blizniak. Jeden na górze. Drugi na dole. Ile masz lat?

— Czterdzieści sześć. — Byłem zahipnotyzowany jego chamsstwem.

— Ja czterdzieści siedem. Studiowałeś?

— Tak.

— Masz jakiś stowien? — Magister sztuki.

— Zonaty?

— Nie. Nie jestem żonaty.

— Tak to jest. Ty masz stowien naukowy i wyrafinaowany gust, a ja mam cztery miliony dolarów. Ty musisz sprzedawać baseny, a ja idę na emeryturę i mam przelictną żonę.

Nauczyłem się panować nad sobą. Puściłem jego słowa mimo uszu i natychmiast przeszedłem prosto do celu mojej wizyty.

— Mam dla pana umowę do podpisu, panie Goetz — powiedziałem. — Chodzi o budowę basenu.

Spojrzał na mnie ostro.

— Jaką umowę?

— Pańska sekretarka przysłała zamówienie. Wraz z listem. Mam go przy sobie. — Wyciągnąłem kopię listu i położyłem ją przed nim na biurku.

— Nie mam już sekretarki. W każdym razie nie tutaj. Sprzedałem cały interes dwa tygodnie temu.

Robilem wszystko, żeby na mojej twarzy nie pojawiły się oznaki zdenerwowania. Przypomniałem sobie nadesłane pocztą zamówienie, nieustające naciski ze strony szefów, by zawrzeć transakcję, ryzyko, jakie podjąłem, przyjmując zamówienie bez umowy.

— Przecież rozpoczęło już prace — powiedziałem. — Byłem zdecydowany, spokojny.

— Tak, owszem — odpowiedział. — Bez umowy.

— Przypuszczam, że nadeszły już także elementy stalowe — powiedziałem słabo, chcąc zyskać na czasie.

— Zgadza się.

Wskazałem papierzy leżące na biurku. — Tutaj jest umowa — powiedziałem. — To zwykłe zlecenie budowy. Zaznaczyłem miejsce, gdzie musi pan złożyć swój podpis. Mój pokój i siła wywarły na nim pewne wrażenie. Siegnął po pióro na stojaku, zawahał się.

— Chce to najpierw przeczytać — powiedział, pogardliwie pstrykając dokument palcem.

— Proszę bardzo.

— Chce to przeczytać później. Dziś wieczorem.

— W jego oczach wciąż czaił się badawczy wyraz.

— Byłoby miło z pana strony, gdyby zechciał pan to przeczytać teraz, panie Goetz — powiedziałem. — Wieczorem jestem umówiony w Los Angeles. Czeka mnie długa droga.

Popelniałem błąd nalegając.

— Panie Wainright, — Sposób, w jaki wypowiadał swoje nazwisko krył teraz w sobie subtelną zniechęć. — Ma pan nadzorować montaż? Skinałem głową.

— Wieg niech pan to zrobi. — Znowu stał się miły. — Przyjdź do mnie na obiad. Przeczytam umowę, i podpiszę dziś wieczorem.

Zastanowiłem się: z jednej strony parę godzin dalszej gry w kotka i myszkę, z drugiej kolejnej niedzny posiłek w kregielni.

— W porządku, proszę pana — powiedziałem. — Przyjdę na obiad z prawdziwą przyjemnością.

Ray Goetz wskazał ręką umowę. Dopiero teraz zauważyłem, że dwa palce jego prawej dłoni były zabandażowane.

— Schowaj to — powiedział. — Skaleczyłem się w rękę. Maszyna. Odgryzła mi czubki dwóch palców.

— Przykro mi — powiedziałem.

Ray Goetz popatrzył na mnie, na jego wargach pojawiło się rozbawienie.

— Wcale nie jest ci przykro, Wainright. Ja ci się cholernie nie podobam.

Uśmiechnął się jedwabście.

— Ale ja nie jestem takim strasznym facetem, jeśli tylko wszystko idzie po mojej myśli. Przejdzie ci.

Przed budynkiem stał długi kabriolet, błyszczący od chromu, krzykliwy, kosztowny. Goetz przystanął, skaleczoną dłoń nieporadnie szukając w kieszeni kluczyków. Znowu zwrócił się do mnie.

— Masz samochód, Wainright? — Jest na parkingu koło kregielni — powiedziałem.

— Zostaw go tam. Wiodaj.

Popisywał się, prowadził lekką ręką, po mistrzowsku, podzielił ulicami Three Forks, wykazując niecierpliwość i agresywność, gdy zmniejszało się natężenie ruchu. W zębach trzymał cygaro. To właśnie tak, powiedziałem w duchu. Tak się to robi. Pewność siebie. Arogancja. Wyższość nade wszystko.

— Obadaż tę zabawkę — powiedziałem, sięgając po bezprzewodowy telefon umieszczony pod deską rozdzielczą. Zadzwonił do domu.

Rezydencja Raya Goetza znajdowała się na szczycie falistego wzgórza, górującego nad miastem, otoczona była wysokim parkanem, wypielęgnowana pokazywała o płaskim dachu, zbudowana z czerwonych cegieł, ciężka od szkła i nowoczesności.

— Sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów — powiedział, kiedy wysiadaliśmy z samochodu.

— Urocze miejsce — odparłem.

— Nie gadaj głupstw, sprzedawco — powiedział.

— Przecież ci się nie podobą. Ty jesteś z tych facetów z Nowej Anglii. Nawet gdybyśmy ci to dali, i tak nie mieszkałbyś w tym domu. Sprzedałbyś go jakiemuś playboyowi, takiemu jak ja, a sobie znalazłbyś miłą chatkę.

— Nie, nie — powiedziałem.

— Być może — powiedziałem.

— Wchodź.

Dom był w środku wprost niesłychanie, nieprawdopodobnie piękny.

— Siedzą, Wainright — powiedział Ray Goetz.

— Muszę wykonać parę telefonów. Pójdę powiedzieć żonie, że przyszedłeś.

Wyszedł, a ja mogłem teraz skupić uwagę na chińskim parawanie, stojącym w rogu pokoju.

— Podobą się panu mój pokój? — Odwróciłem się gwałtownie. Przez chwilę miałem trudność z utrzymaniem równowagi, tak bardzo zaskoczył mnie głos ciemnowłosej kobiety, stojącej w głębi.

— Jestem Mina Goetz — powiedziała. — Rzeźbiwiś, jest pan do niego podobny.

— Jonathan Wainright — przedstawiłem się. — Przyjechałem w sprawie basenu.

— Wiem, mówię ci.

Pół-Indianka, pomyślałem. Mescalero albo Komanche.

— Pokój jest przepiękny — powiedziałem. — Czy to pani go urządziła?

— Tak — odparła. — Łatwo to zrobić, kiedy ma się wszystko, czego potrzeba do takiej pracy.

— Nie nie jest łatwe. Tak naprawdę.

— Niech pan siada. Napij się pan czegoś? — Nie, dziękuję.

— Koto pana leżą papierosy. — Podeszła do kontaktu, zasunęła zasłony. — Wole tak. Filtrują światło. A poza tym nie widać tego paskudnego dołu, który zrobili pańscy ludzie.

Usiadła na krześle nanrzedziwko mnie, skuliła się, podwinęła wygodnie nogi, światło grało na jej wystających kościach policzkowych, rzeźbiło jej twarz. Bastet, kobieta-koń, pragnąca krwi.

— Proszę mi powiedzieć, co będziecie teraz robić? — Jutro położymy cześć stalowe. Coś w rodzaju koszyka. Po południu będziemy wtryskiwać cement.

— Wtryskiwać? — Podtrzymywała rozmowę, uśmiał się pytaniami odwrócić moją uwagę od jej badawczych spojrzeń.

— To nowy system — odparłem. — Cement wyrzucamy jest z pompy. Takiej, jak pompa strażacka. Później kładziemy zaprawę, i jest po robocie.

— I co dalej?

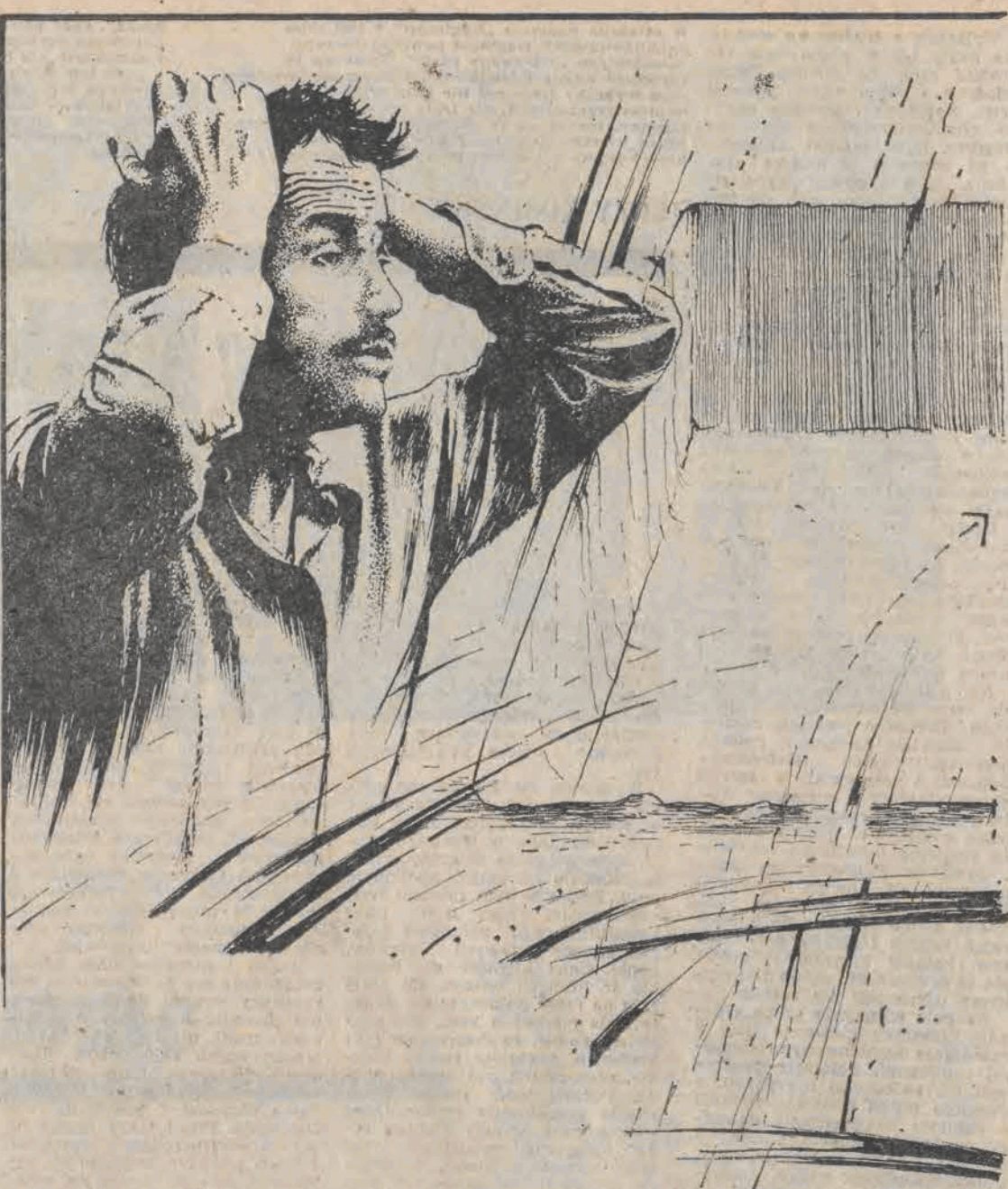
— Wodę napuszczamy, kiedy zaprawa jest jeszcze wilgotna. Cała robota trwa zaledwie kilka dni.

— Jak to się stało, że zaczął pan pracować w tym zawodzie? — zapytała.

Opowiedziałem jej trochę o sobie. Była nadzwyczaj dobrą słuchaczką, choć jej uwagi wydawały mi się całkiem zwyczajne i banalne.

— Gdzie mieszkają pańscy rodzice? — spytała w końcu.

— Nie żyją od kilku lat. Byłem jedynakiem.



Okazja

GILBERT RALSTON

— Przepraszam. A pańska żona?

— Jestem wdowcem.

Zawahałem się, nim poszedłem za jej przykładem, postanowiłem zaryzykować, ostrożność ustąpiła miejsca ciekawości.

— Od jak dawna jesteście małżeństwem? — zapytałem.

Odpowiedziała dopiero po dłuższej chwili. — Trzy lata. — Widziałem cień, który pojawił się w jej oczach. — Trzy lata — powtórzyła.

— Mówi to takim tonem, jak gdyby chodziło o trzydzieści, co? — Ray Goetz stanął w drzwiach.

— Chodźcie, zjem coś. — Ruszył w kierunku jadłalni, jego wzrok, gorący i dziki, przesłiznął się po twarzy żony.

Przy drzwiach odwróciłem się, żeby zobaczyć na nią. Stała na środku pokoju, jej ciemna twarz pozostała łagodna, jedynie oczy zdawały się żyć, kiedy patrzyła, jak Goetz opuszcza pokój. Wtedy poruszyła się, jak gdyby zmuszając się do tego całą siłą woli.

Ray Goetz stał przy końcu stołu, szklanka z alkoholem już koło jego nakticy, w tle nerwowo dreptała pokojówka. Wskazał mi moje miejsce.

— Siedzą, Wainright.

Przytulił mi do głowy, że to już czwarty raz ten człowiek rozkazał mi, abym usiadł. Uśmiechnąłem się w duchu.

— Napij się.

Picie przy obiedzie zawsze wydawało mi się czymś obrzydliwym.

— Lepiej się napij. To część naszej umowy. — Ray Goetz nie mógł ścierpieć, gdy ktoś odrzucał jakakolwiek jego prośbę.

Srebrzysty głos Miny Goetz wdarił się w atmosferę narastającego napięcia.

— Nie namawiaj go, Ray — powiedziała. — Są ludzie, którzy nie lubią pić przy obiedzie.

— Owszem — powiedział Goetz. — Owszem — Celowo pociągnął duży łyk ze swojej szklanki.

— Wiesz co? — powiedział nagle. — Pani Goetz także nie lubi pić przy obiedzie. To znaczy, nie lubi, kiedy ja piję. Mam szalenie wytworną żonę, panie Wainright.

Spojrzałem najpierw na nią, później na niego, szukając jakiejś wskazówki, która pomogłaby mi zrozumieć ich wzajemny stosunek. Uśmiechała się słodko, jej równe zęby połyskiwały w świetle świec.

— Mój mąż jest zapijaczoną łutnią, panie Wainright — powiedział, jej delikatny głos był spokojny, zaczęła jeść. Goetz wstał, jego twarz wyglądała krwiożerczo.

— Siedzą, Ray — powiedziała. — Jedz żupę.

Sila polączona z łagodnością to potęga. Mina Goetz posiadała głębie, Ray Goetz nigdy nie mógłby tego pojąć. Zaczętem także wyczuwać coś, co było oczywiste od samego początku. Ray Goetz kochał swoją żonę, i był wobec niej całkowicie bezbronny. Mogła go ranić bezkarnie, i robiła to kilkakrotnie, nim ten trwający całą wieczność obiad zaczął zbliżać się ku koncowi. Goetz, na przemian to rzucał groźne spojrzenia, to znowu starał się być miły, wciąż dolewał sobie whisky. Pani Goetz i ja nasze reakcje na jego zachowanie nie pokrywały się zbytnio, konwersacja, sterowana starannie przez moją gospodynię, którą wraz z upływem czasu zaczynałem coraz bardziej podziwiać.

Zawsze intrygowali mnie wszelkie objawy przemocy, były miłe podniecające, uznałem więc nasze wysiłki zmierzające do podtrzymania rozmowy za niezwykle emocjonujący kontrpunkt dla nieprzewidywalnego zachowania mego gospodarza i klienta. Wszystko to było jednak dość męczące i odczułem ulgę, kiedy przeszliśmy na kawę do salonu. Przez chwilę zadrżałem służącym, że mogą po prostu czmychnąć, słyszałem ich samych chodzących na podjeździe, potem pomyślałem o tych kilku dniach spokoju, które mógłbym sobie kupić za osiemset dolarów mojej prowizji od sprzedaży basenu. Spokój — do następnego razu, oczywiście. Dopóki na mojej drodze nie stanie kolejny Goetz.

— Jak pana palce? — spytałem Goetza, poszukując jakiegos bezpiecznego tematu do rozmowy.

— Trochę boją. — Potrząsnął szklanką. — Gorzała to nieźle anestetyk.

— Chcesz, żebym obejrzała rękę? — zapytała Mina.

— Daj mi spokój. Ciepło sobie na ubogich.

Ray Goetz zajął się swoją whisky. Musiałem widocznie pytać go popatrzyć na Minę.

— Kiedyś byłem pielęgniarzką — powiedziała.

Goetz coś knuł, jego obwisła twarz ponownie przybrała zacięty wyraz.

— Chcesz wiedzieć, dlaczego go tutaj zaprowilem?

— Tak — powiedziała — jeśli masz ochotę mi to wyjaśnić.

— Chciałem, żebyś zobaczyła, co mogło ci się dostać — powiedział. — Spójrz tylko na niego! Ekstrawaganckie ciuchy. Ekstrawagancki uniwersytet. Pomiatam nim przez cały dzień, a on nie ma nawet odwagi powiedzieć mi, że bym się odwalił.

Podrwałem się z miejsca. W mojej skroni zaczęła pulsować maleńka żyłka, rytmiczne łup, łup; Goetz ciągnął dalej.

— Podobny do mnie, co? Prawda? Jest jednak maleńka różnica. On nie ma nawet ziananego grosza! — Natrząsał się ze mną, widziałem jego pijaną, obwisłą, sztycherzą twarz. — Stoi tak i pozwala się obrażać za swoją prowizję, za szmatatową prowizję!

Czułem w koniuszkach palców przyjemne łaskotanie. Aria da capo, pomyślałem. Właśnie tak. Zawsze. Zawsze...

Głos Miny Goetz przerwał tok moich myśli.

— Ray, przestań — powiedziała — Przestań, styszyj?

— Dobra, przestań! Przestań! — Siegnął do kieszeni. — Masz tu swoją umowę, sprzedawco basenów! — Cisnął papier na podłogę. — Weź ją. No, dalej, podnieś! I wynoś się!

Przez chwilę wyglądało to jak pełna dramatycznego napięcia scena w teatrze. Mina stała z boku, Goetz odchodził od zmysłów, wypielniał cały pokój, w mojej głowie wir, wirowanie. Po chwili nacyliłem się, by podnieść umowę.

— Umowa jest nie podpisana, panie Goetz — powiedziałem, nadając niemu głosowi jak najbardziej spokojne brzmienie.

— I nie będzie podpisana, sprzedawco basenów. Spróbowałem ponownie, moje ciało przebiegało raz po raz leciutkie dreszcze.

— Pan nie może tego zrobić, panie Goetz. Otrzymałem podpisaną zamówienie od pańskiej sekretarki.

— Od mojej sekretarki? Nie ma jej od dawna, panie Wainright. — Niemal wypluwał moje nazwisko. — Tylko idiota rozpoczyna budowę bez umowy.

Teraz nadchodziły fale, przewalały się w górę od moich stóp, powoli, powoli.

— Czy to oznacza, że nie podpisze pan umowy, panie Goetz?

— Wynoś się! — rozkazał.

— Jeśli on nie podpisze, ja panu zapłacę, panie Wainright — powiedziała Mina Goetz.

Ray Goetz odwrócił się z wściekłością.

— Nie zapłacisz, kochanie. Mam cię w garści. Caluténka. Nie mogłabyś mi kupić nawet hamburgera, gdyby umierał z głodu.

Fale ogarnęły mnie, niesły spokoj, ukonienie. Znow zebrałem się w sobie. Goetz wlepił we mnie wzrok. To było cudowne, radosne. Ostatni raz stanąłem z nim twarzą w twarz.

— Fattura della morte — powiedziałem. — Fattura della morte.

— Wynoś się! — krzyknął.

Uderzyłem go, mocno, w usta i brode, rozkoszując się siłą mojej pięści. Upadł.

Mina Goetz otworzyła drzwi.

— Wynoś się stąd — powiedziała. — Uciekaj!

Nasze oczy spotkały się na chwilę, potrząsnąłem głową. Pokój znalazł się w jakimś statycznym

Alfred Hitchcock przedstawia



Rys. Janusz Szymański-Głanc

nym momencie czasu, odrealniony, balet dopełniony przemocą.

Nieostrożny, sądziłem, że Goetz nie jest już w stanie walczyć dalej. Odwróciłem się w samą porę, by uniknąć jego następnego ataku; prawą ręką porwał żelazną statuetkę, stojącą na stole. Przez chwilę kłóczyliśmy wokół siebie. Goetz był jak zwierzę, jego furia zniewalała działanie alkoholu. Ruszył na mnie ponownie, z młodziutką siłą spuścił statuetkę na moje ramie, niewysłowny ból, siną ognia. Uderzyłem go kilka razy zdrową ręką, mocno, w twarz, w kark, rozpaczyliwie usiłując teraz zadać morderczy cios kanciem dłoni w kark, okropnie przeszkadzało mi zranione ramie. Udało mi się kopnąć go jakimś w nerw łokciowy, musiał wypuścić statuetkę z ręki. Ale znów skoczył na mnie, jego oszalałe palce zaciskały się niczym szpony, szukały mojego gardła. Upadliśmy, twarz Goetza jak koszmarny sen pojawiła się przed moimi oczami, na gardle poczułem nieubłagany ucisk. Walczyłem o oddech, o odzyskanie wzroku, wciąż słysząc zwierzęcy skrzek Goetza, nie kończący się potok przekleństw, jaki spływał z jego warg. Poprzez wirującą, czerwona mgiełkę ujrzałem żonę tego człowieka, wstała, wznieśliśmy wysoko nad głowę, stała tuż koło nas, zobaczyłem, jak jej ramie opadło, potem jeszcze raz, i w tej samej chwili ciało Goetza stało się bezwładne. Wypelzłem spod niego, wstałem, chwytając się na nogach. Mina Goetz patrzyła na leżące bez ruchu u jej stóp ciało męża, oczy miała szeroko otwarte, ogromnymi haustami polykała powietrze, w ręce wciąż jeszcze trzymała zakrwawioną statuetkę.

— Niemawidnie go — powiedziała. — Nienawidzę go.

Wspierałem się o stół, znów zbierając się w sobie, z trudem przywracając siły wyczerpanym członkom. Kiedy uniósłem głowę, ta kobieta była na podłodze przy swoim mężu, jej dionie ruchliwe, profesjonalne. Wpiła wo mnie wzrok.

— Nie żyje — powiedziałam. — Zabiliśmy go.

Podszedłem do Goetza i odwróciłem jego ciało, zbadałem puls.

— On nie żyje — odezwiała się znowu. — Jesteś pewna.

— I co teraz? — zapytałem.

— Usiądź. Odpocznij. Najpierw odpocznijmy.

To była szczególna chwila. Byłem zaintrygowany zachowaniem tej kobiety, i zdumiony, że kiedy upewniła się już, iż jej mąż nie żyje, nie spojrziała nawet na trupa, nie lamentowała, nie wykazywała żadnego niepokoju, po prostu usiadła, opanowana, zatopiona w myślach, jej długie palce skrzyżowała na brzuchu.

— Musimy zawiadomić policję — powiedziałam.

— Nie możemy tego zrobić — odparła. — Co im powiesz?

— Prawde. Opowiem to, co się stało.

Potrząsnęła głową.

— Nie możemy tego zrobić. Ja go zabiłam.

Ty go zabiłaś. To wszystko, co moglibyśmy powiedzieć.

— Możemy utrzymywać, że zabił go w obronie własnej.

— Nie uwierzyliby nam.

— Chyba masz rację — powiedziałam, i rzecz dziwna, ubawilo mnie to, nie wiedzieć czemu.

— Pochowaj go — powiedziała, zwracając na mnie swe ciepłe, brązowe oczy. — Pochowaj go.

Na dnie wykopy. Jutro wyleją cement. Nikt go nigdy nie znajdzie.

— Znajdą go — powiedziałam. — Wcześniej czy później zdemaskowałyby nas. Zawsze tak jest.

— Tylko w powieszeniach — odparła, gwałtownie wstając. Wyglądała to tak, jak gdyby podjęła nagłe jakąś decyzję.

— Co proponujesz? — zapytałem.

— To oczywiste. Zajmiesz jego miejsce. — Stała się nagle niezwykle ożywiona, w jej głosie pojawiło się błagalne brzmienie. — Jesteś podobny do niego. Zajmiesz jego miejsce.

— To niemożliwe.

— Nie. Złożą tylko elementy stalowe.
— Kiedy przyjdzie ten facet od cementu?
— Za cztery albo za pięć godzin — powiedziałam.
— Może później.
— Powinienem nadzorować pracę?
— Tylko montaż części stalowych. Tamci to specjaliści.
— Idź tam teraz. Rób, co do ciebie należy. Ostatni raz.

Uśmiechnęła się tajemniczym uśmiechem.
— Obandażowana dłoń, trzymaj w kieszeni. Nie powinni jej widzieć. Zrobisz ci w kuchni filiżankę dobrej, gorącej kawy.

Ubiórzenie okazało się czynnością bolesną i szło mi niezgrabnie, zranione ramie i ręka sprawiała mi wiele trudności przy goleniu. Mina była w kuchni, kiedy wszedłem, na stole stało przygotowane dla mnie wspaniałe śniadanie. Był to pierwszy przyzwoity posiłek, jaki zjadłem po przybyciu do Three Forks, przyjemny początek niezwykłego dnia.

Nadzór nad budową basenu był robotą rutynową, choć niełatwo było mi powstrzymać się od uporczywego powracania wzrokiem w tę nitylka część wykopy, gdzie spoczywało ciało. Na szczęście rozłożyły mnie zabandażowane palce, mogłem więc na nich skupić moją uwagę, podczas gdy robotnicy montowali stalowy koszyk, deptając od czasu do czasu po świeżej mogile.

Mina była przy mnie, kiedy odjechała ciężarówka, skutki naszego nierozważnego czynu pokrywała teraz stalowa sieć.

— To już prawie koniec, Jonathan. Prawie koniec.

Po raz pierwszy zwróciła się do mnie po imieniu.

— Kiedy znów przekroczysz ten próg, rozpoczniesz nowe życie. Będziesz miał nowe nazwisko i nowe życie.

Zatrzymała mnie przy drzwiach, jej ręce na moich ramionach. Pocałowała mnie delikatnie, położyła na ustach jej usta.

— Teraz nazywasz się Ray Goetz — powiedziała.

— Jesteś żonaty, na emeryturze i żonaty.

Wczesnym popołudniem zaczęła pracować masyżna, pokrywając stalowy szkielet kolejnymi warstwami cementu.

— Co oni będą teraz robić? — zapytała Mina.

— Za kilka dni położą zaprawę, potem napelnią basen wodą. A potem będziemy mogli pływać, jeśli przyjdzie nam na to ochota.

Na pamięć o człowieku składają się setki drobniaków. Odnotowałem mi szczegółowo zarówno w przypadku Raya Goetza, którym miałem się stać, jak i w przypadku Jonathana Wainrighta, którego musiałem zniszczyć.

Mina również była bardzo zajęta: ufarbowała mi włosy, opaliła palce, które potworzyły mi ból, przetrząsnęła szafę w poszukiwaniu odpowiednich dla mnie ubrań. Jako Wainright zatelefonowałem do biura przedsiębiorstwa Argus, bez uprzedzenia wywołałem posadę, deklaruując się chłwą, w której mogłem dokuczyć zarządowi, z kwasną uprzejmością krytykując wyroby firmy.

Mina wysłała moją ostatnią korespondencję handlową, zwracając uwagę o budowę basenu wraz z czekiem, pokrywającym wszystkie koszty, starannie podpisanym. Wykazała niemałe zdolności przy okazji tego skromnego fałszerstwa.

Nie miałem bliższej rodziny, nie miał jej także Goetz. Stanowiło to wielce sprzyjającą okoliczność, i znacznie upraszczało całą sprawę. Mój u-niebowany pokój w Los Angeles znowiemem natomiast, moje ubrania i rzeczy osobiste oddałem na przechowanie za pośrednictwem pewnej operatywnej firmy przewoźniczej. Mina odprawiła służących; śledziłem w ukryciu, kiedy mrukił wieszaki swoją wędzającą się do utrzymania właśnie miesięczną pensję, mając oszczędzić im utratę pracy.

Dzień w dzień Mina pomagała mi w nauce, cierpliwie wbijając mi do głowy wiadomości na temat przeszłości Raya Goetza, odczytując z kilku razy zależone w biurku w jego gabinecie akta dotyczące rozmaitych inwestycji i interesów bankowych. Była to zdumiewająco prosta robota.

Goetz wszystko przygotował, zamierzając zlikwidować przedsiębiorstwo, a zamykając, że większość jego inwestycji obejmowała głównie nieruchomości, nie natrafiliśmy na żadne przeszkody, których nie dąby się przez zwyciężyć. Nikt nas nie odwiedzał, czasem pojawiał się tylko jakiś dostawca, z którego usług Mina natychmiast rezygnowała. Osobowość i przeszłość Goetza stopniowo stawały się dla mnie jasne, coraz łatwiej było mi nosić maskę, rolę, jaką gramałem, była równie precyzyjnie określona, jak rola aktora, i stała się równie łatwą do przyjęcia.

Pierwszy sprawdzian moich umiejętności miał miejsce w następnym tygodniu, w poniedziałek, kiedy to pojawiałem się w miejscowym banku, aby zdeponować kilka zwykłych czeków, otrzymanych pocztą. Ludzie są z gruntu niezbyt spostrzegawczy, i jeśli tylko nie pogwałcili się i nie zmienili znanego im obrazu danej osobowości, to taka zabawa w przebranie, w jakiej brałem udział, na szansę zakończyć się powodzeniem i nie trudną wykorzystać ją dla celów praktycznych.

Przy okazji następnych wizyt w miejsce robotnika całkiem zwyczajnego wizyt w miejsce robotnika całkiem zwyczajnego rzeczy, powolutku, acz swobodnie zlatwałem coraz to inne sprawy na oczach ludzi, zaszczepając w ich świadomości wizerunek nowego Raya Goetza, i mniej więcej w środku trzeciego tygodnia zacząłem szczerze bawić się moim nowym życiem, okraszonym niebezpieczeństwem, i dopełnionym wygodą i przyjemnością, które zapewniała mi niezawodna Mina.

Termin naszego wyjazdu ustaliliśmy na koniec trzeciego tygodnia, bowiem naszym zdaniem w wystarczającym stopniu zdołaliśmy przekonać wszystkich, iż Ray Goetz nadal żyje. Pielcownik przygotowaliśmy naszą podróż, przestudiowaliśmy najpierw rozkład jazdy pociągów (w samolotach ogromnie się denerwuję), następnie z zapalem wyznaczaliśmy kolejne etapy naszej Wielkiej Wyprawy — Paryż, Rzym, Madryt, Sztokholm, Kopenhaga.

Być może największej uciechy, jakiej dostarczała mi ta przygoda, doznałem w wigilię naszego wyjazdu, kiedy oboje siedzieliśmy w salonie, stateczne, zamodne amerykańskie małżeństwo, udające się właśnie na roczny urlop. Myślałem wtedy, jak niezwykle były te ostatnie dni, myślałem o dziwnym i interesującym wprowadzeniu, o emocjonującym punkcie kulminacyjnym, o cudownie rozegranym, lecz nie przemysłanym w pełni zakończeniu, które wciąż pozostawało jakby zbyt prymitywne — i niezadowolające z dramatycznego punktu widzenia.

Dalsze rozmyślenia przerwał mi dzwonek do drzwi, oznajmijający przybycie taksówki. Uśmiechnąłem się do Myny i otworzyłem drzwi, w progu stało dwóch mężczyzn, pierwszy z nich wykonywał te idiozynce, teatralne gesty, typowe dla wszystkich policjantów, pokazał mi jakas metalowa odznaka, wymamrotał zwyczajową formułkę. Mina stała z walizkami w rękach, jej twarz wyglądała niczym jedno wielkie pytanie.

Sądząc, że na początku świetnie udało mi się poprowadzić rozmowę, poprosiłem, żeby usiedli, zaproponowałem drinka.

Jestem Ray Goetz — powiedziałam. — To moja żona, Mina. W czym możemy panom pomóc?

— Widzę, że pan wyjeżdża, panie Goetz — po-

wiedział ten wysoki. — Nie zajmijmy panu wiele czasu. Przykro nam, że przeszkadzamy.

— Nic nie szkodzi — powiedziałem. — Mama jeszcze trochę czasu.

— Szukamy niejakiego Jonathana Wainrighta — powiedział wysoki policjant.

— Nie ma go tutaj — odparłem. — Tak nazywał się chyba ten pan, który przyjechał do nas jakieś trzy tygodnie temu w sprawie budowy basenu.

— Kiedy wyjechał? — zapytał wysoki.

— W piątek, dwudziestego szóstego czerwca, jeśli dobrze sobie przypominam — odpowiedziałem, z odpowiednim wahaniem w głosie.

— Pamięta pan może o której godzinie?

— Około piętej po południu. Pamiętam, bo podwoziłem go do miasta. Zegar na budynku banku wskazywał dwadzieścia pięć po piętej, kiedy Wainright wysiadł przy kregielni.

— Czemu akurat tam? — zapytał wysoki.

— Twierdził, że zostawił tam samochód.

Mogłem jedynie ubolewać nad swoją głupotą. Pozostawiłem samochód na parkingu koło kregielni, było rzeczą całkiem bezpieczną, i stanowiąc jeszcze jeden dziwny szczegół w sprawie zniknięcia Jonathana Wainrighta, ale zapomniałem o tym parszywym kelnerze, który z pewnością dobrze sobie zapamiętał obcego. Niewątpliwie wizyte stróżów prawa zawiadzczał właśnie kelnerowi.

— Czy coś się stało? — spytała Mina.

— To tylko zaginięcie, normalna historia, proszę pani. Samochód ciągle tam stoi. Kolo kregielni.

Nie zabrał go. Czy nie powiedział czegoś, co pomógłby nam ustalić, dokąd zamierzał się udać?

Zachowywali się w profesjonalnie niewymuszony sposób.

— Nie — odparłem. — Skończył nadzorować robotę i wyjechał. Sądziłem, że wraca do Los Angeles.

— Dlaczego zostawił samochód w mieście?

— Spotkał się ze mną w biurze. Zaprosiłem go do nas na obiad i nie widziałem powodu, żeby jechał dwoma samochodami. Przenocował tutaj, nadzorował montaż, potem wyjechał.

— Czemu został u państwa na noc?

— To był całkiem sympatyczny facet. Mielismy wolny pokój gościnny.

— Nie wdajmy się w szczerść pańskich intencji, panie Goetz, pragniemy tylko uzyskać jakies informacje. Jak pan wrócił do miasta?

— Moim samochodem. Jechaliśmy ulicą Country Club.

Poczułem się teraz pewnie, niebezpieczeństwo zeznane.

— Która to była godzina? — Rozmawiał ze mną nadal ten wysoki, jego niski kompan był zajęty sporządzaniem notatek.

— Wyjechaliśmy o piętej.

— Jest pan tego pewien?

— Całkowicie. Pamiętam, że spojrzałem wtedy na zegarek.

— Wypruśzył pan stąd w piątek o piętej, a o której byliście na parkingu?

— Na moim zegarku było dwadzieścia pięć po piętej.

— Chcemy ustalić czas tak precyzyjnie, jak tylko to możliwe.

— Zegar bankowy wskazywał wpół do szóstej, kiedy przejeżdżaliśmy tamtędy, wracając do domu.

— Wrócił pan tą samą drogą?

— Tak.

— Jest pan pewien co do czasu, panie Goetz?

— Absolutnie.

Wstał, szykując się do wyjścia. Wysoki przez chwilę przypatrywał mi się niedbale. — Panie Goetz.

— Słucham.

— Jak wyglądał ten Wainright?

— Odnośnie wrażenie, że był podobny do mnie.

Teraz oboj przysłuchali mi się uważnie.

— Tak. Widzieliśmy zdjęcie. Czy nie mógłby pan wyjechać jakimś późniejszym pociągiem?

— Niechętnie, ale to możliwe. — Byłem wspaniały.

— Z jakiego powodu?

— Chciałbym prosić, aby pojechał pan z nami na posterunek i złożył pisemne zeznanie.

— Bardzo wam na tym zależy?

— Właścicie możemy panu powiedzieć, To dość poważna sprawa, byłoby dobrze, żebyśmy znaleźli tego faceta.

— Czy jest jeszcze coś, o czym nam nie powiedzieliście? — zapytała Mina.

Wysoki policjant zatrzymał się, żeby przepuścić mnie w drzwiach.

— Tak, proszę pani. Są jeszcze dwie rzeczy.

Rozkoszowałem się pulsującą w pokoju atmosferą, kiedy Mina czekała na odpowiedź.

— Ten Wainright to patologiczny morderca. Jest poszukiwany. Mamy na niego trzy nakazy.

Mina popatrzyła najpierw na mnie, potem na policjanta, zrenie jej oczu rozszerzyły się. Nigdy jeszcze nie wyglądała tak pięknie.

— Kogo on zabił? — Słowa z trudem przechodziły jej przez gardło.

— Swoją żonę, między innymi. Naprawdę nazywała się Keeler — Jonathan Keeler. Czasem używa jeszcze dodatkowo nazwiska Wainright.

Mina zesztywniała, trzęsły jej się ręce, zwróciła do mnie twarz, jak kwiat do słońca, szukała, szukała. Uśmiechnąłem się do niej.

— Mówi pan, że są dwie rzeczy — powiedziała. Tym razem odezwał się niski policjant.

— Tak, proszę pani, jest jeszcze jeden problem. Chciałbym, aby pan Goetz wyjaśnił nam, w jaki sposób on i Wainright dostali się w okolice kregielni w tamten piątek o piętej po południu, jadąc ulicą Country Club?

— Już wam to wyjaśniłem — powiedziałam.

— Niezupetnie, panie Goetz. Tamtędy dnia był wypadek na tej ulicy. Przeurduciła się ciężarówka. Ogromna ciężarówka z przyczepą. Między trzecią a szóstą ulicą była zablokowana.

Mina onieміiała. Odwróciłem się do drzwi.

— Dobranoc, Mina — powiedziałem.

Na zawsze zapamiętam wyraz jej twarzy, kiedy Mina poczuła, jak zaczynała się wokół niej pajać sieć okoliczności. Fascynujące, doprawdy fascynujące.

Ja zaś znalazłem się, delikatnie mówiąc, w idiozynczej sytuacji. Traktowali mnie nawet całkiem uprzejmie, kiedy przyjechaliśmy już na posterunek, przepuszczali nawet, że muszę wziąć moje odciski palców, potem zgodnie z policyjną tradycją nie dali mi ani chwili spokoju, w końcu powtarzając na sto różnych sposobów te same nużące pytania, doprowadzając mnie tym niemal do szaleństwa. Nie jestem człowiekiem cierpliwym; mimo to wytrzymałem jakoś blisko dwie godziny tego nieustannego wypytywania, ogarnęło mnie uczucie ulgi, kiedy otrzymałem nareszcie pióro i papier, o które prosiłem, aby móc spisać niniejszą relację, co też uczyniłem tak dokładnie i precyzyjnie, jak tylko pozwalała mi na to moja pamięć.

Pragnę również wyrazić swoje szczerze ubolewanie i żal, iż przypomniałem dalszych kłopotów Mynie Goetz, ale ostatecznie cała ta historia to był przecięt jej pomysł.

Podpisano:
JONATHAN KELLER

Przełożył:
MACIEJ ŚWIERKOCKI

W ogóle propozycja spodobała się Szarokowi. I z Leną samo się ułnie. I z bratem. Brat konczy wyrok, wróci, niech się urządza sam, nie będzie mu pomagał.

Wika powitał Szarok na Marosiejce w dobrym nastroju.

— No, matko, radujcie się, wypuszczamy cię na cztery strony świata. Nie z powodu Leny. Zameldowałem, że spotkałaś się z moją żoną i ten problem został rozstrzygnięty. Odwołujemy nasze spotkanie dlatego, że zwierzchnicy uznali moje argumenty za rozsądne: siedzisz w domu, przykładowa żona, jaki z ciebie pożytek? Świetny miódowy miasąg.

— Dziękuję — odrzekła Wika powściągliwie.

— A co z... Moje zobowiązanie?

— Zobowiązanie? Zdane do archiwum. Chcesz otrzymać je z powrotem?

— Tak.

— No, też wymyśliłaś! Kto pozwoli na wyjęcie czegoś z dokumentacji? Ponomierowano, zdano do archiwum, myśzy je czytają.

Wika rozumiała — tym papierkiem i tak będą ją trzymać za gardło. Ale na razie jest wolna, a potem się zobaczy.

— Dziękuję, Jura — powiedziała wstając — mam nadzieję, że w takiej sytuacji — pokazała rękę i pokój — i w takiej roli nigdy więcej się z tobą nie spotkam.

— Nigdy — powiedział Szarok z uśmiechem.

Jego odpowiedź była szczera. Nigdy więcej nie będzie się zajmował Wiką Marosiewicz. Kiedy zaistnieje taka konieczność, a niewątpliwie zaistnieje, będzie się nią zajmował ktoś inny.

Sam już w myślach szykował się do odjazdu do Leningradu. Nigdy nie był w Leningradzie. Wielu jego szkolnych kolegów jeździło tam na wakacje, to było bardzo sztywne — spędzić wakacje w Leningradzie, mieli w Leningradzie krewnych, znajomych, on nie miał tam nikogo. Zazdrościł tego arbackim inteligentom, zresztą tak samo, jak i wielu innych rzeczy. Teraz on też jedzie do Leningradu, nie gnęździć się u krewnych, ale do odpowiedzialnej pracy, z początku będzie mieszkał w hotelu, a potem dadzą mieszkanie.

Tego samego dnia Szarok był z meldunkiem u Bieriezina, przyniósł dokumenty do podpisu.

Podpisawszy dokumenty, Bieriezin powiedział:

— Odbędzie się nabór do wyższej szkoły NKWD. Chcecie się uczyć?

Szarok się speszył. Szkoła wyższa — to też jest pociągające, przygotowują pracowników wyższego szczebla. Ale co z Leningradem?

— Nie wiem — niepewnie powiedział Szarok — przecież towarzysz Zaporoziec chce zabrać mnie do siebie do Leningradu.

Bieriezin przyjrzał mu się uważnie, potem spuścił głowę, skrył wzrok.

— Jeśli tak, to co innego, problem odpada. Jego twarz była nieprzenikniona.

Szarok wyszedł z gabinetu. Bieriezin zamknął za nim drzwi na klucz. W tym samym puku odszukał klucz od sejfu, stojącego w rogu pokoju, otworzył go, przystawił krzesło i zaczął odkładać na nie wyjmowane z sejfu teczki, przeglądając każdą.

Wreszcie znalazł teczkę, której szukał, odłożył ją, pozostałe schował z powrotem do sejfu, ułożywszy w tej samej kolejności, w jakiej leżały przedtem, a w miejscu odłożonej umieścił kartkę papieru, żeby włożyć ją na powrót w to samo miejsce.

Uważnie przeglądał teczkę, zatrzymał się na interesującej go stronie... Zapalił.

Informacja, którą przypadkowo otrzymał Bieriezin od Szaroka, potwierdziła jego podejrzenia: w Leningradzie szykowało się jakaś akcja.

Pierwszym sygnałem do takich podejrzeń było wysłanie Alfierowa do Wschodniej Syberii. A przecież Alfierowa wzywał do siebie Kirow. Jednak zamiast do Leningradu wysłano Alfierowa nad Angarę na stanowisko pełnomocnika rejonowego: trzeba było jakoby wyjaśnić pewne aspekty jego działalności w Chinach, a na razie niech pomieszka na Syberii.

Alfierowa nawet nie dopuszczono do Moskwy, kazano zatrzymać się w Kańsku, a stamtąd skierowano do rejonu.

Zamiast Alfierowa do Leningradu pojechał Iwan Zaporoziec. Wysoki, szeroki w ramionach, „rzucający się w oczy” mężczyzna, kawalarz i gawędziarz, znawca wina i kobiet, pięknie śpiewa. Mieszkał na Palisze, skarżył się kiedyś, że w mieszkaniu nie ma wanny, żona dokuczała mu z tego powodu, piękną ma żonę, Rozę Proskurowską...

Bieriezin znowu pochylił się nad stołem, przejrzał dossier Zaporozca. Były lewicujący eser, jednak uchwalił się w centralnym aparacie Czecha. Wybronił go, oczywiście, Jagoda, zawsze są blisko siebie. Na liście przeprowadzonych przez Zaporozca operacji największą było wysłanie go do sztabu Machny. Fartowny łowca przegód. Teraz szykuje nową przegodę. Jego, Bieriezina, człowiek z otoczenia Zaporozca przekazał mu kopię listu niejakiego Nikołajewa. List dziwny i wzbudzający ciekawość. Bieriezin przeczytał go jeszcze raz.

Leonid Nikołajew. Wstąpił do partii w 1920 roku, na froncie, mając szesnaście lat. Z rodziny robotniczej i sam w przeszłości robotnik. Do 1934 roku pracował w Leningradzkim RKI na stanowisku inspektora do spraw cen. Z RKI, jak pisał Nikołajew, usunięto go z powodu intryg okopanych w aparacie komitetu obwodowego trockistów i przeniesiono do fabryki. Jednakże sekretarz fabrycznej organizacji partyjnej, także trockista, skierował go w ramach mobilizacji partyjnej do transportu. Jest gotów pracować wszędzie, dokąd skieruje go partia, ale nie partia kieruje, tylko trockiści, chcący pozbyć się go z Leningradu. Wyjazd odmówił. Za to usunięto go z partii, od marca jest bez pracy. Wysłał do towarzysza Kirowa dwadzieścia listów z prośbą o rozpatrzenie sprawy, pisał towarzyszowi Kirowowi o rozpanoszeniu się trockistów w leningradzkim aparacie partyjnym. Na żaden list nie otrzymał odpowiedzi. Albo towarzysz Kirow nie uważa za stosowne odpowiadać, albo listy do towarzysza Kirowa nie dochodzą. Winę za to ponosi trockistowski otoczenie, któremu towarzysz Kirow ślepo ufa. Z trzydziestu lat swego życia czternaście on, Nikołajew, spędził w partii, bez partii nie wyobraża sobie dalszego istnienia, jest doprowadzony do ostateczności i zdolny do wszystkiego...

„Zdolny do wszystkiego...”. Co to oznacza?

Samobójstwo? Człowiek przez czternaście lat był w partii i rozumie, że taka groźba nikogo nie przestraszy. Akt terroryzmu? O tym się nie pisze, nie uprzedza, za podobną groźbę rozstrzelują. A jednak napisał, grozi. Chory psychicznie?

Pod czym adresem skierowane są te groźby? I najważniejsze: Z tym człowiekiem pracuje Zaporoziec. Po co mu jest potrzebny?

W jakim charakterze bierze Zaporoziec nowych ludzi do Leningradu? Kogo mają zastąpić? W jakim celu? Dlaczego to taka tajemnica? Nawet on, Bieriezin, członek kolegium, dowiedział się o tym przypadkowo.

Stalin jest niezadowolony z sytuacji w Leningradzie — jest to powszechnie wiadome. Żąda od Kirowa represji wobec tak zwanych członków Zinowiewowskiej opozycji, chce rozpuścić w Leningradzie terror. Po co? Jako detonator do rozpętania terroru w całym kraju? Kirow odmawia i widocznie zadaniem Zaporozca jest sprowokowanie incydentu, który pomógłby przełamać opór Kirowa. Ale cokolwiek zorganizowałby Zaporoziec, dochodzenie będzie prowadzone w Leningradzie. Kirow dochodzenia z ręką nie wypuści, w takiej sprawie się nie cofnie, przedstawi problem w Burze Politycznej.

To znaczy, że Zaporoziec powinien zorganizować coś takiego, co ogłuszy wszystkich i wobec czego Kirow będzie musiał ustąpić.

Albo co to takiego? Akt dywersji, wybuch, katastrofa kolejowa? Kirow nie da się na to nabrać! Zabójstwo któregoś z jego współpracowników? Czudowa, Kodackiego, Pozerna?...

Rano, minawszy swój gabiet, Budiagin zaszedł do Siemuszki, skinął na drzwi gabietu Ordżonikidze.

— U siebie?

— U siebie — odpowiedział Siemuszkin.

Opowiadając Ordżonikidze o kierowaniu do Zaporozca do Leningradu nowych ludzi, Budiagin nie wymienił Bieriezina. W takich sprawach nie wymienia się źródła informacji.

Ordżonikidze się zamyślił. Jeśli są nowe nominacje — zwykła resortowa intryga w aparacie NKWD, to informację o niej Miedwied przekazałby Kirowowi. Jednak zainteresowani tym ludźmi przez Budiagina donoszą o tym jemu, członkowi Biura Politycznego, osobistemu przyjacielowi Kirowa. Znaczący to, że informacja ma charakter nie wewnątrzresortowy, tylko ogólnopolityczny.

— Co ty o tym myślisz? — spytał Ordżonikidze.

— W Leningradzie coś się szykuje. Cel — skompromitowanie Sergieja Mironowicza.

— W jaki sposób?

— Trudno powiedzieć. Chciałby skłonić do represji, chca postawić go przed taką koniecznością. A jeżeli znowu odmówi, usunąć z Leningradu.

— Widocznie — zgodził się Ordżonikidze.

Nawet, im nie przyszło do głowy to, czego od razu domyślił się kadrowy czekista Bieriezin.

10.

Zabolał ząb. Już od dawna się ruszał, ale trzymał się nieruchomo pod haczykiem prote-

zy. Ale wczorajszego wieczoru, kiedy Stalin zdejmował protezę, poczuł ból. Znow złożył protezę, haczyk unieruchomił ząb. Ale, kiedy dotykał ząb językiem, chwiał się i jak mu się zdawało, pobolewało go dąsłko.

Stalin położył się spać, nie zdjawszy protezy i noc spędził spokojnie. Rano ostrożnie zdjął protezę, poruszał ząb językiem, potem palcami — ząb się ruszał, miał ochotę go wyrwać, wypchnąć z ust językiem. Stalin kazał wezwać z Moskwy dentystę. U schyłku dnia zameldowano mu, że doktor Lipman i technik protezy przyjechali samolotem i zostali umieszczeni na dachu numer trzy.

— Jak się urządzi, niech przyjdzie — zarządził Stalin.

Doktor zjawił się za pół godziny — przyśtojny, dobroduszy Żyd pod czterdziestkę. Już leczył Stalin, Stalin był z niego zadowolony, nawet powiedział coś takiego: „Macie ręce delikatniejsze niż Szapiro”.

Szapiro był poprzednikiem Lipmana. Też dobry specjalista. Ale Stalin nie lubił lekarzy, którzy wypytują, obmacują, osłuchują, zapisują lekarstwa, ale nie nic nie wyjaśniają, nie mówią, na co się choruje, czemu służy ich zalecenia, ich zachowanie jest nazbyt wieloznaczne, ze swojej profesji robią tajemnicę, zagadkę. U małutkiego, milczącego Szapiro te cechy były szczególnie nieprzyjemne.

Lipman przeciwnie, opowiadał, co robi, mówił, jakie Stalin ma zęby, jak dbać o protezę, a kiedy pierwszy raz wyrwał Stalinowi ząb, nie wyrzucił go do śpiączki, jak to robił Szapiro, ale pokazał Stalinowi, pokazał, co się stało z korzeniem i dlaczego ząb należało koniecznie usunąć. Spokojny, towarzyski człowiek. Stalin mówił o nim żartem: „I rzewię zęby, i zamawia zęby”.

Widział, że Lipman się go boi, nic dziwnego w tym nie ma — wszyscy się go boją. Ale jeśli dentystę ze strachu drżą ręce, może narobić nie wiadomo co. I dlatego zachowywał się wobec Lipmana życzliwie. Dzisiaj, tak jak zwykle, zapytał:

— Co słychać, co w domu — wszystko w porządku?

Chociaż o domu i rodzinie Lipmana nie wiedział absolutnie nic.

— Wszystko w porządku, Josifie Wissarionowiczu, dziękuję. — Lipman otworzył walizkę, dość dużą, prawie jak podróżny, wyjął instrumenty i podglówek, który przymocował do fotela. To, że podglówek mocował zawczasu, też się Stalinowi podobało. Szapiro robił to, kiedy Stalin już siedział w fotelu, a Stalinowi zawsze było nieprzyjemnie, kiedy ktoś coś robił za jego plecami.

Umocowawszy podglówek i sprawdzwszy, czy dobrze się trzyma, Lipman poprosił Stalinę, żeby usiadł. Stalin usiadł. Lipman zawiązał mu serwetkę, miękkim ruchem rąk położył mu głowę na podglówku.

— Wygodnie?

— Dobrze.

— Co wam dolega?

— Ząb się rusza, zwłaszcza wtedy, kiedy zdejmę protezę.

— Zaraz zobaczymy — Lipman podał Stalinowi szklankę z wody — proszę przepłukać... Tak, dobrze... Teraz proszę odchylić głowę do tyłu... Tak, bardzo dobrze...

Ostrożnym ruchem Lipman zdjął protezę, poruszał ząb. Palce miał miękkie, pachnące czymś przyjemnym — porządny lekarz... Potem przejrzał rozłożone na stole instrumenty, wyjął ręczne lustro, znowu obejrzał zęby, powiedział:

— Trzeba będzie ten ząb usunąć, nie ma innego wyjścia, poza kłopotami nie wam z tego zęba nie przyjdzie, proteza się na nim nie trzyma. Ząb całkiem do niczego.

— Ile czasu to zajmie?

— Powiedzmy, ranka zagoi się za dwa-trzy dni, protezę zrobimy w ciągu doby. Myślę, że na to wszystko zjedzie z pięć dni, nie więcej.

— I będę pięć dni chodził bez zębów — spochmurniał Stalin.

— Dlaczego od razu bez zębów — uśmiechnął się Lipman — chwilowo nie będziecie mieli tylko górnych trzonowych. Można, oczywiście, tymczasowo przerobić i tę protezę — Lipman poobrał w ręku stary mostek — wtedy nie będziecie mieli tylko jednego zęba. Ale przy najmniejszym przekrzywieniu protezy możecie uszkodzić zdrowy ząb — zbytnio byłby obciążony. Po co ryzykować? Wytrzymacie kilka dni?

— Dobrze — zgodził się Stalin. — Kiedy trzeba rwać?

— Kiedy sobie życzycie, mogę natychmiast.

— A jeśli jutro rano?

— Można i jutro rano.

— Mam dzisiaj gości, nie wypada przyjmować gości bez zębów, jak uważacie?

— Goście — uśmiechnął się Lipman — jeśli chcą podjąć, muszą przede wszystkim sami mieć zęby.

Stalin wstał, Lipman pośpiesznie rozwiązał serwetkę na jego szyi.

— Odpoczywajcie — powiedział Stalin — jutro rano, po śniadaniu, poproszą was.

Kirow przyjechał w dzień. Stalin polecił Zdanowowi zapoznać go z przebiegiem prac nad podręcznikiem historii i zaprosić wieczorem na kolację.

Kolację jedli we trzech: Stalin, Kirow i Zdanow.

— Dobrze, że przyjechałeś, Sergieju Mironowiczu — mówił Stalin, siadając zgodnie z prawami gospodarza, na pierwszym miejscu za stołem — bo Andriej Aleksandrowicz — kiwnął w stronę Zdanowa — nie pije, nie je, siedzi za stołem, jak Jezus Chrystus i chce mnie zamorzyć głodem. A w tym momencie zgadzam się z Czechowem: wszystkie te choroby to doktorzy wymyśliли. Jeść należy wszystko, oczywiście, w granicach rozsądku. Pożyteczne są kaukaskie ziołka: kinza, tarchun, dżon-dżoli... Owoce są pomocne, wino wytrawne, gruzińskie wino — to dobre wino. Pij, jedz — wszystko wyjdzie na dobre. Co jest na stole — sam widzisz, jesteś człowiekiem Kaukazu. Albo, może, w Leningradzie zapomnieli, co to jest chaczapuri, co to jest łobio, co to jest saciwi?

— Nie zapomniałem — odpowiedział Kirow, śmiejąc się i nakładając na talerz po trochu z każdego dania — wszystko pamiętam i wszystko lubię.

— Nie wiem, jaka teraz w Leningradzie kuchnia jest w modzie — w zadumie powiedział Stalin — przedtem wśród szlachty była w modzie kuchnia francuska, pomiędzy ludem — niemiecka: serdelki, kielbasy. A teraz?

— Teraz jest w modzie kuchnia proletariacka — rzekł Kirow — kapuśniak, barszcz, kołety, makaron. Co dajemy na kartki, to naród zjada.

— Tak, kartki — jak przedtem w zadumie powiedział Stalin — kartki będziemy likwidować.

Na to Kirow nie zareagował: likwidacja kartek żywnościowych od pierwszego stycznia była kwestią postanowioną.

— W tym roku można się spodziewać dobrego urodzaju — ciągnął Stalin — ziarna powinno starczyć. Dostaliśmy dane z Kazachstanu, urodzaj, pisały, niebawem, dziesiątki lat takiego nie było, mają nadzieję otrzymać po dwadzieścia pięć centarów z hektara. Obawiam się, że twój przyjaciel Mirzojan nie da sobie rady z takimi planami.

— Mirzojan to energiczny człowiek, nie zawiedzie.

Jakby nie słysząc repliki Kirowa, Stalin ciągnął rzecz w zadumie:

— Wysokie plony — to, oczywiście, dobra rzecz, ale też kryje w sobie niebezpieczeństwo: zaskakuje ludzi znieścaka, niesie z sobą nastroje samouspokojenia, beztroski, niefrasobliwości. Wysokie plony wtedy są dobre, kiedy są zebrane, wywiezione, nie rozgrabione, nie zmarnowane.

C.D.N.

Thumaczyla:

EWA-KATARZYNA NOWAK

ANATOLIJ RYBAKOW

Dzieci Arbatu



Po to trzyma Nikołajewa? To byłoby głośniejsze, ale i tak nie można odsunąć Kirowa od dochodzenia.

Wieg co?

Bieriezin dobrze pamiętał słowa, wypowiedziane do niego przez Stalinę w 1918 roku w Caryncie. Stalin zażądał rozstrzelania kilku specjalistów wojskowych spośród byłych oficerów carskiej armii. Bieriezin, wtedy dowódca oddziału specjalnego, argumentował, że oskarżenia są nieprzekonujące i rozstrzelanie wywoła wiele komplikacji i problemów.

Na to Stalin pomyślał:

— Śmierć rozwiązuje wszystkie problemy. Nie ma człowieka i nie ma problemów.

I okazało się, że Stalin miał rację. Przyszedł telegram o kasacji wyroku śmierci, ale ludzie już zostali rozstrzelani. Żadnych problemów nie było.

Taką filozofię wyznaje ów człowiek. Czy zastосуje ją teraz? Tak, bezwzględnie tak! On, Bieriezin, nie może wystąpić otwarcie, jedno nieostrożne słowo — i zostanie zniszczony. Ale ma możliwość uprzedzenia.

Wieczorem Bieriezin wstąpił do Budiagina. Mieszkał na różnych klatkach schodowych Piątego Domu Rad i choć się mało znali, i rzadko spotykali, żyli do siebie sympatycznie: obaj należeli do żelaznej falangi starych bolszewików, mających za sobą jednakową drogę życiową i dalekich od żądzy władzy i sławy.

Bieriezin nie sformułował przed Budiaginem żadnych podejrzeń. Budiaginowi wystarczyło to, że Bieriezin przyszedł do niego do domu, przyszedł pierwszy raz w życiu jakoby po książkę o gospodarce Dalekiego Wschodu, którą mógł wypożyczyć z każdej biblioteki. Właściwie ocenił Budiagin i rzucił w rozmowie informację Bieriezina o tym, że Iwan Zaporoziec dobiera sobie do Leningradu grupę swoich ludzi i że jest to utrzymywane w ścisłej tajemnicy.

Odprowadziwszy Bieriezina, Budiagin wszedł do kuchni, zaparzył sobie mocnej herbaty. Szkoda, że Aszchen Stiepanowna jest na delegacji, chciałoby mu się omówić z nią informację Bieriezina, informację alarmującą.

Posiedzenie przedpołudniowe 2 marca 1938 roku

Przewodniczący: — Otwieram posiedzenie kolegium Najwyższego Sądu Wojskowego ZSRR. Przystępujemy do odczytania aktu oskarżenia. Przeprowadzone śledztwo stwierdziło co następuje: 1. W latach 1932 do 1933 na polecenie działających w ZSRR służb szpiegowskich wrogich państw oskarżeni zawiązali grupę spiskową pod nazwą „Blok prawicowców i trockistów”, która postawiła sobie za cel: szpiegostwo na korzyść obcych państw, wyrządzanie szkód własnemu państwu, dywersje, akty terroru, podkopanie siły obronnej ZSRR, sprowokowanie militarnej napaści tych państw na ZSRR, rozczłonkowanie Związku Radzieckiego i oddzielenie Ukrainy, Białorusi, republik środkowo-azjatyckich, Gruzji, Armenii, Azerbejdżanu i dalekowschodniego rejonu przybrzeżnego (Primoria), w interesie wspomnianych obcych państw, a w końcu upadek panującego w ZSRR socjalistycznego porządku społecznego i państwowego oraz obudowę kapitalizmu i władzy burżuazji w ZSRR.

2. „Blok prawicowców i trockistów” nawiązał łączność z niektórymi obcymi państwami, aby uzyskać od nich zbrojną pomoc dla urzeczywistnienia swoich przestępczych zamiarów.

3. „Blok prawicowców i trockistów” systematycznie uprawiał szpiegostwo na korzyść tych państw, przekazując zagranicznym służbom szpiegowskim ważne tajemnice państwowe.

4. „Blok prawicowców i trockistów” systematycznie przeprowadzał akty sabotażu i dywersji w różnych dziedzinach socjalistycznego budownictwa (przemysłu, gospodarki rolnej, kolejnictwa, finansach, gospodarce komunalnej itd.).

5. „Blok prawicowców i trockistów” organizował szereg aktów terrorystycznych przeciwko przywódcom WKP(b) i państwa radzieckiego oraz przeprowadził akty terroru przeciwko S.M. Kirowowi, W.R. Mienszyskiemu, W.W. Kujbyszewowi i A. M. Gorkiemu.

Oskarżony Bucharin, czy przyznaje się pan do wysuniętych przeciwko panu oskarżeń?

N. Bucharin: — Tak, przyznaje się do wysuniętych przeciwko mnie oskarżeń.

Przewodniczący: — Oskarżony Rykow, czy przyznaje się pan do wysuniętych przeciwko panu oskarżeń?

A. Rykow: — Tak, przyznaje się do winy.

Przewodniczący: — Oskarżony Krestinski, czy uznaje się pan winnym wysuniętych przeciwko panu oskarżeń?

N. Krestinski: — Nie przyznaje się do winy. Nie jestem trockistą. Nigdy nie byłem uczestnikiem „Bloku prawicowców i trockistów”, o którego powstaniu nic nie wiedziałem. Nie popełniłem również ani jednego z zarzutów, którymi się mnie oskarża, a w szczególności nie uznaję się winnym kontaktów z niemiecką służbą szpiegowską.

Przewodniczący: — Czy nie potwierdza pan zeznań złożonych w śledztwie?

N. Krestinski: — Tak, w śledztwie przyznałem się do winy, ale nigdy nie byłem trockistą.

Przewodniczący: — Powtarzam pytanie, czy przyznaje się pan do winy?

N. Krestinski: — Byłem do chwili aresztowania członkiem WKP(b) i pozostaję nim również obecnie.

Przewodniczący: — Przyznaje się pan do winy uczestniczenia w działalności szpiegowskiej i terrorystycznej?

N. Krestinski: — Nigdy nie byłem trockistą. Nie należałem do „Bloku prawicowców i trockistów” i nie popełniłem żadnego przestępstwa.

Wieczorne posiedzenie 3 marca 1938 roku

A. Wyszyński: — Oskarżony Krestinski, czy będzie pan kontynuował oszukiwanie sądu i zaprzeczać prawdziwości złożonych w śledztwie zeznań?

N. Krestinski: — Potwierdzam swoje zeznania złożone w śledztwie.

A. Wyszyński: — Co oznacza w takim razie pańskie wczorajsze oświadczenie, którego nie można inaczej ocenić, jak trockistowską prowokację wobec sądu?

N. Krestinski: — Byłem wczoraj pod chwilowym wrażeniem silnego uczucia fałszywego wstydu, powstałego wobec ławy przysięgłych, a wywołanego przez odczytywanie aktu oskarżenia, co zastryzyło się przez mój chorobowy stan i nie byłem zdolny powiedzieć prawdy. Zamiast powiedzieć — tak jest, jestem winien, odpowiedziałem niemal mechanicznie — nie, jestem niewinny.

A. Wyszyński: — Mechanicznie?

N. Krestinski: — Nie miałem siły w obliczu światowej opinii publicznej powiedzieć prawdy, że przez cały czas prowadziłem trockistowską walkę. Proszę sąd przyjąć moje oświadczenie, że uznaję się całkowicie winnym najcięższych oskarżeń, jakie wysunięto przeciwko mnie osobiście i uznaję się całkowicie odpowiedzialnym popełnionych przeze mnie wiarołomstwa i zdrady.

Posiedzenie wieczorne 5 marca 1938 roku

A. Wyszyński: — Proszę pozwolić mi rozpocząć przesłuchanie oskarżonego Bucharina. Proszę sformułować zwięźle, czego czuje się pan winnym.

N. Bucharin: — Po pierwsze przynależność do „Bloku prawicowców i trockistów”.

A. Wyszyński: — Od którego roku?

N. Bucharin: — Od około 1932. Uznaję się winnym tego, że byłem jednym z czołowych przywódców tego bloku. Uważam się następnie, co wynika bezpośrednio z poprzedniego, winnym całości przestępstw, które zostały popełnione przez tę kontrrewolucyjną organizację, niezależnie od tego, czy o nich wiedziałem, czy nie, czy brałem bezpośredni udział w tym lub innym akcie, ponieważ ponoszę odpowiedzialność jako jeden z przywódców tej kontrrewolucyjnej organizacji, nie zaś jako jej pionek.

A. Wyszyński: — Do jakich celów zmierzała ta kontrrewolucyjna organizacja?

N. Bucharin: — W gruncie rzeczy zmierzała, mimo że ja może nie byłem tego dostatecznie świadomy i nie chciałem stawiać kropek nad „i”, jako do głównego celu, do restauracji kapitalistycznych stosunków w ZSRR.

A. Wyszyński: — Do jakich celów zmierzała ciekiej?

N. Bucharin: — Tak, na drodze obalenia sił tej władzy.

A. Wyszyński: — Z pomocą?

Na początku marca 1938 roku odbył się w Moskwie proces „Bloku prawicowców i trockistów”. Wśród oskarżonych byli między innymi Aleksiej Rykow — od 1924 roku (po śmierci Włodzimierza Lenina) premier rządu, po roku 1930 ludowy komisarz łączności, Nikołaj Bucharin — od 1919 roku członek Biura Politycznego KC WKP(b), w latach 1926—1929 przewodniczący Komitetu Wykonawczego Międzynarodówki Komunistycznej, w latach trzydziestych redaktor odpowiedzialny „Izwestii” oraz Nikołaj Krestinski, ostatnio ambasador ZSRR w Berlinie. Oskarżonych było 21, osiemnastu z nich skazano na karę śmierci. Rozprawie przewodniczył prawnik wojskowy — Wasilij Ulbrich. Oskarżał prokurator generalny ZSRR — Andriej Wyszyński, który w latach powojennych był ministrem spraw zagranicznych ZSRR.

Proces oparty był na fałszywych oskarżeniach, sfabrykowanych dowodach, wymuszonych zeznaniach. Obaj wymienieni tu oskarżeni: Aleksiej Rykow i Nikołaj Bucharin zostali ostatnio oficjalnie zrehabilitowani przez Sąd Najwyższy ZSRR.

Publikowane fragmenty stenogramu przesłuchania przez prokuratora A. Wyszyńskiego pochodzą z 7 numeru tygodnika „Der Spiegel” z 1988 roku.

Jak Andriej Wyszyński przesłuchiwał Nikołaja Bucharina

Fragmenty stenogramu jednego ze słynnych procesów moskiewskich z roku 1938.

M. Bucharin: — Przez wykorzystanie wszystkich trudności, które napotyka władza radziecka, w szczególności przez wykorzystanie wojny, którą nasze prognozy przewidywały.

A. Wyszyński: — A tę prognozę z czyją pomocą postawiono?

N. Bucharin: — Ze strony obcych państw.

A. Wyszyński: — Pod jakimi warunkami?

N. Bucharin: — Pod warunkiem, jeśli mamy mówić konkretnie, całego szeregu ustępstw.

A. Wyszyński: — To znaczy?

N. Bucharin: — Pod warunkiem rozczłonkowania ZSRR.

A. Wyszyński: — I oddzielenia całych obszarów i republik od ZSRR?

N. Bucharin: — Tak.

A. Wyszyński: — Na przykład?

N. Bucharin: — Ukrainę, nadmorskiego kraju dalekowschodniego, Białorusi...

A. Wyszyński: — A na korzyść?

N. Bucharin: — Na korzyść Niemiec, Japonii, po części Anglii.

A. Wyszyński: — Czy do działalności „Bloku” należało również przygotowywanie powstania?

N. Bucharin: — Tak, należało.

A. Wyszyński: — I za to ponosi pan odpowiedzialność?

N. Bucharin: — Już mówiłem, że jestem odpowiedzialny za całość tych działań.

A. Wyszyński: — A pana stanowisko wobec morderstwa na Siergieju Mironowiczu Kirowie? Czy ten mord popełniono z wiedzą i na polecenie „Bloku”?

N. Bucharin: — To nie jest mi wiadome.

A. Wyszyński: — Pytam, czy ten mord został popełniony z wiedzą i na polecenie „Bloku prawicowców i trockistów”?

N. Bucharin: — A ja powtarzam, że nie jest mi to wiadome, panie prokuratorze.

A. Wyszyński: — Oskarżony Rykow, co jest panu wiadome o zamordowaniu Kirowa?

A. Rykow: — O jakimkolwiek udziale prawicy czy prawicowców skrzydła „Bloku” nic nie wiem.

A. Wyszyński (do Bucharina): — A czy pan nie był już w 1918 r. za zamordowaniem przywódców naszej partii i państwa?

N. Bucharin: — Nie, nie byłem.

A. Wyszyński: — A czy nie był pan za uwiezieniem Lenina?

N. Bucharin: — Za uwiezieniem? Zdarzyło się dwa tego rodzaju wypadki, o jednym opowiadałem samemu Leninowi, drugi przemleczalem z konspiracyjnych względów, o czym, jeśli pan sobie życzy, mogę złożyć wyczerpujące wyjaśnienia. To był ten przypadek. W istocie Andriej Wyszyński jako mieniszewik przygotowywał uwiezienie Włodzimierza Lenina — przyp. red.).

A. Wyszyński: — Czy nie było mowy o tym, żeby Lenina zamordować?

N. Bucharin: — Pierwszy raz była mowa o zatrzymaniu go na 24 godziny. Tak brzmiała formuła, a drugi raz...

A. Wyszyński: — A w przypadku, gdyby się Włodzimierz Iljicz nie podporządkował?

N. Bucharin: — Ależ Włodzimierz Iljicz nie wdawałby się, jak panu wiadomo, w żadną zbrojną walkę, nie był on człowiekiem przemocy...

A. Wyszyński: — W konsekwencji liczył pan na to, że się Włodzimierz Iljicz nie przeciwstawi, skoro pan przyjdzie go aresztować?

N. Bucharin: — Proszę postuchać, ja mogę się powołać na inną osobę. Kiedy „lewicy” socjal-rewolucjonistów aresztowali Dzierżyńskiego, on również nie stawiał zbrojnego oporu.

A. Wyszyński: — Czy w 1918 r. nie liczyliście się z aresztowaniem towarzysza Stalina?

N. Bucharin: — Odbywało się wówczas wiele rozmów dotyczących...

A. Wyszyński: — Nie pytam pana o rozmowy, ale o plan uwiezienia towarzysza Stalina.

N. Bucharin: — A ja powiadam, że jeśli się z panem nie zgadzam, żeby scharakteryzować to jako plan, to proszę pozwolić, żebym wykażał sądowi, jak sprawy miały się w rzeczywistości.

ści. Nie mieliśmy żadnego planu, odbyła się tylko rozmowa.

A. Wyszyński: — O czym?

N. Bucharin: — Była to rozmowa dotycząca utworzenia nowego rządu, składającego się z „lewych komunistów”.

A. Wyszyński: — Pytam, czy miał pan w planie w 1918 r. aresztować towarzysza Stalina?

N. Bucharin: — Mówię, że nie istniał żaden plan, odbywały się jedynie na ten temat rozmowy.

A. Wyszyński: — Czy również o zamordowaniu towarzysza Stalina, Lenina i Swierdłowa?

N. Bucharin: — W żadnym wypadku. Chciałbym przejść do spraw restauracji kapitalizmu. Czy można?

A. Wyszyński: — Naturalnie, to przecież pańska główna specjalność.

N. Bucharin: — Myślny poszli na zdradę, przestępstwo, zbrodnie stanu. Ale w jakim celu? Przemieniliśmy się w grupę powstańczą, organizowaliśmy grupy terrorystyczne, zajmowaliśmy się sabotażem, chcieliśmy obalić tak sławne kierownictwo Stalina, proletariacką władzę rad.

Prawicowa kontrrewolucja wydawała się w pierwszym okresie „odchylem”, które zaczęło się od niezadowolenia z kolektywizacji, niezadowolenia z industrializacji, z przekonania, że industrializacja rzekomo załamuje produkcję... Zachodził w nas interesujący proces przeceniania gospodarki indywidualnej, skłonność do jej idealizowania oraz idealizowania posiadaczy. W programie znalazło się dobrze prosperujące indywidualne gospodarstwo chłopskie, a kulak przemienił się właściwie w cel sam dla siebie.

W okresie likwidacji kulactwa w 1929 i 1930 żałowaliśmy „rozkułaczonych” ze względów humanitarnych. Komu z nas mogłoby przyjść na myśl w 1919 r. przypisywać upadek naszej gospodarki bolszewikom a nie sabotażowi? Nikomu. Uchodziłoby to jednoznacznie za zdradę.

Myślny propagowali swego czasu socjalistyczną industrializację, a potem wzruszeniem ramion i ironią, a później z rozgoryczeniem zaczęliśmy spoglądać na nasze ogromne, gigantycznie rozrastające się fabryki jak na żarłoczne potwory, które wszystko pożerają i pozbawiają najszerze masy podstawowych artykułów spożycia, widzieliśmy w nich określone niebezpieczeństwo.

Gdybym miał praktycznie określić swoje programowe nastawienie w aspekcie gospodarczym kapitalizmu państwowego byłoby to zapobiegliwy chłop indywidualny, zdekonstruowana gospodarka kolektywna, zagraniczne koncesje, zaniechanie monopolu w handlu zagranicznym, a jako rezultat — restauracja kapitalizmu.

A. Wyszyński: — A tu dokonano się całkowicie zwycięstwo socjalizmu.

N. Bucharin: — I całkowite bankructwo naszych prognoz. W polityce wewnętrznej nasz faktyczny program oznaczał zesłanie na pozycje burżuazyjno-demokratycznej wolności, do koalicji, ponieważ z bloku z mieniszewikami, socjal-rewolucjonistami i innymi wynikła wolność tworzenia partii. Koalicja bowiem wynikała logicznie z blokowania się w walce, gdy się bowiem werbuje sojuszników do obalenia rządu, to w wypadku zwycięstwa staje się oni następnego dnia współuczestnikami władzy. W więc — zbroczenie nie tylko na tor burżuazyjno-demokratycznej wolności, lecz w politycznym sensie na tor, gdzie pojawiają się elementy cesarizmu.

A. Wyszyński: — Niech pan powie po prostu — faszyzmu.

N. Bucharin: — Tak.

A. Wyszyński: — Jak przygotował pan przechwycenie władzy, z czyją pomocą, jakimi środkami, dla jakich zadań i celów?

N. Bucharin: — Siłami „Bloku prawicowców

i trockistów”, które organizacyjnie koncentrowały się na Kremlu.

A. Wyszyński: — Czy nie słuszniej byłoby mówić o usiłowaniu przechwycenia władzy drogą zbrojnego powstania?

N. Bucharin: — Nie, mówienie o zbrojnym powstaniu nie byłoby właściwe.

A. Wyszyński: — Czy nie chcieliście przejąć władzy z bronią w ręku?

N. Bucharin: — Zbrojne powstanie jest sprawą mas, tu jednak chodziło o wyższe...

A. Wyszyński: — Jakież masy!? Nie mieliście żadnych mas.

N. Bucharin: — I w konsekwencji nie jest to powstanie.

A. Wyszyński: — Powstanie z udziałem grupy.

N. Bucharin: — Jeśli panu odpowiada definiowanie powstania grupy jako powstania, będzie to wtedy słuszne.

A. Wyszyński: — Oskarżony Bucharin, czy jest faktem, czy nie jest, że grupa waszych współwinowajców miała na północnym Kaukazie zagraniczny kontakt z kołami białych emigrantów spośród Kozaków? Czy jest to fakt, czy nie? Rykow o tym mówi.

N. Bucharin: — Jeśli Rykow o tym mówi, nie mam żadnych podstaw mu nie wierzyć.

A. Wyszyński: — Czy nie może mi pan odpowiedzieć bez filozofowania?

N. Bucharin: — To nie jest żadna filozofia.

A. Wyszyński: — Bez filozoficznych wykreśłów. Proszę mi odpowiedzieć „nie”.

N. Bucharin: — Nie mogę odpowiedzieć „nie” i nie mogę zaprzeczyć, że to było.

A. Wyszyński: — Czy to znaczy, że ani „tak”, ani „nie”?

N. Bucharin: — W żadnym razie, gdyż istnieją fakty, niezależnie od tego, czy występują one w świadomości tego lub innego człowieka. Jest to problem realności zewnętrznego świata.

A. Wyszyński: — A więc niezależnie od tego, czy ten fakt był w pana świadomości czy nie, to jako spiskowcy i przywódcy byli panu taki fakt znany?

N. Bucharin: — Mnie nie był znany. Ale na pana pytanie mogę odpowiedzieć: ponieważ ta sprawa mieściła się w ramach planu ogólnego, uważam ją za prawdopodobną, a ponieważ Rykow mówi o tym twierdząco, nie mam żadnych powodów, żeby temu przeczyć.

A. Wyszyński: — Mówi pan o tym, że było już porozumienie z faszystowskimi Niemcami?

N. Bucharin: — Nie, tego nie mówiłem.

A. Wyszyński: — Nie potwierdza pan takiej rozmowy?

N. Bucharin: — Takiej nie, ale inną. Również konspiracyjną.

A. Wyszyński: — Nie pytam o jakąkolwiek rozmowę, lecz o tę.

N. Bucharin: — W „Logice” Hegla słowo „ten” uważane jest za najtrudniejsze...

A. Wyszyński: — Proszę sąd, aby uświadomił oskarżonemu Bucharina, że nie stoi tu jako filozof, lecz jako przestępca.

N. Bucharin: — A może jako filozof-przestępca.

A. Wyszyński: — Tak, to znaczy, że ci co występują jako filozofowie okazują się szpiegami. Filozofia jest tu nie na miejscu. Pytam pana, czy potwierdza ową rozmowę, czy jej zaprzecza?

N. Bucharin: — Nie rozumiem słowa „ów”. Rozmowa się odbyła... W polityce zagranicznej nasza orientacja była skierowana wyłącznie na neutralizację i poparcie Japonii lub Niemiec, co zresztą nie wykluczało wygrywania międzynarodowych sprzeczności.

A. Wyszyński: — Pytam pana, na kogo, pańskim zdaniem, należy się orientować? Czy mówiono o Anglii? Czy mówiono o Japonii? Czy mówiono o Niemczech?

N. Bucharin: — Tak.

A. Wyszyński: — Mówiono o tym, że w interesie walki trzeba tych lub innych wykorzystać przeciwko władzy radzieckiej?

N. Bucharin: — Takich kwestii nie stawiano.

A. Wyszyński: — Nie mówiliście o upadku władzy radzieckiej?

N. Bucharin: — Z bardzo prostej przyczyny. Ta rozmowa toczyła się w całkowicie konspiracyjnej terminologii i nie powiedziano w niej ani słowa...

A. Wyszyński: — Nie pytam pana o terminologię, pytam o treść rozmowy. Nie mówię przecież o słowach, będę zmuszony przerwać przesłuchanie ponieważ najwidoczniej zamiast mówić prawdę stosuje pan taktikę ukrywania się za potokiem słów, stosowania forteli, wycofywania się na obszar polityki, filozofii, teorii itd., o czym raz na zawsze musi pan zapomnieć, ponieważ jest pan oskarżony o szpiegostwo i na podstawie tego, co przeciwko panu stwierdzono jest pan bezspornie agentem jednej ze szpiegowskich służb. Czy nie zechce pan wyznać przed radzieckim sądem, przez jaki wywiad został pan zwerbowany — angielski, niemiecki czy japoński?

N. Bucharin: — Przez żaden...

Posiedzenie wieczorne 12 marca

Przewodniczący: — Oskarżony Bucharin, udziela się panu ostatniego słowa.

N. Bucharin: — Przyznałem się i przyznaję przed sądem do popełnienia przestępstw, którymi mnie obciążono. Oświadczam przed sądem i podkreślam, i powtarzam to teraz, że uznaję się winnym całości przestępstw popełnionych przez „Blok prawicowców i trockistów”. Zasługuję na najsurowszy wymiar kary i zgadzam się z obywatelom prokuratorem, który niejednokrotnie powtarzał, że stoję na krawędzi śmierci. Nad wyraz poważny charakter przestępstwa jest oczywisty, polityczna odpowiedzialność bezgraniczna, a odpowiedzialność karna taka, iż usprawiedliwia każdy, nawet najsurowszy wyrok. Najsurowszy wyrok będzie sprawiedliwy, jeśli będzie za te sprawy nawet dziesięciokrotnie rozstrzelany.

N. Bucharin: — Przez żaden...

A. Wyszyński: — Jak przygotował pan przechwycenie władzy, z czyją pomocą, jakimi środkami, dla jakich zadań i celów?

N. Bucharin: — Siłami „Bloku prawicowców

A. Wyszyński: — Jak przygotował pan przechwycenie władzy, z czyją pomocą, jakimi środkami, dla jakich zadań i celów?

N. Bucharin: — Siłami „Bloku prawicowców

O

brzędy śmierci i zmartwychwstania są tak dawne, jak dawno istnieje człowiek. Znały je ludy myśliwskie i człowiek, który przeszedł do osiadłego trybu życia i zajął się rolnictwem i hodowlą. Rozwój religijnych obrzędów rolniczych znany jest od IV do II tysiąclecia p.n.e., od Indii do Morza Śródziemnego. Miejsce dawnych bóstw czczonych przez myśliwych, zajęły bóstwa roślinności i słońca, bóstwa cierpiące, umierające i zmartwychwstające.

W tym też czasie powstaje wśród wielu ludów kult bogów-zbawicieli, którzy poprzez swoją śmierć i zmartwychwstanie mieli zbawić ludzi i wszystko, co żyje w przyrodzie. W świadomości ludzkiej było to fantastycznym odbiciem zjawisk, jakie zachodziły w przyrodzie: ogolone po zbiorach, martwe pola i zasiane w nich pozornie martwe ziarna odradzały się, „zmartwychwstawały” na wiosnę, jak i składane im ofiary miały zapewnić odrodzenie i pomnożenie zbiorów.

Uroczystości związane ze śmiercią i zmartwychwstaniem bogów-zbawicieli obchodzono na wiosnę. W ofierze składano im rośliny, zwierzęta, a niekiedy i ludzi. Różnie ich sobie wyobrażano — w postaci łoża winnej, byka, kozy lub baranka, wreszcie w postaci młodego, pięknego człowieka, umierającego co roku w pełni sił i zmartwychwstającego ożywiającego całą przyrodę.

MARIAN ZDROJEWSKI

Przeczytaj zanim zrobisz dyngus! Poznasz obyczaje innych i własne związane ze świętem zmartwychwstania.

Gdy wszystko wokół budzi się do życia

„Syn prawdy”

Już 3 tysiące lat przed naszą erą w Mezopotamii pojawił się u Sumerów kult boga Tammaza (co w języku sumeryjskim oznaczało „prawdziwego syna, syna prawdy”). Nazywano go również „dobrym pasterzem”, „człowiekiem” — czyli bogiem — człowiekiem lub „namaszczonym”. Kiedy Tammaz umierał, Ishtar, jego matka i żona, skropiła trupa „wodą życia” i wskrzesiła go. Podczas samego święta Tammaza zabijano byka — który był wyobrażeniem młodego pięknego boga — i wśród modłów i śpiewów spożywano jego mięso i pito krew, aby w ten sposób zjednoczyć się ze swym bogiem. Przez całą noc oplakiwano jego śmierć, a rano obchodzono radośnie zmartwychwstanie.

W Azji Mniejszej podobnymi bogami-zbawicielami byli: fenicki Adonis, zrodzony z drzewa mirrowego oraz bóstwo frygijskie Attis, czczony na początku pod postacią sokoła. Bogów tych wyobrażano sobie, jak powiedzieliśmy, jako pięknych młodzieńców, co roku umierających i zmartwychwstających. Tak więc i kultu tych bóstw składały się z corocznych obrzędów pogrzebowych i radości z ich zmartwychwstania.

Dla przykładu: w kultcie Attisa — w dzień wiosennego zrównania dnia z nocą ścinano sosnę, przenoszono ją do świątyni i przyozdabiano, następnie zawieszano na niej wizerunek bóstwa. Dnia 24 marca obchodzono dzień krwi. Wielki kapłan kaleczył sobie ramię do krwi, po czym w nocy uroczystie grzebano wizerunek boga. Następnego dnia znajdowano pusty grobowiec — bog zmartwychwstał.

W Grecji zbawicielem był Dionizos (bóg łąki, winnej, pięknych owoców, bog — kozioł, bog — byk itd.). Syn Zeusa, Zagrej, pożarty przez Tytana, zmartwychwstał w postaci Dionizosa i przyniósł ludziom łożo winną, nauczył ich wyrobu wina, zamieniał wodę w wino, przyjeżdżał na ośle z palmą w ręku i karmił tłum na pustyni.

Także i w tym wypadku jego śmierć i zmartwychwstanie obchodzono na wiosnę. I to bardzo uroczyste. Były to święta wina i radości, zmieniające się jednak najczęściej w... orgie rozpusty i pijanstwa.

Bogiem wiosennego słońca starożytnego miasta Babilonu był Marduk. Za panowania Hammurabiego (2067-2025 p.n.e.), gdy Babilończycy podbili inne ludy, zjednoczyli kraj, a Babilon stał się stolicą królestwa, wtemczas kapłani ogłosili Marduka królem bogów. Był bogiem umierającym i zmartwychwstającym, a święta jego czci obchodzono w miesiącu Nisanu (według naszego kalendarza na przełomie marca i kwietnia), w którym rozpoczynał się rok babiloński, podczas zrównania dnia z nocą. W dniach świąt z wzięcia wyprowadzano skazanego na śmierć zbrodniarza, wystawiając go na pośmiewisko. Dla większej drwiny skazańca ubierano w królewskie szaty i obwoływano królem. Po kilku dniach pobytu skazańca w królewskim haremie poddawano go kaźni wraz z dwoma innymi złoczyńcami.

Dopiero Sobór Nicejski

W starożytnym Egipcie spotykamy innego boga umierającego i zmartwychwstającego. Jest nim Ozyrys, bóg wody i roślinności, władca zagrobowego świata. To na jego cześć odbywały się misteria, w czasie których oplakiwano śmierć i radośnie świętowano zmartwychwstanie. „Jak prawdą jest, że żyje Ozyrys — tak wierny żył będzie. Jak prawdą jest, że nie umarł Ozyrys — tak prawdą jest, że wierni nie umrą” — oto ówczesne sentencje, wedle których Ozyrys zapewniał miał wiernym nieśmiertelność i zbawienie.

Perski bóg słońca — Mitra, również był bogiem-zbawicielem. Według legendy Mitra urodził się w grocie. Jego wyznawcy wierzyli, że Mitra nadejdzie, gdy zwycięży ducha zła. Wtedy sprawiedliwi doznają wiecznej szczęśliwości, a

zli będą ukarani. Te wierzenia (starsze od chrześcijańskich) i obrzędy mitraistyczne, tak były podobne do chrześcijańskich, że w połowie III w.n.e. — Tertulian, podobieństwo to przypisywał diabłu.

Koczujące pierwotnie na pustyni arabskiej pasterskie plemiona żydowskie obchodziły corocznie wiosenne święto, Paschy (hebrajskie „pasah” lub „pasach” oznacza „udobruchać” lub „ominać”). W te dni zarzynano jagnięta, koźlęta i odbywano uroczyste obrzędy na cześć duchów urodzaju. Aby nakarmić i napoić duchy pustyni, a więc, aby je udobruchać i tym sposobem oddalić od stad, obryzgiwano namioty ludzi i zagrody dla bydła krwią zwierząt ofiarnych.

Później, gdy plemiona te przeniosły się do ziemi chananejskiej, przejmując rolniczy tryb życia Pascha, jako święto koczowniców, ulega zapomnieniu. W jej miejsce obchodzono wiosenne święta początku żniw, zwane Chagą Macot, podczas których spożywano prasne placki, czyli mace.

Rozwój religii boga Jahwe (Jehowy) związany jest z powstaniem państwa żydowskiego. W jego jerozolimskiej świątyni znów zaczęto świętować Paschę wraz ze świętem Macot, łącząc z nim ofiarę pierwszego snopa. Wierzą, że śmierć osiągnie każdego, kto powąży się spożyć cokolwiek z nowych zbiorów przed dokonaniem ofiary. W czasach późniejszych Pascha

stała się świętem synagogałnym i związana została z wiarą w przyjście „Mesjasza”.

Ponieważ pierwsze gminy chrześcijańskie skupiały głównie ludzi pochodzenia żydowskiego, nie więc dziwnego, że utrzymało się tam święto Paschy, które jednak połączone już z legendami o cierpieniach i śmierci „Mesjasza”. Stąd też Pascha miała pierwotnie żalobny charakter, połączone była z postem i nazywała się „Paschą Męki”.

W ciągu II w. n.e. do obrządku tego przenikają kultu „śmierci i zmartwychwstania” Adonisa, Attisa, Ozyrysa, Dionizosa i innych bogów roślinności i słońca. Te „pogańskie” miły przejęli chrześcijanie i połączyli je ze swoimi legendami. W ten sposób zaczęli świętować obydwa paschy — dawniejszą Paschę Męki i nowszą Paschę Zmartwychwstania. Z czasem dwa święta zostały połączone i w rezultacie motyw zmartwychwstania przeważał, a Pascha Męki przekształciła się w Wielki Tydzień z Wielkim Piątkiem, jako głównym dniem.

Te przeobrażenia dokonywały się w ciągu II i III w. n.e. I w tym też czasie zaczęło świętować Wielkanoc niezależnie od Paschy Żydowskiej, czyli w pierwszą niedzielę po dniu równonocy wiosennej i pełni księżyca. Jednak obyczaje ten zatwierdzony został dopiero przez Sobór Nicejski w 325 roku.

Magia wody, drzewa i ognia

Jak utrzymują znawcy przedmiotu Święta Wielkanocne wśród naszego ludu związane są z prastarymi praktykami: magii wody, drzewa i ognia, „oczyszczaniem”, walką z „nieczystymi siłami”, wspomnianiem zmarłych itd. Poświęcanie, dla przykładu, gałązek wierzbowych zwane „palmami” miały chronić przed chorobami, pękniętymi, wszelkim złem, a małe ich kawałki wkładane w powrozy sieci — przed dostępem „czarownic”, które niszczą polowy.

Zwyczaj „oczyszczania” istniał jeszcze przed kilkudziesięciu laty. W Wielką Sobotę o pomocy dziewczyny szły do źródeł lub strumieni, aby obmyć twarz. Zabieg ten miał usuwać... plagi i wszelkie wady. Zresztą cel tej czynności zmienił się stosownie do potrzeb. Jednym razem chodziło o usunięcie bólu zęba, w innym... swierzbu.

Jeszcze do dziś istnieje gdzieś zwyczaj zjadania paczków z gałązek wierzbowych — „palm”, które miały chronić od wszelkich dolegliwości. W niektórych okolicach zachował się zwyczaj spalania gałązek „palm” w czasie burzy. Ten zabieg miał natomiast chronić domostwo przed uderzeniem piorunu.

Innym, bodaj najbardziej rozpowszechnionym, jest zwyczaj spożywania jaj wielkanocnych, najczęściej pięknie przedtem zdobionych (pisanki). Jest to zwyczaj prastary. Znany był Grekom i Rzymianom, dla których jajo było symbolem życia w zarodku. Składano je więc w ofierze promiennemu bogu-słońcu, którego ciepło rodzi nowe życie.

W wierze naszych przodków jajo było symbolem płodności i nowego życia. Kojarzyło się z wiosną i przebudzającą się z zimowego snu przyrodą. Na całej Słowiańszczyźnie pisanki znane już były w czasach przedchrześcijańskich.

Przyjrzyjmy się teraz, jak nasi przodkowie obchodzili zarówno dni poprzedzające, jak i Święta Wielkanocne. Oto skrupulatny zapis obyczaju na Ziemi Kaliskiej.

Zanim nastal Wielki Post:

„Szaleją i tu w ostatnie trzy dni. W ostatni wtorek stawiają w karczmie beczkę, na beczkę talerz, który przykrywa drugim talerzem dnem do góry przewróconym. Na tym dnie stawiają figurkę z chojny wystruganą, która od góry jest z jedyńskich gałęzi, a u dołu rozchodzą się dwie odnogi, między którymi zawieszają dwie duże cebule. Stroją zaraz tę drewnianą osobę w katanę szafirową, w czerwoną czapeczkę, a za czapeczką białe pióro kładą. To wszystko ma znaczyć rażenie chłopaka. Obierają potem spomiędzy siebie w ożnego, który staje przy drzwiach i nie wpuszcza nikogo oprócz samej młodzieży wolnej. Idąc tam dziewczyna musi mieć w ręku pieniądze, bo dopiero za ukazaniem ich, wozny wpuszcza ją do karczmy. Tak gdy się goście zagęszczą, młodzieńcy wybierają spomiędzy siebie najsiłniejszego parobka, który wyprowadza do tańca wszystkie dziewczyny, zaczynając od najrańszych. Taki parobek przy zaczęciu każdego tańca, podchodzi do skrzypka i śpiewa: „Oj trzeba dać, pod koziołką — trzeba dać, umiałaś ty cały rok — ubadać. Zarobiłaś moja mała — w jesieni, masz pieniądze — w kieszeni...”

Skrzypek krzyczy: „Oj ma jeszcze, oj da jeszcze.”

Taką piosenkę parobek z każdą osobą śpiewa, i pory z wszystkimi tańczy, poki mają i dają one pieniądze. Poczem wszystkim innym parobkom tańczy z nimi wolno.”

Nazajutrz popielec.

„W popielec przyjeżdżają baby po młodą mężatkę (tj. tę, która się w czasie tego karnawału wydała za żonę). Zabierają i mimo oporu ową zają ją po wsi na półwiozu, aż do karczmy wiozą, gdzie im się wykupić musi. Tu następuje wspólny poczęstunek, celem wprowadzenia raz pierwszy nowo zamężnej do grona gospodyni, obchodzących tradycyjnie wstępną Srodę.”

„Wieżniacy także w dniu tym urządzają podobne zabawy; skakanie przez pien znaniomuje wysokość wzrostu owsa lub też innych zbóż przeznaczonych na ich użytek, poczem wraz z graniem kobiet, których odczucie śpiewu nie ustają, wysuwają się przed dom i tam napelniają dzony wodą, aby następnie wśród śmiechu rozbić je i oblać wodą obecnych.”

Gdy nastaje post „dziewki zbierają się na wsi w jednej chatupie, przed wspólnie kąpiel (stąd kąpielnicami przezwane) i tamże czas przy pracy na kąpielnicach tych wymierzonej, na opowiadaniu powieści różnych odwiecznych o czar-noksiężnikach, upiorach, zbójcach itp. gadkami zwany, sobie skracają.”

Sposób na wściekliznę

Potem nadchodzi Wielkanoc.

„Powróciwszy z nabożeństwa, dopiero przystępują do święconego, które przystrojuwszy w zielen umieścili na stole. Naprzód rozkrajają na cztery części jajami, dzielą się między sobą familiję, czyli domownicy, z życzeniami doczekania pomyślnej i późnej starości; następnie spożywają inne święcone, od szoldry (szynki) poczynając; kości zaś z poświęconego mięsa dają psom i kotom, utrzymując, iż to je chronić będzie od wścieklizny przez cały rok.”

„Na takim tylko obchodzie przeprowadzają pierwsze święto; gdyż wszelka inna zabawa w dniu tym, albo wydalenie się z domu w odwiedzinę do innych, zwłaszcza do obcych (niekrewniaków) jest uważana za rzecz niestosowną, a nawet u wielu za grzech wielki. Wychodzą jedynie z wizytami ludzie samotnie żyjący, bezzenni lub umyślnie na święcone zaproszeni.”

„W drugie święto Wielkiejnocy wychodzą jedno do drugich w odwiedzinę po dyngusie, czyli łęgusie suchym i mokrym. Pierwszy znaczy uczestowanie gościa święconem, drugi zlanie go wodą; i ten ostatni jest jeszcze w całym znaczeniu zachowany.”

„W tym dniu także parobcy (zaopatrzeni w sikawki, kije i koblaki) chodzą po dyngusie z kurasem. Jest to mały wózek o dwóch kołach, a raczej kółkach, pomalowany (najczęściej czerwono lub żółto), na którym w środku jest sztuczny kogut ustrojony w pierze naturalne. Koło niego stoi kilka osódek, najczęściej trzacy i żołnierzy, które za pociągnięciem sznurkami w tę lub ową stronę się ruszają. Grono zaś zebranych do tego parobczaków, wchodzi do domów gospodarskich, dworów swojej i innych wsi, śpiewając chórem z towarzyszeniem skrzypców. Po prześpiewaniu pieśni, dostają dyngus suchy (zwykle kołacz, kilka jaj, szperkę), a jak we dworach, oprócz owego dyngusu, gorzałki, jeszcze i trochę grosiwa. Po otrzymaniu datku śpiewają znów chórem przy skrzypcach.”

„Poczem dopiero wyskakują z węgłów domu, z pod strychów itd. dybiące na nich dziewczki dworskie i młode kobiety (mężatki) z napiętnionymi wodą naczyniami, i zlewają nią kogo mogą dosięgnąć; parobczaki zaś, uzbrojeni już wszyscy w sikawki, lejąc z nich, odpierają cały zapęd rozochocionych kobiet. Parobczak trzymający wózek z kurasem jest od mokrego dyngusu wyjęty, by przez to całego stroju wózka nie uszkodzić; i zwykle też podczas tego lania na bok się oddala. Gdy chwila na tej zabawie przemienie zbierają się przed innym domem, z wózkiem, tam na nowo znów śpiewają.”

Dziewczęta „male i starsze dziewczki wiejskie chodzą po dyngusie z gaikiem. Jest to wierzchołek chojny lub czubek z świerka zernięty, trzy odstępy gałęzi mający, czyli że ma trzy lata jego wzrost; to dopiero jest ustrojone a raczej przystrojone w różnokolorowe wstążki, płatki, pierza, świecidełka i papiery kolorowe. Dziewoje chodzą z tem po wsi, a przybywszy z tem przed okna domu lub dworu, jedna z nich trzymając gaik w ręku obraca nim w koło, a wszystkie śpiewają chórem: „Mój gaiku zielony” lub: „Przed wasz tu dom wstępujemy”. — Po prześpiewaniu tych zwrotek, dostają dyngus, szczególnie po dworach gdzie panny się znajdują, są obdarzone wstążkami. Mając odchodzić śpiewają podziękowanie. Po tem wszystkim wszakże, dziewczęta te nie są także wyjęte od dyngusu mokrego, i chcąc go uniknąć, muszą szybko uchodzić z przed domu.”

„Podobne obchodzenie po dyngusie trwa do trzeciego dnia po Wielkiej-nocy. Poczem dopiero udawszy się do miejscowej karczmy, parobczaki dzielą się tam zebranymi przedmiotami i na takowe zapraszają dziewczki, inne kobiety i przyjaciółki, częstując je niem i fundując jeszcze do tego wódke, piwo i inne rzeczy, np. obwarzanki, bułeczki za uzbierane po dworach pieniądze...”

Ileż z tych zwyczajów przetrwało, bodaj w szczerkowej formie, do dziś — można zauważyć nawet w dużych aglomeracjach.

(Przy opracowaniu wykorzystano: Władysław Kozłowski — „Obrzędy świąteczne”. Wyd. Iskry 1958 r. Kalendarz: Kalisz i Kraków z r. 1833. „Tygodnik Ilustrowany” Warszawa 1853, 1860, oraz Dziela Wszystkie Oskara Kolberga t. 23).

Kosmonauta doradza w teatrze

KONRAD TUROWSKI

Teatr Powszechny w Łodzi wystawił opowieść sceniczną Czingiza Ajtmatowa „Dzień dłuższy niż stulecie”. Reżyserem tej opowieści scenicznej jest Aleksander Wilkin z moskiewskiego Teatru na Tagance. Jest to spektakl niezwykle, którego akcja odbywa się w przeszłości, teraźniejszości i dalekiej przyszłości, zahacza też o problemy kosmosu. Z tego powodu przybył do Łodzi kosmonauta Georgij Greczko, który jest konsultantem tego widowiska.

Konrad Turowski prezentuje kilka zdjęć Georgija Greczki udzielającego wyjaśnień.





Rok 1988 jest rokiem Smoka. Wiele jest przekazów o smokach. Wietnamczycy jednak wierzą, że smoki przynoszą nieszczęście.

Czy każdy smok musi być zły?

ELŻBIETA SAJENCZUK

Ludzie Dalekiego Wschodu — tak jak my — mają swój Zodiak, a w nim Smok zajmuje piąte miejsce, jako że kilka wieków przed naszą erą w pierwszy dzień Nowego Roku pojawił się jako pąty na wężu Buddy. Przed nim przybiegły Szczur, Bawół, Tygrys i Kot. Po nim — Wąż, Koń, Baran, Małpa, Kogut, Pies i Świnia. W nagrodę za wierność każde ze zwierząt otrzymało rok, któremu nadało swoje charakterystyczne cechy. Stąd ludziom urodzonym — dla przykładu — w roku Smoka przypisuje się indywidualne cechy tego mitycznego zwierzęcia.

Wśród zwierząt Zodiaku jedynie Smok jest przedstawicielem nierealnego świata, choć jego ciało poskładane jest z ciał innych zwierząt. Należy on do męskich znaków Zodiaku, a jego naturalnym żywiołem jest Drzewo. Odpowiada piątemu rokowi w cyklu dwunastu znaków, trzeciemu miesiącowi kalendarza i rządzi czasami między godziną dwunastą a jedenastą przed południem. W XX wieku patronuje następującym latom: 1904, 1916, 1928, 1940, 1952, 1964, 1976, 1988 i 2000. Smok uważany jest za najbardziej ekscentryczny, a także i najszcześliwszy znak azjatyckiego Zodiaku.

JAKI JEST SMOK?

A więc, jaki jest człowiek, któremu patronuje Smok? Odpowiada się on zwykle dobrym zdrowiem, ogromną siłą i witalnością. Jest kapryśny, egoistyczny i bardzo wredny. Od siebie i innych wiele wymaga, toteż ludzie-Smoki bardzo dobrze i z wielką odpowiedzialnością pracują. Ich opinie są obiektywne a obietnice — wiążące. Smok symbolizuje życie, rozwój, siłę i władzę, więc nie lubi podporządkowywania się innym oraz sprzeciwiania własnej woli. Rozsądza go impulsywność i aktywność, a swoje pomysły realizuje za wszelką cenę. Jest naturą twórczą, a jednocześnie i niszczycielską, bo nie zawsze panuje nad swymi emocjami, ani też nie jest w stanie kontrolować ich. Jeśli aktywność Smoka zostanie skierowana na złe tory, może on wyrządzić wiele zła. Za jego szumnymi zwycięstwami kryją się straty. Być może dlatego na Dalekim Wschodzie mówi się, że Rok Smoka jest tylko pozornie korzystny dla władzy...

Smok jest osobowością silną i zdecydowaną, ale nie ma w nim sprytu i przebiegłości. Ogromna siła działania pcha go do przodu, nie zna strachu w obliczu przeszkód i zdobywa wszystko, z imieniem nie zawahać matych pułapek i zapominać o zabezpieczeniu swych odosobnionych stron. Mówi się, że ludzie-Smoki mają miękkie serca i nie zawsze dobrze orientują się w każdej sytuacji. Są szczerzy, wrażliwi, uczuciwi

i bardzo sentymentalni. Jako natury otwarte nie umieją skrywać swoich uczuć. Nie umieją utrzymać sekretów — mają przecież wielkie paszcze... Lubią się też martwić z błahych powodów i wielokrotnie komplikują sobie życie. Jakkolwiek mówią, że Smoki należą do ludzi szczęśliwych, to często szczęście odwraca się od nich, mimo że urodzili się dla sukcesu. Często Smok sam wystawia się na ogromne niebezpieczeństwa; działając z rozmarzeniem powoduje niechęć otoczenia i często pozostaje samotny z wieloma problemami. Na szczęście żadna z katastrof nie jest w stanie go zniszczyć, bowiem z natury jest optymistą.

Ludzie kochają Smoki, choć lamia one serca i powodują różne dramaty. Smoki nie lubią wchodzić w związki małżeńskie zbyt wcześnie, a wiele z nich pozostaje w stanie wolnym przez całe życie. I podobno te są najszcześliwsze. Za najlepsze uważa się związki Smoka (miłość, praca) z osobami spod znaku: Szczura, Węża, Małpy i Koguta. Smok może także pomyślnie realizować związki z Tygrysem, Baranem, Koniem i Świnia. Natomiast bardzo złym wyborem byłoby związanie się z: Bawolem, Kotem, Psem i... Smakiem.

Jeśli żywiołem Smoka jest Metal, to odznacza się silną wolą i fanatyczną wprost chęcią walki. Woda powoduje, że Smok staje się mniej egoistyczny i mniej mściwy, a przez to bardziej liberalny. Naturalny żywioł Smoka — Drzewo powoduje, że nabiera on cech twórczych, a swoim poczynaniom przypisuje logiczne teorie. Żywioł Ognia każe Smokowi wymagać wiele od ludzi w sposób agresywny. Jeśli walczy, walczy z większą niż zwykle energią. Żywioł Ziemi zmniejsza indywidualność Smoka, bo dostosowuje go do gromadnego życia — zmusza do realistycznego myślenia oraz do dbałości o własny rozwój. Smok z żywiołem Ziemi potrafi opanować swój temperament, a to pomysłna wróżba, bo właśnie rok 1988 to rok Smoka z żywiołem Ziemi.

JAK WYGLĄDA SMOK?

Ten mityczny stwór „składa się” z wielu zwierząt, a wietnamski — któremu przyjrzałam się dokładnie — wygląda tak: jego głowa przypomina głowę wielbłąda z oczami bawoła, długie wąsy i broda ozdabiają paszczę, za uszami — kosmyki włosów i rogi kozła. Długa szyja, tułów i ogon, przypominające potężnego węża, pokryte są łuską karpia. Grzbiet ozdobiony jest spiczastymi kolcami, a tygrysy lapy zakończone są pięcioma, czterema, a czasem i trzema orlimi szponami.

W Chinach i Wietnamie Smok był symbolem cesarskiej rodziny, a w dawnym Wietna-

mie — także godłem kraju. Cesarski Smok miał pięć pazurów, podczas gdy zwykły — cztery. Z kolei japoński Smok Tatsu miał tylko trzy szpony, ale za pomocą siły woli mógł zmieniać swój kształt tak, by stać się niewidzialnym. Niektórym Smokom dodawano skrzydeł, ale Smok wietnamski i bez nich potrafił wzbijać się w niebo.

Według wietnamskich wierzeń ludowych jest kilka rodzajów smoków: niebiański — strzegący świątyń, boski — zsyłający wiatr i deszcz, ziemski — żyjący w rzekach i strumieniach, morski oraz smok górski — strzegący skarbów. Król smoków mieszkał w morzu, a ludzie by wyrazić dla niego swą cześć — nad brzegami, morza i rzek budowali kapliczki. Król smoków mógł przynieść bowiem pomoc w walce z kłopotliwymi żywiołami powodowanymi przez tajfuny i susze. Wykonywano więc tańce smoka, unosząc nad głowami kolorowo zdobioną kukłę, aby w ten sposób błagać go o deszcz lub w Nowy Rok prosić, aby smok był łaskawy i nie zsyłał kataklizmów. Ten wojowniczy stwór miał zdolność przestaczania się w człowieka, mógł pływać i latać. Na rzeźbach i malowidłach przedstawiano go w chmurach lub we wzburzonych falach morskich. Wierono, że król smoków mieszka w morzu. Z kolei smok niebiański symbolizujący niebo będące jego siedzibą, był znakiem dobroczynności niebiańskiej i godłem władcy. Wskazywał kierunek świata odpowiadający Niebu czyli Wschodowi.

GDZIE JEST KRAJ SMOKA?

Smok związany jest z Wietnamem od bardzo dawna. Stara legenda oparta na kulturze animistycznej mówi, że praojcem Wietnamczyków był Smok — Bo Rong, matka nimfa Me Tien, a więc są oni dziećmi Smoka. Wiara w Smoka była ważnym elementem w kulturze wietnamskiej i w sztuce zdobniczej. W czasie panowania dynastii Ly i Tran (XI—XV wiek) malowano smoki o trzech szponach, a w okresie dynastii Le i Nguyen (XVI—XIX wiek), kiedy to smok stał się symbolem władzy feudalnej — miał on pięć szponów. Jako godło wietnamskich rodzin cesarskich ozdabiał dachy pałaców, ściany sal tronowych, meble, był elementem dekoracyjnych pałacowych bram, przed którymi para tych mitycznych stworzeń związała groźne kamienne ciała wzdłuż schodów. Smoka malowano na obrazach, na jedwabiu i porcelanie. Ikano na arrasach ozdobiących świątynie — a wrześnie na wytwornych kimonach, sukniach i koszulach. Odlewany w brązie lub jako motyw dekoracyjny widniał na wazach: rzeźbiony w kości słoniowej i w drzewie, smok może być także pamiątką i podarunkiem. Na

kości grzbietu smoka i smoczą wystającą nad powierzchnię morza nie pozwalają burzyć się falom.

Z kolei w prowincji Thanh Hoa znajduje się Paszcza Smoka (Ham Rong) i skaliste wzgórza, zwane Oczami Smoka. Paszcza Smoka to wąwóz, do którego trudno się dostać, a właśnie w nim według legendy miała się znajdować paszcza smoka mieszkającego pod ziemią. Jeśli by jakimś Wietnamczykowi udało się odszukać i wejść do niej, to z pewnością jego syn mógłby w przyszłości stać się wybitną postacią państwową.

Inna legenda powiada, że na wyzynie Tay Nguyen, która jest znana z czerwonego koloru gleby, jeden ze smoków spadł z nieba i ziemia zaczęła się palić. Dlatego w prowincji tej nie ma pól ryżowych, a rolnicy uprawiają kawę, herbatę, paprykę i kaczuk. Historie o smokach można by opowiadać w nieskończoność.

Być może między bajki należy włożyć nie sprawdzone naukowo informacje podawane przez Holendra Cornelia Oudermansa, botanika, lekarza i podróżnika żyjącego w XIX wieku. Ponoć pisał on, że widział smoka w zatoce Tonkińskiej kupcy holenderscy w XVI wieku. Oudermans podobno zobaczył smoka na własne oczy w zatoce Ha Long i twierdził, że jego ciało miało około 25 metrów długości. W roku 1897 kapitan francuskiego statku „Avalanche” spostrzegł dwa smoki pływające obok siebie. Rok później cała załoga innego francuskiego statku „Barard” widziała smoka w tym samym miejscu. Wszyscy opisywali go jako wielką bestię z długą szyją i głową węża.

CZY SMOK PRZYNOSI SZCZĘŚCIE?

Stare wietnamskie przysłowie powiada, że w roku Smoka każdy trzyma żywność dla siebie, co oznaczałoby, że w tym czasie zawsze pojawia się głód. Według innego przysłowia nikt nie powinien się dziwić, jeśli nieszczęście, które zdarzyło się sześćdziesiąt lat temu w roku Smoka powtarzać się będzie cyklicznie.

W południowym Wietnamie lata Smoka uważane są za katastroficzne. Przeglądając przypadekowo gazetę „Saigon Post” z końca 1964 roku, przeczytałam artykuł o wielkim kataklizmie spowodowanym tajfunem w centralnych prowincjach nadmorskich: powódzie zabrały siedem tysięcy ludzi, a milion zostało bez dachu nad głową. Rok Smoka zawsze przynosi rozpacz i żalobę — twierdził autor artykułu. Uratowali się ci, którzy wdrapali się na wierzchołki najwyższych drzew i nie zostali stamtąd zdmuchnięci przez silny wiatr.

W roku 1952, przypomniała gazeta, w okolicach Da Nang morze zalało cały region nadmorski, przewracało domy, niszczyło pola uprawne i dobytki ludzi. Ludzie uczeplił się dachów dryfujących domów, ale ci, którzy ślabil, wpadali do wody. Setki ludzkich ciał i martwych zwierząt pływało wśród

ledwie widocznych wierzchołków drzew.

Z kolei w 1904 roku tajfun Smok uderzył w prowincję Go Cong, zmiotł mosty, domy i drzewa. Gwałtowny wiatr rozdmuchiwał pola ryżowe, przewracał nawet tak duże zwierzęta, jak słonie. Ludzkie ciała i bydło drytowały między krzakami bambusów i drzewami. Wiele ludzi potopiło się, a potem tysiące umierało z głodu.

Tak więc Smok symbolizuje nieszczęście, przynajmniej w Wietnamie. Zniszczenie, głód i śmierć. Może wtedy, a może i z wielu innych przyczyn powstało przysłowie:

„Kiedy w trzosi nie ma ani jednego grosza, wtedy nikt nawet słów smoka nie słucha”.

SMOK BYWAŁ W EUROPIE

Wiele o smoku są tak stare jak ludzkość. Powstawały one niezależnie od siebie w wielu kulturach. W europejskiej ujem kinu i wizerunku ogniem smoków musiał być grecki Tyton, smok o stu głowach i ognistych paszczach. Mógł też smok pochodzić od Nachasa, węża który poał Ewie jabłko...

Na przestrzeni wieków wygląd smoka ulegał różnym zmianom stosownie do wyobrażeń ludzkich. Tak więc miał smok głowę węża, siłę lwa, łatał jak orzeł i ział płomieniami. Jego jaszczurze nogi zakończone były szponami. W kulturze europejskiej smok był symbolem odwagi, a jednocześnie uosobieniem zła. Wizerunek smoka nosili na tarczach średniowieczni rycerze, bowiem to oni wybawiali od śmierci piękne dziewczęce oddawane bestiom na pożarcie.

Z wielu legend o walkach ze smokami najbardziej znana jest ta o świętym Jerzym, rycerzu z Kapadocji, który w końcu XII wieku stoczył zwycięską walkę z jednogłowym potworem. Wcześniej pogromcą siedmogłowego smoka był święty Michał Archanioł.

Smoka nie zabrakło nawet na niebie. Dwa przeciwległe punkty, w których droga Księżyca przecina ekliptykę nazwano głową i ogonem smoka a konstelację północną składającą się z osiemdziesięciu gwiazd nazwano Konstelacją Smoka.

Ktoregoś dnia jechałam w góry Huang Son na buddyjską pielgrzymkę do Pachnacych Pagód. Po drodze miałam zabną emmentarze wojenne, pozostałości po walkach z Francuzami i Amerykanami oraz emmentarze katolickie. Szczególnie te katolickie wyglądały smutno z zapadającymi się nagrobkami, przechylonymi na boki krzyżami, osamotnionymi, bo już nie było nikogo, kto by o nich pamiętał. Szczególnie wrażenie robiła na mnie mijana po drodze kaplica z figurą świętego Jerzego waleczącego ze smokiem. W tym klimacie i otoczeniu — nieuprawna, rdzawa ziemia, odzieniegdzie bananowce i bambusy — święty Jerzy na koniu, w wyblakłym stroju francuskiego rycerza, godzący dziła w smoka — zmuszał do refleksji. Po stać popularnego Świętego była w tym otoczeniu jak zjawia z innego świata, z innej cywilizacji.



Dla naszej zamierzonej rozmowy o upowszechnieniu muzyki widzę szczęśliwy omen w fakcie, że przylapalem pana, wychodzącego z zajęć na Uniwersytecie Trzeciego Wieku. Bo przecież nie uczy pan tu chyba nikogo grać na jakimś instrumencie, lecz z pewnością wtajemnicza pan w arkana słuchania muzyki.

— Prowadzę tu cykl pt. „Poszukiwanie piękna w muzyce” i rzeczywiście nie uczę nikogo grać. Z bardzo wdzięczną grupą słuchaczy, którzy wybrali sami tę właśnie dziedzinę sztuki, może dlatego, że niektórzy zapewne już dawniej przejawiali poważniejsze zainteresowania muzyką, rozmawiam o muzyce, ale ponieważ nie zastąpi słuchania ilustruję swoje tezy nagraniami muzycznymi.

— Ale jaką stosuje pan metodę? Bo tyle się mówi o upowszechnieniu sztuki, w tym także muzyki, choć myślę, że muzykę artystyczną, swą muzyką poważną traktuje się u nas po macoszemu. Podejmuje się jednak różnorakie działania popularyzujące, choć nieraz nie wiadomo, o co w nich właściwie chodzi — czy o zapoznanie z jak największą liczbą utworów, czy z różnorodnością stylów, czy wreszcie z biografiami kompozytorów i wykonawców, nie wyłączając anegdotek. A tymczasem obiekt tych zabiegów jak był niemuzyczny, tak i jest nadal.

— Nie neguję potrzeby różnorodnej informacji, ale stawiam sobie za główny, a w każdym razie za pierwszy cel, uświadomienie słuchaczy na jakość wykonania muzycznego, zarówno pod względem techniki wykonawczej, jak i artystycznej interpretacji, co zresztą u wybitnych wykonawców z reguły idzie w parze. Otóż po moim niezbędnym wprowadzeniu słownym słuchamy sobie kilku kolejnych wykonania tego samego utworu przez wybitnych artystów, ostatnio np. koncertu skrzypcowego Mendelssohna, poświęcając specjalną uwagę analizie dźwięku skrzypiec...

— Ale czy pańscy słuchacze potrafią wychwycić subtelności, dostępne, jak myślę, albo tym, którzy sami nie grają na danym instrumencie, albo bardzo już wytrawnym melomanom?

— Otóż właśnie dziś mieliśmy niejako rezultat doświadczalny zastosowania tej metody, po prostu słuchacze niemal jednomyślnie opowiedzieli się za jednym z nagrań, odtwarzanych bez podawania nazwiska, żeby się nikt nie sugerował. I proszę sobie wyobrazić, że pierwszeństwo przyznano wykonaniu koncertu przez Jaszę Heifetza, co oznacza, że najwybitniejsze wyko-

nia znajdują sobie drogę do słuchacza odpowiednio przygotowanego.

— No tak, potwierdza się to też nieraz na koncercie, choć niewątpliwie na publiczność mniej wyrobioną działa też magia sławnego nazwiska. Ale, panie profesorze, gdyby pana metoda zapoznawać ludzi z muzyką, to na same tylko najwybitniejsze dzieła nie starczyłoby nikomu życia.

— Nie chodzi mi o samo zapoznanie z najwybitniejszymi dziełami, lecz o wyrabianie umiejętności, a w następstwie nawyku słuchania skoncentrowanego, połączonego z wysiłkiem,

muzykę, choć można oczywiście tę wrażliwość pobudzać i rozwijać.

— Ale czy przez jakikolwiek rodzaj muzyki, np. rozrywkową i w ogóle lżejszego autoramentu?

— Nie ja pierwszy to stwierdziłem, że nie tędy droga. Trzeba od razu mierzyć wysoko, tzn. słuchać dzieł wartościowych w jak najlepszych wykonaniach, ponieważ wykonanie mierne może zniechęcić do dzieła.

— Czyli można by zaryzykować paradoks, że na obcowanie z muzyką wykonywaną miernie mogą sobie pozwolić bez szkody tylko wytraw-

czlowieka znakomicie, pod warunkiem jednak, że przebrnie on szczęśliwie przez kilkuletni okres wstępnej nauki. Ile jednak jest ludzi, którzy inwestują w to tyle czasu i wysiłku, żeby dojść do poważniejszego stopnia zaawansowania w graniu?

— A jak pan uważa, czy umuzykalnienie nie napotyka progów zasadniczej trudności, gdy przechodzi się do muzyki nowszej, poważniejszej, powiedzmy, od Debussy'ego?

— Prowadziłem także cykl z zakresu słuchania muzyki nowszej, aż po Bartoka włącznie. Jest z tym oczywiście trudna sprawa, ale można do niej znaleźć pewien „klucz” w warstwie pozamuzycznej, w skojarzeniach literackich, gdy do właściwego odbioru muzyki klasycznej wystarczy reagowanie na samą muzyczną formę. Ale my tu sobie tak gwarzymy o sztuce, czyli o rzeczach wzniosłych i mógłby odnieść ktoś mylne wrażenie, że, jak typowe piękno duchy uciekamy od rzeczywistości w jakąś krańnię psychicznego komfortu. A tymczasem rzeczywistość daje o sobie znać nieraz dotkliwie. Muzyka ma zbyt wątle zaplecze techniczne, kadrowe, co jest pochodną trudnej sytuacji ekonomicznej, a odbija się ujemnie na rozmaitych przejawach życia muzycznego — od twórczości i edytorstwa, przez edukację muzyczną po umuzykalnienie społeczeństwa.

— Tym niezbyt optymistycznym akcentem nie chciałbym jednak zakończyć, zapytam więc jakie większe dzieło skomponował pan od czasu pamiętnego prawykonania koncertu na wiolonczeli z orkiestrą, z pańskim utalentowanym symfonicznie jako solistą i z orkiestrą filharmonii łódzkiej?

— Skończyłem koncert na flet i orkiestrę, który będzie wykonywany w kwietniu na poznańskiej „Wloście”, gdzie też wykonywano wspomniany koncert wiolonczelowy. Jestem zresztą mocno zajęty jako kierownik katedry kompozycji, teorii i rytmiki na łódzkiej uczelni muzycznej.

— Dziękuję panu za rozmowę.

Rozmawiał:
JERZY KWIECIŃSKI

Jak uczyć słuchania muzyki?

Droga przez jakość

Rozmowa z kompozytorem JERZYM BAUEREM, profesorem Akademii Muzycznej w Łodzi.

na co moi słuchacze z entuzjazmem się godzą, odnajdując w tym prawdziwą radość w porównaniu ze słuchaniem biernym i nieuważnym, z jakim przeważnie ma się do czynienia na co dzień.

— Zgadnam się, że słuchanie muzyki jako „szumu informacyjnego” nie daje satysfakcji i może nawet drażnić, gdyż — jak stwierdza pewien wielki pisarz, tylko rzecz gruntowna jest prawdziwie zajmująca. Narzuca się też wniosek, że to, co ujawnia się u ludzi w jesieni życia tkwi jako możliwość już za młodu, toteż aktywnego psychicznie, skupionego słuchania muzyki poważnej powinno się uczyć. Czyżby tędy wiodła droga do powszechności artystycznych zainteresowań, w tym i muzycznych?

— Owszem, trzeba brać pod uwagę, że człowiek ma naturalną potrzebę kontaktu ze sztuką, co jest w ogóle jej racją istnienia, ale tylko niektórzy mają wrodzoną wrażliwość na

ni melomani. Czy jednak przez słuchanie utworów rozrywkowych, opartych zdecydowanie na skomplikowanym i nieraz rytmie nie wyrabiamy sobie poczucia rytmu, który jest przecież elementem każdej muzyki?

— Proszę pana. Rytm jest reakcją najbardziej prymitywną, daną każdemu, nawet na najniższym szczeblu rozwoju, a więc tego rodzaju muzyka, choć znajduje tak żywy rezonans, wcale nie rozwija artystycznie.

— Z tego wszystkiego wynikałoby, że niezbyt realna wydaje się możliwość umuzykalnienia całego społeczeństwa. Ale może jest tak dlatego, że bierzemy pod uwagę tylko umuzykalnienie biernie, są bowiem zdania, że najlepiej umuzykalnia się człowiek sam grając, gdyż zaczyna rozumieć, czym w ogóle jest interpretacja. Mnie ten pogląd przekonuje, pewnie dlatego, że przez szereg lat uczyłem się grać...

— Ależ owszem, własne granie umuzykalnia



Masz temat dla reportera?
Coś cię drażni, niepokoi,
szlag cię trafia — podnieś
słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Na twój telefon czekają redaktorzy:

31 marca — **PAWEŁ TOMASZEWSKI** — godz. 10—16

7 kwietnia — **JERZY KWIECIŃSKI** — godz. 10—16

Wśród typowych już telefonów z prośbą o interwencję w sprawie: przeciekających dachów i ścian, brudnych, zamieszanych parków, przepelnionych puszek i nie wywożonych w terminie śmieci (niepotrzebne skreślić...) trafiły się także i sygnały od Czytelników zaskutujące na indywidualne potraktowanie...

Oto pan Wacław Grochowski w dowcipny sposób (czasem już tylko poczucie humoru nas ratuje...) opowiedział o niespodziance, jaką sprawiła jemu i córce Akademicka Spółdzielnia Pracy (Narutowicza 18). Czytelnik raczył zamówić sobie w tejże usługę pod tytułem trzepanie dywanów, ustalwszy uprzednio telefonicznie, iż cena wypucowania jednego metra kwadratowego wynosi około 100 złotych. Sympatyczny student zawiadził się terminowo, dywan wytrzepał, wspólnie też obliczono, iż należy się opłata za 17 metrów. Pieniążków jednak młodzieniec nie przyjął, natomiast p. Grochowski otrzymał wkrótce elegancki rachunek na którym, oprócz wielu rubryk i podpisów widniała też, jakże niemiła, ostateczna kwota: 4066 złotych. Tym samym cena wytrzepania metra wzrosła do prawie 240 złotych, a Czytelnik, rozumiejąc, że jeden student musi utrzymać (i zarobić na...) administrację swej firmy, zastanawia się, czy mógłby dać ogłoszenie przestrzegające innych potencjalnych klientów przed usługami studenckiej spółdzielni. Czemu nie? Wszak mamy już drugi bodaj etap reformy...

Typową (niestety) z pijacko-alkoholowego „ogrodka” sprawę przedstawił natomiast pan Karol J. (nazwisko do wiadomości redakcji). Jest taki skwer przy ulicy Kossaka, konkretnie — między osiedlowym boiskiem a przedszkolem. Stał się on ulubionym miejscem pijackich „zabaw” i rozrób dla zwolenników taniego wina i wódeczki. Stosowne sklepy w pobliżu, więc kłopotu z bieżącym zaopatrzeniem nie ma żadnego. Niecenzuralne słownictwo bywa tu na porządku dziennym, a —

czasami — i butelki latają w powietrzu w kierunku przechodniów. Do komisariatu MO przy ulicy Tatrzańskiej nie tak znowu daleko, raptem kilkaset metrów, tylko warto by radykalnie zwiększyć częstotliwość milicyjnych wizyt w rejonie „pijackiego” skweru...

„Mieszkańców bloku przy ulicy XX-lecia PRL w Pabianicach do istnego szaleńczego zachowania już trwającego od początku lutego remont kilku lokali na parterze budynku, w którym ma się znaleźć lekarska spółdzielnia. Dlaczego akurat tu? Dlaczego przeznaczają się na ten cel mieszkania? Nie chce, na razie, wymienić nazwisk, zdradzać szczegółów, gdyż — jak to się mówi — „kupuję temat”...

Nie wszyscy jeszcze, na szczęście, przechodzą obojętnie wokół wszechogarniającego nas brudu i bałaganu. Pan Jerzy Matuszewski opowiedział mi, jak to kłątka schodowa w jego bloku przy ulicy Bardowskiego 52 sprządana jest raz na trzy tygodnie, a walające się wokół liście nie zostały zgrabione... od jesieni. Ktoś się tam jednak od czasu do czasu z miotłą pojawia, choć pewnie pensję bierze, jakby pucował

blok i jego otoczenie codziennie. Czytelnik nieśmiało sugeruje, że on, za te pieniądze, czyścił będzie kłatkę co najmniej raz w tygodniu. Cóż na to ROM-i na Kozinach?...

Zgadnam się też całkowicie ze zdaniem pani Elżbiety Pawlak, która chce zdobyć zaproszenie dla rodziny ze Związku Radzieckiego, wystaje bodaj trzeci dzień w kolejkach w Państwowym Biurze Notarialnym. Zatrudnione tam panie pracują rzeczywiście w pocie czoła, ale wypisywanie stosownych wniosków jest tak czasochłonne, że do godziny trzynastej są w stanie przyjąć zaledwie kilkunastu interesantów. Czy tak wielkim problemem byłoby opracowanie (i wyłożenie na korytarzu wraz z instrukcją) uniwersalnych kwestionariuszy, wypełnianych przez samego zainteresowanego a tylko poświadczonych przez notariusza? Wiem, wiem, to wielce skomplikowane, opracowanie skutecznych metod skupu butelek to przy tym temacie zupełnie „pryszcz”. Może w czasie kolejnego etapu reformy?...

Mam też dobrą wiadomość dla pana Eugeniusza S. (nazwisko i adres do wiadomości redakcji), który wyraźnie nie był usatysfakcjonowany moimi wyjaśnieniami w sprawie finansowej, niestety, konieczności zamieszkania na łamach „Odgłosów” różnego typu ogłoszeń. Już za tydzień, specjalnie dla Pana, szczegółowe exposé naszego redakcyjnego specjalisty... Pozdrowienia dla red. Włodzimierza Krzemińskiego z przyjemnością przekaze.

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

WIELOPROFILOWA PRACOWNIA USG „Diason”

Łódź, ul. Piotrkowska 83
czynna codziennie w godz. 16—18,
soboty w godz. 10—11
Lekarze specjaliści wykonują badania:
• ginekologiczno-poiżnicze,
• jamy brzusznej,
• układu moczowego,
• rozwoju stawów biodrowych u niemowląt — czwartki, soboty.
INFORMACJA TELEFONICZNA (16—18)
Tel. 33-15-85.



MIEJSKIE PRZEDSIĘBIORSTWO KOMUNIKACYJNE w Łodzi

Wybierz ten zawód!

- * mechanik pojazdów samochodowych
- * elektromechanik
- * elektromechanik samochodowy
- * slusarz-sprawca
- * slusarz-mechanik
- * tokarz

Zajęcia teoretyczne odbywają się w następujących szkołach:

- ZSZnr1** ul. Zakątna 34 tel. 33-31-59
* mechanik pojazdów samochodowych
- ZSZnr3** ul. Kilińskiego 109 tel. 74-11-53
* elektromechanik
* elektromechanik samochodowy
* slusarz-sprawca
- ZSMnr3** ul. Grabieniec 2 tel. 52-19-76
* slusarz-mechanik
* tokarz

1. Uczniowie pracujący w MPK korzystają z biletów wolnej jazdy środkami komunikacji miejskiej.
2. Wynagrodzenie miesięczne wg obowiązujących stawek.
3. Nagrody kwartalne.
4. Najlepsi uczniowie otrzymują prawo jazdy kat. „B”.

Warunki przyjęcia: ukończona szkoła podstawowa, ukończony 15 rok życia, dobry stan zdrowia.

Szczegółowych informacji udziela sekretariaty szkół oraz **OSRODEK SZKOLENIA KADRY** ul. Narutowicza 77, tel. 78-94-01, **WARSZTAT SZKOLNY NR 2**, ul. Konstancjowska 28, tel. 33-68-22.

2185/k

Na Śląsku zdarzyła się taka historyjka. Kopalnia Węsla Kamiennego „Wujek” opiekuje się klubem sportowym. Jest to Górniczy Klub Sportowy Katowice. W klubie tym jest sekcja zapasnicza. W sekcji tej był zawodnik Bogusław Kłozik, wicemistrz świata i Europy w zapasach. Piszę, bo gdy obecnie przebywa w Szwecji, gdzie ukrył się przed groźącym mu wyrokiem sądownym. Rodzina pozostała w Polsce.

Bogusław Kłozik wypił sobie — jak to złośliwi mówią — trochę piwa, dość że miał 2,3 promille alkoholu we krwi. Pił zresztą to „piwo” w pociągu, a później wszedł do samochodu, aby dojechać do domu. W czasie tej podróży samochodowej potracił samochód Anny M. Jej samochód wpadł do rowu, a zapasnik Kłozik uciekł z miejsca wypadku. Po drodze „zguł” kompana, aby nie było świadka. Milicia jednak ujęła sprawcę wypadku, zbadano jego krew, w której wykryto te nieszczerne promille. Sprawę skierowano do sądu, no urzędnim przeprowadzeniu śledztwa przez prokuraturę. A z tym śledztwem to był — można powiedzieć — cały cyrk.

Przed wszystkim dobrzy „wujkowie” postarali się, aby Anna M. nie wniosła żadnych roszczeń o odszkodowanie, dając jej z góry w „prezencję” 700 000 złotych za stosownym pokwitowaniem. Bogusław Kłozik najpierw ukrywał się w szpitalu, później na ważnym zarębowaniu, a wreszcie znalazł się w Szwecji. Jak to się stało? — nikt nie wie, a przede wszystkim prokurator, który zarządził, aby Bogusławowi Kłozikowi nie wydawać paszportu. Ale paszport mu wydano, co wprawilo prokuratora rejonowego w niebotyczne zdumienie. I ja mu się ani trochę nie dziwię.

Sport

Společnie, to znaczy darmo?

Bogusławowi Kłozikowi groziło pozbawienie wolności od 2 do 10 lat, na podstawie art. 145 par. 1 i 3 kodeksu karnego, ale — jak twierdzi Krzysztof Maciąg w krakowskim „Temple” — do stałby 2 lata, i to być może w zawieszeniu, gdyż ani Annie M., ani jej samochodowi nie się stało oraz zabrano by mu prawo jazdy za jeżdżenie po pijanemu. Ale „wujkowie” z kopalni „Wujek” postanowili uchronić swego pupila nawet przed taką karą. I dlatego teraz nie ma go w kraju.

Mogłabym opowiedzieć jeszcze kilka różnych takich historyjek, ale wole przejść do rzeczy. A rzecz polega na roli działacza sportowego. Pisałam już o stypendiach dla sportowców i nagrodach za wybitne osiągnięcia sportowe. Wspominałam też, że można do tego rozwiązania mieć zastrzeżenia, nie że wzięciu na wysokość tych stypendiów i nagród, gdyż jedni uważają, że są za wysokie, a inni, że są za niskie, ale z tego powodu, że nie rozwiązuje problemu płac na przykład trenerów. W sporcie obowiązują — przynajmniej u nas — triada: działacz — trener — zawodnik. Jeśli coś w tej trójce zawodzi, to klub nie ma takich wyników, jakie mieć powinien. Działacze starają się więc o nie wszelkimi sposobami.

Na przykład, były piłkarz Władysław Szaryński został trenerem i otrzymał propozycję, aby objąć funkcję i trenera w KS „Stal” w Stalowej Woli. Objął to stanowisko i doprowadził Stal do awansu do I ligi. Ale Stal nie miała takich zawodników, którzy mogliby grać w I lidzie i sprostać jej poziomowi. Znajdując się więc na ostatnim miejscu ligowej tabeli i grozi jej zasłużony powrót do II ligi. Co w tej sytuacji robią działacze KS „Stal” w Stalowej Woli? Ano wzywają i trenera i oświadczają mu, że już nie jest I trenerem, a II i że ma się z tego cieszyć. Ale Władysław Szaryński na to się nie zgodził i zmienił pracę.

Działaczami zostają najczęściej ludzie zasłużeni, dyrektorzy wielkich fabryk, kopalni, stoczni i tak dalej. Gdyby był dyrektorem dużej fabryki, to nie wyobrażam sobie, aby miał czas na rzetelne działanie w klubie. Oczywiście klub sportowy ma swojego dyrektora, kierownika sekcji, pracowników administracji i pracowników technicznych, ale opiekują się nim wybitni działacze. Robią to społecznie. To znaczy za darmo. I bardzo dobrze. Chwała im za to. Ale nie wszyscy dyrektorzy wielkich fabryk mają talent do działania w sporcie. Znam jednego dyrektora, który już nie jest dyrektorem, bo wyjechał na placówkę zagraniczną, ale w czasach dyktowania duża firma została dookoptowana do zarządu dużego, zasłużonego w mieście klubu sportowego. Jak szybko tam poszedł, tak szybko stamtąd uciekł, zorientowawszy się, że działanie w sporcie ciągle odiera się o prokuraturę. Znam innego dyrektora, który miał menedżerski talent i umiał pogodzić kierowanie przedsiębiorstwem i klubem, ale miał takie nowatorskie pomysły, że w końcu zrezygnowano z niego.

A inni? Inni często działają podobnie jak „wujkowie” z kopalni „Wujek” w Katowicach. To znaczy rozpinają parasol nad klubem, nad innymi działaczami, nad zawodnikami. Żeby rozpiąć parasol nad trenerami jakoś nie słyszałam. Dobrzy „wujkowie” dbają przede wszystkim o wyniki, bo ich się głównie z tego rozlicza. Ktoś im zaproponował, żeby zostali działaczami sportowymi, ktoś im „postawił zadanie”, ktoś obiecał, aby wywiali z tego zadania. Jak? Różnie. Jak się da.

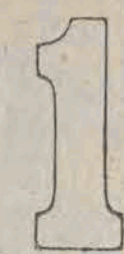
Siatkarskie Łódzkie Wilam i warszawskiej Legii zagrożeni byli spadkiem do II ligi. Było to w ubiegłym sezonie. Aby nie spadli wystarczał tym i tym remis. I tak się stało. Teraz spadkiem zagrożona była Wilam, więc musiała wygrać, a Legia musiała spłacić dług, i spłaciła. „O erze nie ma co pisać” — komentował sprawozdawca krakowski „Templa” Krzysztof Maciąg — już na długo przed meczem mówiło się, że Legia przegra z Wilam, ratująca się przed spadkiem. I tak się stało. Grał rezerwowi. Nie zagrał, na przykład, zawodnik Legii Piotr Wasilewski, a gdy jakiś dziennikarz spytał go, jak się czuje — odpowiedział automatycznie, że dobrze. Dopiero po spiorunowaniu go wzrokiem przez jednego z działaczy Legii, dodał, że „maciagnał sobie mięśnie barku”. Mecz ten bowiem rozgrywali działacze, a nie zawodnicy, choć ci udawali na boisku, że grają. „Prezes PZPS, Tadeusz Sasara nie krył oburzenia”. Czy coś jednak z tego oburzenia wyniknie? Mam wątpliwości.

Czy działacze nie mają żadnych korzyści z tego, że są działaczami? Toż mam wątpliwości. Jeżdżą przecież po świecie, w dodatku nie za swoje pieniądze. Ciągłe jeszcze powtarzają się takie sytuacje, że zbyt dużo działaczy opiekuje się na zagranicznych zawodach sportowcami. Opieka jest im potrzebna, ale bez przesady. Poza tym działacze często zamiast dbać o wychowanie młodych zawodników w klubie, dbają przede wszystkim o swój doraźny interes: o dobre wyniki klubowej drużyny za wszelką cenę, nie bacząc na skutki wychowawcze.

Staram się nie uogólniać. Działacze są różni. Są również ofiarą, pełni poświęcenia, bez których nie byłoby sportu. Ale są i inni. Ci właśnie psują pracę i opinie pozostałym. Co więc zrobić z działaczami? Nie wiem. Nie mam zamiaru twierdzić, że są niepotrzebni. Byłoby to złudzie. Ale trzeba jakoś ich status tak uporządkować, aby w trójce: działacz — trener — zawodnik wszyscy byli jasne, wyraźne, bez nieścisłości. „Lewych kas” i „lewych” działań. Zaczęto robić porządek z sytuacji materialnej zawodników, nadechdło bora na uporządkowanie sytuacji materialnej trenerów. I wreszcie — status działacza.

Jak to zrobić?
A czy ja muszę mieć receptę na wszystko?

BOGDA MADEJ



Nie znany Egon Erwin Kisch?

Dziewiątego kwietnia mija sto trzecia rocznica urodzin klasycy nowoczesnego dziennikarstwa Egon Erwin Kisch, 31 marca 1888 r. natomiast minie 40 rocznica jego śmierci. Myślę, że te dwie rocznice są dobrą okazją do przypomnienia postaci i dzieła „szalejącego reportera”.

Urodził się na praskim Starym Mieście w domu „Pod dwoma złotymi niedźwiedziami” — jak drugi syn znanego praskiego kupca Hermana Kisch, Ukończył Niemieckie Cesarsko-Królewskie Gimnazjum, potem trochę studiował chemię, ale już w wieku 19 lat debiutuje w dresdenskim wydawnictwie Piersona tomikiem wierszy „Z kwitnącej galei młodości”. Nie dane mu jednak zostać poetą — rzuca się w wir pracy dziennikarskiej, i w parę lat później ukazują się jego pierwsze książki reporterskie „Z praskich ulic i noc” oraz „Praskie dzieci”.

Ale te książki nie przyniosły mu sławy, podobnie jak powieść „Opiekun diamentów”. Nazwisko Kisch stało się dopiero sławne na całym świecie w związku ze „Zdemaskowaniem przez niego działalności szpiegowskiej pika Riedla. Jak wiadomo afera ta dobiegła się potem opisu w paru książkach różnych autorów — a nawet po kilkunastu latach nakręcono głośny film „Pułkownik Riedl”.

Wówczas była to sława krótkotrwała. Do historii światowego dziennikarstwa wszedł Kisch przede wszystkim zbiorami reportaży — „Zapisz to Kisch” o I wojnie światowej, „Jarmarkiem sensacji”, „Praskim pitavalom”, „Szalejącym reporterem”. Wyrusza w długą wędrowną podróż po świecie, skąd przywozi kolejne książki reporterskie — „O popach, carach i bolszewikach”, „Chiny bez maski”, „Raj amerykański”, „Azja odmiennolona”.

Dziś ten klasyk nowoczesnego dziennikarstwa jest właściwie zapomniany. Trzydziest lat temu wydawnictwo MON — opublikowało kilkanaście tomów reportaży Egon Erwin Kisch, ale dziś to już rzadkość bibliofilską. Podobny los spotkał inną niezwykłą książkę Kisch, To samo wydawnictwo, czyli MON, wydało w 1959 roku „Klasyków dziennikarstwa” — antologię tekstów uznanych przez Kisch za prawory reportażu, felietonu, kroniki i korespondencji zagranicznej. Znajduje się tam m.in. relacja Piliusa Młodszego o trzęsieniu ziemi w Pompei w 79 roku naszej ery, rozprawka Woltera, słynny artykuł Emila Zoli — „Oskarżam” w obronie kapitana Dreyfusa, artykuł Marksa i Engelsa o upadku Wiednia w 1848 roku — i wiele, wiele innych rarytasów światowego piśmiennictwa o proveniencji zdecydowanie dziennikarskiej.

Kisch wydał tę antologię archywalną publicystyki w roku 1923 — stała się ona swego rodzaju biblią dziennikarską. Niestety — to też jest „biały kruć” — MON-owskie wydanie z 1959 roku miało nakład... 3 tys. egz., jest to więc dziś prawdziwa rzadkość.

We wstępie do polskiego wydania „Klasyków dziennikarstwa” pisze Edmund Osmańczyk: „Jest to jedna z tych rzadkich książek, które smakują się latami, a ona wciąż pełna aromatu, jak piwka wypielniona szlachetnymi trunkami (...). Coż to za wspaniała książka! W tym rodzaju jedyna w świecie, mimo blisko już czterech dziesięcioleci od jej pierwszego wydania”. Dziś do tych czterech dziesięcioleci możemy dodać jeszcze trzy. Niestety — są to dziesięciolecia, w których ta niezwykła antologia świeci nieobecnością.

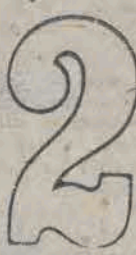
Jakby na osłodę faktu, że współczesny czytelnik pozbawiony był starych, a wciąż żywych reportaży Kisch — wydano w roku 1986 w serii „Profile” Wydawnictwa Powszechnej Interesującej biografię „szalejącego reportera” napisaną przez dwóch cze-

skich autorów Duszana Hamszika i Aleksandra Kuszaka. Niewykluczono, że jeszcze coś się na ten temat Kisch w Polsce ukazało, ale to właśnie książki stoją na podręcznej półce moich regałów.

Wróćmy jednak do biografii Kisch, równie niezwykle i fascynującej jak jego reportaże. Tak więc oto ten nieukończony chemik, były cenzor wojskowy z czasów I wojny światowej — zostaje w roku 1930 profesorem Wydziału Dziennikarstwa Uniwersytetu w Charkowie. Trzy lata później, w czasie pożaru Reichstagu jest już w Berlinie. Zostaje aresztowany i osadzony w twierdzy Spandau. Na interwencję czechosłowackiego MSZ gestapo wydała go z Rzeszy. Kisch odbywa podróż do Francji, Belgii, Holandii i Anglii. Przeprowadza się do Paryża. Jedzie na Kongres Antyfaszystowski do Australii. W 1936 roku wstępuje do Brygad Międzynarodowych w Hiszpanii. W 1938 kandyduje z listy Komunistycznej Partii Czechosłowackiej do Rady Miejskiej Pragi. W 1939 roku udaje się na emigrację: przez Nowy Jork do Meksyku. Schorowany wraca po wojnie do rodzinnej Pragi, gdzie umiera na serce 31 marca 1948 roku, w wieku 61 lat.

Autorzy przywołanej tu biografii Egon Erwin Kisch piszą, że istota jego reportaży podróżniczych są realia — ich zaletą osnowa faktograficzna, podbudowana umiejętną obserwacją i znajomością przedmiotu. Wydarzenia, fakty oraz akcja książek Kisch dawno już się zestarzały — a mimo to czytamy je dzisiaj z nie mniejszym zainteresowaniem. Dlaczego? Otóż Kisch potrafił uchwycić i przekazać na przykład konkretnego, często mikroskopijnego detalu sens, związek i konteksty, tworząc w rezultacie dokumentalny obraz świata znajdującego się na przełomie dwóch epok, w ciągłym ścieraniu się i walce.

JERZY WILMAŃSKI



Lewym okiem

Trzech pesymistów

W najbliższych tygodniach ma się ponownie ukazać słynna książka Aldousa Huxleya „Nowy, wspaniały świat”. W książce tej, napisanej z góry sześćdziesiąt lat temu, znakomity angielski filozof i socjolog, zawarł wizję przyszłego świata, opartą na przewidywanych wynalazkach z najrozmaitszych dziedzin. Wiele miejsca zajmują tam zwłaszcza sprawy związane z genetyką, z biologią, z interwencją naukowców w naturalne procesy organiczne czyli, jak to się dzisiaj niekiedy mówi, manipulowaniem genami, poprawianiem przyrody. Ten wyraźny, biologiczny akcent wziął swój początek chyba stąd, że brat światowego filozofa Julian Huxley, był właśnie bardzo znanym, wybitnym biologiem angielskim, odkrywca wielu zjawisk w tej dziedzinie. Tytuł książki, o której mówimy, jest ironiczny, ten nowy świat wcale nie jest wspaniały. Znaczna część futurologicznych rozważań Aldousa Huxleya stała się dziś rzeczywistością, co nie napawa nas optymizmem na dalszą przyszłość.

Jest jeszcze druga powieść tegoż autora, starająca się odgadnąć to, co czeka człowieka w następnych dziesięcioleciach. Jest to powieść pt. „Po wielu latach”. I tutaj też mamy wyraźny motyw biologiczny, mianowicie wybitny biolog, jedna z postaci tej powieści, udowodnił i to na samym sobie, że ewolucja darwinowska nie kończy się na człowieku. Że gatunek homo sapiens rozwija się dalej i po wielu latach stanie się gatunkiem nieznanym jeszcze dzisiaj. I tu

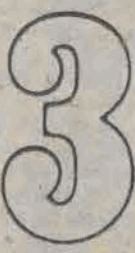
niezwykle zaskoczenie: ten nowy gatunek nie będzie wcale niezmiernie mądrym mózgowcem postępującym się nieprawdopodobną dziś techniką, nie będzie zdobywcą gwiazd i planet. Bohater powieści, spożywający systematycznie wyciąg z flory jelitowej karpia, staje się powoli włochołtem, umiśnionym, szpetnym zwierzęciem, małpoludem. Wraz ze swą żoną, również w ten sposób ulegającą ewolucji przy boku przemądrego męża, żyją w wielkiej klatce w podziemnych wspaniałym laboratorium, tak jak nakazał testament, oboje są pełni fizycznej werwy, kopulują kilka razy dziennie, przestali się od dawna zajmować cokolwiek poza samymi sobą.

Ala ta ewolucja objęła wyłącznie tych dwoje, dokola nich szumi ten sam nowy, wspaniały świat, jak w poprzedniej książce. Jest tak samo „wspaniały” w cudzysłowie. W swej uniwersalnej wizji nie przewidywał jednak angielski autor całej ogromnej dziedziny wiedzy, jaką się dziś stała informatyka. To ona przemawia świat i ona będzie nadawać mu oblicze w najbliższych dziesięcioleciach.

Konsekwencje burzliwego rozwoju informatyki stara się przewidzieć z kolei inny uczyony angielski Alvin Toffler w swej książce „Szok przyszłości”. Jego wizja jest również nie bardzo zachęcająca i pokazuje nam człowieka uwikłanego w twory własnego umysłu, człowieka, który stał się niewolnikiem nadmiaru informacji, który już nie wie jak sobie z nim poradzić. Znowu przypomina się Goethe: „Die Geister, die ich berufen, die werden ich nimmer los” — nie pozbede się duchów, które sam wywołałem.

Jest jeszcze trzecie wielkie dzieło futurologiczne: George Orwell „1984” — ten z kolei skupił uwagę na stosunkach społecznych, na konsekwencjach tych trendów, które obserwujemy dzisiaj wokół siebie. To jest również ogromnie pesymistyczna książka, doprowadza do wniosku, że z całej ludzkości zostanie bardzo mała grupa warta jeszcze miarę człowieka, cała reszta będzie mierzwa pod nieznające granice ambicji wiedzy i władzy tamtej niewielkiej grupy. Tak więc trzy wielkie panoramy przyszłego świata i wszystkie trzy — nieswole.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI



Pod prąd

Mity polskie

Jedne z mitów powstały samorzutnie, spontanicznie, co wskazuje nie znaczy, że bez niczyjej kontroli — przynajmniej na etapie upowszechniania. Inne od początku do końca były świadomie kreowane przede wszystkim przez tych, którzy potrzebowali ich do uzasadnienia jakichś działań — najczęściej we własnym, mniej lub bardziej doraźnie pojmanym interesie, niekoniecznie będącym w zgodzie z interesami państwa. Jaka by jednak nie była geneza owych mitów, ich oddziaływanie w dłuższym czasie zawsze było szkodliwe i przynosi nam ewidentne straty. Co gorsza, o wiele łatwiej wprowadzić jakiś męt do tak zwanej społecznej świadomości niż go później z niej wyrugować. I ot niezależnie, czy mamy do czynienia z mitologizacją naszych wad, czy zalet.

Oto na przykład uparcie powtarzany męt o wyższości budownictwa wielkopłytowego, wysokiego nad jednorodzinnym. Męt pociągany tak głęboko zakorzeniony w naszej świadomości, że — obserwując budowę nowych, bliźniaczo do siebie podobnych osiedli mieszkaniowych od Bałtyku do Tair — można odnieść wrażenie, iż nie ma żadnego sposobu na pozbycie się go. A byłoby to niewątpliwie wskazane, bo przecież stosowane u nas technologie budownictwa wielkopłytowego nie są ani najbardziej materiałowe, ani energooszczędne, zaś użytkownictwo wzniesionych w nich betonowych pudeł, zwanych blokami, przysparza wielu poważnych kłopotów zarówno mieszkańcom, jak i spółdzielniom.

Oczywiście nie wszyscy są tego zdania. Budownictwo wysokie ma swoich gorących zwolenników, którzy przy każdej nadarzającej się okazji jakiegoś koronnego argumentu za używają twierdzenia jakoby ono właśnie gwarantowało maksymalne wykorzystanie terenu pod budowę — terenu bardzo drogiego, gdyż uzbrojonego już we wszystkie niezbędne instalacje. I to przemawia do ludzi, przeciwników zaś powalania na kolana. Tymczasem także ten, można by sądzić niepodważalny argument jest niczym innym, jak tylko mitem, gdyż wyniki badań Instytutu Gospodarki Mieszkaniowej wcale nie potwierdzają jego prawdziwości.

Inny męt: Polacy za dużo jedzą, a żywność nad Wisłą jest bardzo tania. Rozpowiadano go w przeszłości przy każdej planowanej podwyżce cen, gdyż miał je skutecznie uszczadniać, nie wylaczając nawet tej ostatniej, choć — trzeba przyznać — szermowano nim już znacznie ostrożej i nie wprost. A jak jest naprawdę? Otóż najnowsze wyniki analiz ujawnionych przez Zakład Badań Statystyczno-Ekonomicznych GUS i PAN dowodzą, iż w porównaniu ze wszystkimi krajami należącymi do EWG, a także na przykład z Węgrami czy Jugosławią Polska ma bardzo niski poziom spożycia żywności na jednego mieszkańca (za wyjątkiem Portugalii). Krótko mówiąc, wbrew temu, w co kazano nam wierzyć, jemy mniej i drożej aniżeli większość Europejczyków, a zapewne i znacznie gorzej, gdyż wiele naszych artykułów spożywczych nie miałoby żadnych szans utrzymać się na tamtejszych rynkach, zaś niektóre uznano by może nawet za niejadalne.

Przy okazji pora by również chyba wreszcie obalić męt o tym, że jesteśmy społeczeństwem lepiej wykształconym niż Niemcy, Włosi czy Amerykanie. Bo choć może i tak było w pewnym czasie, to dziś już na pewno nie jest. Spadająca w ostatnich latach liczba studentów w polskich uczelniach stawia nas bowiem obecnie raczej na podrzędnym miejscu i nie wskazuje, żeby przyszłość miała okazać się dla nas łaskawsza. Przeciwnie, relatywnie niskie zarobki ludzi z wyższym wykształceniem, malejące wciąż znaczenie inteligencji w polskim społeczeństwie, emigracja wielu zdolnych, operatywnych jednostek upoważnia do prognozowania, iż może być jeszcze gorzej o ile w porę nie zaczniemy ostro przeciwdziałać tej tendencji. A na razie nie na to nie wskazuje — praca młodszych wciąż opłacana jest w Polsce na ogół lepiej niż praca mózgu. Akurat odwrotnie niż w większości krajów świata.

Śmiem również przypuszczać, iż dosyć powszechne mniemanie, iż Polacy pracują mniej od przedstawicieli innych nacji, też niezupełnie odpowiada prawdzie. Że niewyobrażalnie, nieefektywnie — zgoda, choć przyznaję tego stanu rzeczy upatrywałbym nie tyle w jakimś wrodzonym lenistwie Polaków, ile przede wszystkim w zacofaniu technicznym oraz skandalicznie złej organizacji pracy. Ale że mniej? Jeśli uwzględnić stan w kolejkach, własnoręczne budowanie sobie domów, fuchy po godzinach i inne tego rodzaju dodatkowe zajęcia, nie byłbym wcale taki pewny. Przecież dokładnie ci sami Polacy na budowach eksportowych lub na emigracji zarobkowej potrafią wprowadzić z siebie żyły, byle tylko zarobić. I zarabiała a tam — jak wiadomo — za obijanie się nie płaci. Więc jak to właściwie jest?

JÓZEF RETMAN

Zaprawdę mówię wam, mój bliski jest dzień, kiedy prawe nazywać będziecie lewym, a lewe prawym, kłamstwo zmieszane z prawdą, biel z czernią, miłość matki z krwią, braci i siostry bracie będziecie za nieprzyjaciół wasze. Będzie to dzień próby, sprawiedliwym zaś, co nie da się zmieszać, Szatanowi, obiecają wnieść do Królestwa mojego. Więc pytam: Kto chce się poddać próbie, niech wynajdzie z szeregu!

Jam gotowa, Panie, mogłaby odpowiedzieć skołataną Helen.

Matka telefonowała z hotelu w Monachium. Nic o wydarzeniu się nie dowiedziała, po co ją martwić. Jej spokojny głos — umie maskować emocje — może wyprowadzić w pole ojca, ale nie ją. Kobieta może wykołować — mężczyźni, nigdy kobiety. Przebywa tam już drugi dzień. Sama. Co się stało z Andym?

Same znaki zapytania. Tysiąc myśli kłębi się w głowie Helen. Nie jest dwa razy dwa? Było cztery. Jak długo rachunki podsumowywano na liczydłach, wszystko grało, od kiedy do arytmetyki dopuszczono komputery, kłapa. Helen ogłasza stan alarmu dla logiki.

Podręczną torbę lekarza przesunęła na boczne siedzenie, kluczyk mechanicznie wcisnęła w stacyjkę. To nieporozumienie z tymi rachunkami. Prawda, że po żenującej klęsce w Indochinach bilanse polityczne pewnym ludziom się nie zgadzają. Powstał popyt na kozy ofiarne. Wina za to nie obciąża jednak kraju. Kraj jest nadal w porządku, Helen nie wyobraża sobie życia w żadnym innym. Choroba, jaka go toczy, to postępowanie ludzi identyfikujących swój osobisty interes z interesem państwa, egoistycznych typów z ograniczonymi horyzontami myślowymi. Ludzi takich nie brakuje nigdzie na świecie. Gwałcą prawo jednostki do krytyki ich poczynań, a potem nazywają to atakiem na państwo. Ale to minie, cierpliwość.

Helen spogląda w brylantowe niebo. Jest koniec lata w Seattle. Tak samo piękny jak w Kalifornii, jak na całym Zachodnim Wybrzeżu Stanów. Niedługo zaczyna się deszcze, które trwać będą do wiosny, a potem znowu na okragło słońce. Czy takiego kraju można nie kochać?

Więc co chciała zrobić z tym wozem? Aha, zaparkować go na podjeździe do garażu. Ale najpierw spojrzeć za siebie, przed siebie i, jeżeli droga wolna, dopiero wtedy ruszać. Uruchoμίła światło skręcając, nadechnęła na pedał gazu. Prawo jazdy Helen ma dziesięć lat. Nigdy jednak nie poświęciła tyle uwagi, by nierozważnym ruchem kierownicy nie narazić się przyjeżdżającemu gdzieś policjantowi.

Panorama miasta, oglądana z kokpitu, urzeka masą różnorodnych konstrukcji, które wydają się nie mieć końca. Wzniesionych w ciągu kilkudziesięciu lat. Niezwykłe są pracowitość i pomysłowość Amerykanów. Doktor Aaron Silberstein jest pełen podziwu dla tego narodu. Dla europejskiego Żyda przegranianego z kąta w kat, wyjętego spod prawa, skazanego na wytepienie w komorach gazowych, który na stare lata znalazł w Ameryce bezpieczne schronienie, niepojętego w swojej złożoności. Wielki eksperyment. Psy i koty, owce i wilki spędzono na pustkowia tego kontynentu i pozostawiono sobie. I oto co — miast pożerać się, zdane tylko na własne siły — stworzyły w ciągu tak krótkiego czasu!

Europa nigdy tego nie zrozumie.

Kokpit — lepszej nazwy dla tej nadbudówki nie można wymyślić. Przestrzenia odpowiada sektorowi pasażerskiemu pierwszej klasy jumbo-jeta, wyposażenie to mieszanka nowoczesności i przeszłości. Nieamerykańska. Dobre meble, dywany, fotele, tapczan, biurko, dużo zieleni i kwiatów jak na meska samotnie, telefon, magnetowid, komputer domowy — można to zobaczyć w każdym średnio zamożnym domu; uwagę przyciągają porozwieszane na ścianach emblematy dywizyjowych myśliwskich RAF, skesoria wojny powietrznej, jak smigło spitfire'a, półkwa płała nośnego hurricane'a ster pionowy messerschmitta z numerem asa niemieckiego lotnictwa myśliwskiego, zestrzelonego nad Londynem, masa porostawianego po kątach szmelcu z latającego żelastwa. Dla większości młodych ludzi niewartego funta kłaków. Starczyłoby tego na urządzenie małego muzeum lotniczego. Nie każdy gość tego domu wyróżniony bywa zaszczytem przekroczenia progu tej świątyni.

Doktor Silberstein obraca pokrętelem selekcjonera swojej pamięci...

Od dziś siedem lat wstecz. Największe kino Londynu. Uroczysta premiera filmu o wielkiej batalii powietrznej drugiej wojny światowej, pod magnetyzującym tytułem „The Battle of Britain”. Bitwa o być albo nie być Europy, a może czegoś więcej. Sala wypełniona widzami z całego świata. Proscenium w kwiatkach. Na ścianach i kurtynie emblematy eskadr i dywizjonów myśliwskich Królewskich Sił Lotniczych Wielkiej Brytanii, które w ciągu jednego miesiąca zmagali na londyńskim niebie z rożnoloty w drzazgi skrzydlatą potęgą niepokonanych wówczas Niemiec.

Sala zamiera w ciszy.

Podniósł głos prosi na scenę gości rządu. Jej Królewskiej Mości — żyjących asów myśliwskich Royal Air Force. Wchodzi w kolejności wywoływanych nazwisk i stopni wojskowych. W cywilnych ubraniach i w mundurach. Przy każdym zrywa się na sali huragan oklasków.

Przedruk w całości lub we fragmentach zastrzeżony.

Matnia

17

LEONARD

Dla spłacenia długu niechętnym, co ocalili życie tak wielu, Silberstein przeżył wszczepienie amerykańskiej i Atlantyk. W karnym szeregu mężczyzn na scenie rozpoznaje jednego z nich. Tego nie pomyliłby z nikim, rozpoznałby po ciemku. W orzeczonym przy oknie człowieku z karabinem marlin 444 magnum na kolanach też go rozpoznaje. Pomimo posiwiałych od czasu premiery w londyńskim kinie skroni i podkuty chorobliwym cieniem oczu. Chłuba alianckiego lotnictwa myśliwskiego, pułkownik pilot Casimir Skala.

Najstarszy z rodu Silbersteinów, Isaak, też lekarz przed odejściem transportu z Warszawy, — złudzeń już nie było — powiedział: Nie robicie takich grobowych min, lekarzy potrzebują wszędzie. Oby tylko szczęśliwie dojechać do miejsca przeznaczenia.

Wuj był okropnym wrogiem sentymentów. Silberstein Aaron — nie. Młoda żona, dzieci, wuj Isaak z rodziną, nikt im życia nie przywróci. Sentymalizm w starszym wieku ma kolor opadłych liści, cuchnie grobem. Aaron nie na to nie poradził.

W jego głowie kołace się myśli. Głupia, warta śmiechu.

Głupie myśli są uparte.

Niech więc będzie:

Ilu mieszkańców Good Weather Street, którzy patrzą na Casa bykiem, jest godnych oczyszczenia jemu butów?

No answer. You are in America, Mister Silberstein! (Nie ma odpowiedzi. Pan jest w Ameryce, Mister Silberstein!)

Film wyświetlano w Seattle.

Syn Raifa Simpsona — cztery domy od Skali — powiedział:

— To gratyfikacji w gotówce za zestrzelenia, jak u nas w Wietnamie. Anglicy nie płacili? Narazić się za frajer? Ja bym nie latał!

A jego dziewczyna Phil:

— Jak Boga kocham, makaron. Co z tego filmu zapamiętałam? Ciuchy Pomocniczej Służby Kobiet RAF. Bombal Musiały ścieć popiołach wśród chłopaków.

Phil ma języki! Jednym słówkiem opowie cały film. „Makaron”, „bomba”, „ciuchy” — wyrażne zadatki na awangardowa pisarskę.

Ekstremiści irlandzkiego pochodzenia urządzili przed kinem demonstrację antybrityjską. Granda z takim filmem w jedną stronę. Ze też Hitlerowi się nie udało! Następnym razem Anglicy nie ujdą patelni!

Europejska eskapada pań nie mogła wypaść w gorszym czasie. Trzeba Cathi sprowadzić do domu. Ona na pewno nie wie, co się tu dzieje. Tylko jej obecność może uchronić Casa przed niebezpieczeństwem.

On ma rację z tym niewidzialnym reżyserem nagonki, ale po co ułatwiać draniowi zadanie. Przekłete dziedzictwo krwi. Gdzie taktyka? Oni by nigdy nie wygrali z Goliatem.

W kokpicie nie można naparzyć się reliktem walki powietrznej. Przy odrobinie wyobraźni łatwo urzucić siebie przy sterze spitfire'a. Dziwne uczucie. Zamknięty w klatce pilota zdany tylko na własne siły. I wierzyrna, i myśliwy. Refleks przeciekło refleksowi. Cały czas wa banque. To już nie wyparuje z człowieka.

Dom w stanie obłąkania.

Zdalnego — pociesza Silberstein.

„Armata” z zapasowymi magazynkami amunicji, nabity rewolwer w zasięgu ręki, przymiatyczna łonetka do wypatrywania przedpola — to już widział. Ale to karbowane jajo na parapacie okna, którego wczoraj tam nie było, to chyba nie ananas...

Przygarbiony wiekiem Silberstein zakłada na swój prowokacyjny semicki nos cienie druciane okulary.

Boże drogi, to nie ananas! Cas wypowiedział Amerykę wojnę...

Silverstein nie jest mówcą. Czy zresztą można mówić do ściany?

Dlaczego zaraz z najcięższego kalibru? Każdy medal ma dwie strony.

Piszą na płócie „zdrójca”, rzucają ulotki, telefonują.

I co z tego? Ludzie są tylko ludźmi. Piszą, piszą i się wypiszą. Telefonują też nie są darmowe, ludzie umieją liczyć.

To zwarjowane identyfikowanie siebie z „Mr. Kingsbloodem”, Sinclaira Lewisa, Silberstein czytał tę powieść. Dla Europejczyka wiążącego w Ameryce oazę wolności wstrząs. Jak to? Czy kraj, w którym kropka krwi indyjskiej okryta w żyłach białego człowieka — automatycznie degraduje go, zalicza do ludności koczowniczej, ma prawo do miana cywilizowanego?

Europejskie dramaty. Rebe, ten z Warszawy, któremu się tyle rzeczy tam nie podobało, mawiał: „Kobietę na żonę bierze się całą. Gdyby tak można wybierać z niej tylko lepsze kawałki...”

Sztuka współżycia z ludźmi w obcym domu. Żydzi zagarnęli ją całą dla siebie, stąd ta sprawa.

Tętno arytmiczne, ciśnienie podwyższone. W tym stanie napięcia nerwowego nie może być inaczej. Silberstein napomknął o prywatnej klinice kardiologicznej swego kolegi na drugim krańcu miasta. Las, woda, wspaniale, położona rzecz.

Rozmawiali po polsku. Fatalnie pertraktuje się w tym języku.

— Naturalnie to przejęciowe — przytaknął. Tylko białam cię, Cas, nie daj się ponieść emocjom.

Napójce zostawił nieknięte, pożegnał się. Nie pozwolił odprowadzić się na dół.

— Niech pań nie zostawia go samego — doradził Helen, która zeszła z nim do samochodu. — Proszę sprowadzić matkę. Koniecznie. Andy się teraz nie liczy. Niech wsiada w pierwszy samolot!

— Ta cisza w powietrzu, słyszy pan? Nożem ją można. Nie znoście ciszy.

Uroda po matce, krew po ojcu. Niedobrze. Taka ładna kobieta. Wszaby za mał, postarała się o dzieci, dziewczynki byłyby uroczyście blondynkami. Po co jej polityka?

— Miss Helen, mówię o matce...

W oczach determinacja. Bardzo źle.

— Ta pustka dookoła. Niech pan popatrzy. I to o tej porze!

— O matce mówię! Sprowadzić ją do domu. Koniecznie!

— To nie nie da, doktorze. To nadciąga, niech się pan wsłucha w tę ciszę. Mówi panu ojciec, podobno uformował się Komitet Sąsiedzi. Sprawa Hartfielda, wierze w zdrowy rozsądek mieszkańców ulicy, ale były telefony, że się uformował i żąda od nas wyniesienia się stąd. Według mnie gotuje się jakaś zorganizowana demonstracja, policja swoją postawą tylko zachęca do tego. Biedny kapitan Bradocks. Szkoda mi go, będzie musiał rozejrzeć się za jakimś zajęciem. Ojciec nie przesadza: zupełnie jak z Neilem Kingsbloodem. Nie do wiary.

Podniósł oczy.

— On nie pytał o zezwolenie na posiadanie broni palnej, mówił panu ojciec? Ten Hartfield ze swoją zgrają coś knują.

Silverstein z optymizmem:

— Skoro tak, to przynajmniej wiecie, co robić. To mnie napawa nadzieją. Wle pani, jak w tej sytuacji postąpiłby Żyd? Oddałby wszystko agentowi od nieruchomości do sprzedania i wziął nogi za pas. Każdy jeden by tak postąpił, mówię pani. W tym kraju miejsca dla nikogo nie zabraknie.

Helen, niestety, nie jest Żydówką.

Ten „Mr. Kingsblood”? Życiowa powieść. Kto jednak nie umie wyciągać wniosków, nie powinien czytać takich książek.

Zdaniem Davida zasady dopasowuje się do potrzeb. Jak prawa dla prawodawcy. Jeżeli dopasować się nie dają, za burtę z nimi!

David — imię błogosławione i przeklęte. Gdyby matka zdawała sobie sprawę, jak uzależnił się od niego.

Skąd wziąć pieniądze?

Od pewnego czasu dręczy mnie pytanie: Co robię, żeby żyć w zgodzie z własnym sumieniem? Odpowiadam: Dużo, ale moje sumienie nie chce żyć w zgodzie ze mną.

Do Monachium przybyłem z paroma banknotami dwudziestodolarowymi. Bank przy wymianie na marki potrafił sobie cztery procent manipulacyjnego. Cholerni Niemcy! W Skandynawii tyle nie biorą.

Blagałem, aby nie fatygowała się na dworzec, ale to wolanie na puszczy. Ona to nazywa szóstym zmysłem. Matczyną intuicją. Tak wybrała skład pociągu, że wpadłem wprost w jej ramiona. W taksówce nie zdołała wydobyć z siebie słowa. Ja także byłem wzruszony. Też myślałem, tylko nie wiem, o kim więcej. Perkele!

Zamieszkała w hotelu Vier Jahreszeiten, klasa hamburskiego Atlanticu, ceny dla naftowych szeków. Nigdy nie byliśmy milionerami, ale i biedakami, no i ta jej smykalka do oszczędzania. Zarob, odłoż na czarna godzinę, czasownik „wydaj” jest u niej bękartem. Pierwszy motor, czeska Jawa, dostaliśmy dopiero na szesnaste urodziny, część należności za marnego volkswagen, garbusa z drugiej ręki musiałem zarobić sobie roznosząc mleko i gazety przed lekcjami, prawdziwy samochód sprawiono mi na studiach i też nie bez mojej dokładki. Szwajcaria! Od zarania dziejów kasę naszej rodziny prowadziła ona. Ojciec przebywał przeważnie poza domem, więc to naturalne. Romantycy są lichymi rachmistrzami (jej wersja). Ojciec nie nauczył w jego kraju szacunku dla pieniądza, gdyby nie żona Szwajcarka... Nigdy nie dopowiadała: gdyby nie ja, poszlibyśmy z torbami, choć ojciec zarabiał za czterech; zdumiała mnie tym hotelem. Czyżby prasowe brednie o moim rozbiściu banku w Kalastajatorpie wzięła na serio? Muszę szybko sprowadzić ją na ziemię.

Już nie muszę. Imperium Boeinga. Ze też nie przyszło mi to do głowy.

Więć o roztaniu pań dzięki elektronicznemu językowi Glendy Jackson zahaczyła o odpowiednie ucho w Seattle. Imperium ma swój styl. Imperialny. Kaczkę w kraju od podziemnej roboty miewają humory, z którymi trzeba się liczyć, ale zobowiązania wobec swoich ludzi respektuje się do końca. W Zurichu odwiedził matkę z ogromnym koszem kwiatów genewski przedstawiciel Imperium, taktownie dał do zrozumienia, że on też nie przepada za ekskursjami grupowymi, wręczył jej kartę kredytową — bez limitu, uprzedzając, że centrala respektować będzie tylko rachunki wystawione przez najlepsze hotele... I niech kto powie, że Ameryka nie jest krajem kontrastów!

Rano nie chciałem jej budzić, telefonowałem z Frankfurtu. Zastąpiłem ją w nerwach i głodną — zestresowana żyje samą herbatą, straty nadrabia po uspokojeniu się. Zeszliśmy na kolację. Nie wiedziałem, że w podróż turystyczną zabiera się szafy garderoby. Mam piękną i wytworną matkę. Oglądano się za nami. Nie dziwiłbym się, gdyby któryś ze starszych panów na sali wystartował do niej, prosząc do tańca. O, dwóch posrebrzonych dzentów kłania się pięknej pani. Już zdążyli ją namierzyć.

Jej ręce nie odrywają się ode mnie. Nie wytrzymuję tego; tak odwykłem od matczynych czułości. Nie widzieliśmy się trzy lata. Ktoś z boku — nie mam nic z niej — może śmiało wziąć nas za kochanków. Wytworna starsza pani i jej pikolaki. Jest jakaś nienaturalnie nerwowa, egzaltowana, powiedziałbym. Tylko czym? O domu nie. Telefonowała, ojciec czuje się dobrze, pozdrawia mnie, opiekuje się nim jego ukochanie, Helen, istnieje tylko ja. Okropne. Ożenie się tylko pod warunkiem, że żona nie urodzi mi syna. Matkę są szalone. Wszystkie kobiety w miłości są jednakowo ślepe. Jest zaalarmowana moim brakiem apetytu. — Nie czujesz się dobrze? — Świat się wali, wlezy z najbliższymi ludźmi pozywane, w kościołach dwadzieścia tysięcy mil, w głowie zmierzwienie o mój apetyt. Stanowczo nie znam się na kobietach.

Myśle o Matyldzie. Jestem wyrodnym synem. Przynic przywrócił mi świeżość, zmni ze mnie dnie i noce przeproskowane z Gaby. Przeproskowane — techniczne słowo. Jak odstawienie szczyty w kopalni. Stają się lapidarnie precyzyjne.

C.D.N.

Rys. Janusz Szymański-Glanc